



SEMPER FIDELIS

PL ISSN 0866-9414

MARZEC - KWIECIEŃ 2 (55) 2000

PISMO TOWARZYSTWA MIŁOSNIKÓW LWOWA I KRESÓW POŁUDNIOWO-WSCHODNICH · WROCŁAW



Śluby Jana Kazimierza w Katedrze Lwowskiej w dniu 1 kwietnia 1656 r.
Mal. Jan Matejko / Fot. Edmund Witecki

Spis treści

Zyczenia świąteczne	1
Wielkanoc – wiersz – Jan Lechoń	1
Na Wielkanoc – wiersz – Jerzy Masior	1
Jego Eminencja Ks. Henryk Kardynał Gulbinowicz	1
Z czym wchodzimy w XXI wiek? – Rozmowa przy kawie z prezesem ZG TMLiKPW, Andrzejem Kaminskim	2
Koledzy (2) – Jerzy Masior	5
Ks. infułat dr Stanisław Turkowski – Danuta Nespiak	9
Ks. Anatol Zajączkowski – Tadeusz Tomkiewicz	11
U źródeł Bystrzycy Nadwórniańskiej – Jarosław Tadeusz Leszczyński	11
Cykl krajobraz rodzinny – BRZUCHOWICE – PŁUCA LWOWA – Andrzej Fedorowicz	14
Miasto moich rodziców – „Śniatyn” – Maria Molicka	15
Kopczyńce – Krystyna Zielińska	17
KRESOWE SYLWETKI	
Antoni Hermaszewski (1898-1980). Wspomnienie w 20 rocznicę śmierci – Krystyna Wojciechowska	20
Kresowianie na Obczyźnie – Helena Wiewiórska	22
Kapitan Bolesław Nieczuja-Ostrowski organizator Polskiej Organizacji Wojskowej, pierwszy komendant Lwowa – Związku Walki Zbrojnej – Bronisław Orzechowski	23
Szlakiem generała Hallera – Tadeusz Walkowiak	25
KRESOWE KOŚCIOŁY	
Ocalone kaplice – Tadeusz Kukiz	26
Okruchy historii parafii, kościoła i cmentarza w Siemianówce koło Lwowa – Bolesław Bednarski	28
23 grudnia 1999 rok. X-lecie odzyskania kościoła św. Bartłomieja w Drohobyczu – O. Piotr Wiśniewski CSsR	29
Lwowski śmiech czasów Apokalipsy – Stan Scheller	30
Sąd Okręgowy II-giej Rzeczypospolitej w Czortkowie (c.d.) – Tadeusz Błażyński (Wetherby – Anglia), Jerzy Stoszek (Warszawa)	33
WSPOMNIENIA	
Wspomnienie – Honorata Horoszczak	35
Wspomnienia (c.d.) VII – Franciszka Grodecka	37
Lot w nieznane – z lotniska Skniłów we Lwowie (c.d. z notatnika kpt. pilota, Sqd. Ldr. Stanisława Szablowskiego) – Regina Szablowska-Lutynska	39
Okruchy wspomnień Jurka Miętusa (Przedruk z „Kuriera” nr 20, 21 1999 r. – Toronto) – Winicjusz Gurecki	42
Mój lwowski rok 1939 – Konrad Sura	44
Wspomnienia z Obrony Lwowa. Wrzesień 1939 r. – Władysław Kopacz	46
X-lecie Poznańskiego Oddziału Towarzystwa Miłośników Lwowa i Kresów Południowo-Wschodnich – Danuta Szwarz i Hanna Dobias Telesińska	49
Czy „Ogniem i mieczem” jest powieścią antyukraińską? – Jarosław Tadeusz Leszczyński	50
WCZORAJ, DZIŚ, JUTRO	
Kronika Kresowa – Zbigniew Umański	51
Z ŻAŁOBNEJ KARTY	
Śp. inż. Ryszard Szymański (8.1.1939 – 1.2.2000)	55
MOJA PROŚBA – wiersz – Janusz Ragankiewicz	55
WŚRÓD KSIAŻEK	56
APEL dot.: Ratowania kultury polskiej na rubieżach RP	56
Errata do Nr. 1 (54) 2000	57

Czasopismo jest współfinansowane przez Radę Ochrony Pamięci Walk i Męczeństwa.

Redaguje Kolegium:	Danuta NESPIAK, Jerzy PETRYŃSKI, Danuta ŚLIWIŃSKA, Zbigniew UMAŃSKI.
Redaktor naczelny:	Andrzej KAMINSKI
Właściciel tytułu i adres redakcji:	Towarzystwo Miłośników Lwowa i Kresów Południowo-Wschodnich, 50-079 Wrocław, ul. Ruska 32/33, tel. 344-88-93; konto bankowe PKO-BP IV O/Wrocław Nr 10205255-99192-270-1-111
Wydawca:	Fundacja Kresowa „Semper Fidelis” (adres i telefon jak wyżej).
Konto bankowe Fundacji Kresowej „SF”:	Zarząd: D. TABIŃSKA-JUHASZ – dyrektor, Z. BAKULIŃSKA, Z. UMAŃSKI. PKO-BP IV O/Wrocław Nr 10205255-10012-270-1-111.
Materiałów nie zamawianych redakcja nie zwraca. W publikowanych tekstach zastrzegamy sobie prawo dokonywania skrótów, zmian tytułów oraz poprawek stylistyczno-językowych.	



Jan Lechoń

Wielkanoc

Droga, wierzba sadzona wśród zielonej łąki,
Na której pierwsze jaskry żółcieją i miecze.
Pośród wierzby po kamieniach wąska struga ciecie.
A pod niebem wysoko śpiewają skowronki.
Wśród tej łąki wilgotnej od porannej rosy,
Drogą, którą co święto szli ludzie ze śpiewką,
Idzie sobie Pan Jezus w pólnagi i bosi,
Z wielkanocną w przebitej dłoni chorągiewką.
Naprzeciw idzie chłopka. Ma kosy złociste,
Łowicka jej spódnica i piękna zapaska.
Poznała Zbawiciela z świętego obrazka.
Upadła na kolana i krzyknęła: „Chryste!”
Bije głową o ziemię z serdeczną rozpaczą.
A Chrystus się pochylił nad klęczącym ciałem
I rzeknie: „Powiedz ludziom, niech więcej nie płaczą.
Dwa dni leżałem w grobie. I dziś zmartwychwstałem”.



Ks. Henryk
Kardynał
Gulbinowicz.
Poświęcenie
Sztandaru
Towarzystwa
18.9.1998 r.
we Wrocławiu

Jego Eminencja Ks. Henryk Kardynał Gulbinowicz

Urodził się 17 grudnia 1928 r. w Szukiszkach w archidiecezji wileńskiej. Szkołę powszechną i gimnazjum jezuickie ukończył w 1945 r. w Wilnie, gdzie rok wcześniej wstąpił do Arcybiskupiego Seminarium Duchownego. Lata 1951-55 to studia w Lublinie, 1956-59 duszpasterstwo akademickie w Białymstoku, 1959-70 profesura w Wyższym Seminarium Duchownym Hosianum w Olsztynie, 1970-76 objęcie urzędu administratora apostolskiego w Białymstoku.

Obfitych łask i błogostawieństwa od
Chrystusa zmartwychwstałego oraz peł-
nych pokoju i nadziei Świąt Wielkanoc-
nych z radosnym Alleluja wszystkim
naszym Czytelnikom Lwowiakom
i Kresowiakom oraz Rodakom za wschod-
nią granicą, jak też Rodakom na Zachodzie

życzą

Redakcja „Semper Fidelis”,
Zarząd Główny TMLiKPW,
Fundacja Kresowa „SF”.

Jerzy Masior

Na Wielkanoc

Dopóki jeszcze nic się nie stanie
wciąż tamto we mnie jest Zmartwychwstanie.
Wiatr Kajzerwaldem kwietniowy goni,
dudni dzwonami święty Antoni.
Niewielki pejzaż ulic i placu –
Boże, dlaczego wciąż tam powracam?
Czemu wciąż hostię Lwowa podnoszę,
wciąż coś otwieram, stamtąd przynoszę.
Dlaczego echo, choć coraz cichsze –
te dzwony stamtąd słyszę i słyszę...

W 1970 r. ks. kardynał powołał pierwszy w Polsce Diecezjalny Ośrodek Kształcenia Soborowego Książy w Białymstoku. Jest członkiem trzech Kongregacji w Stolicy Apostolskiej: ds. Kościołów Wschodnich, ds. Ewangelizacji Narodów oraz ds. Duchowieństwa. Jako rządcą archidiecezji we Wrocławiu został członkiem Rady Głównej Episkopatu Polski. Jego zaangażowanie doprowadziło do wizyt Jana Pawła II we Wrocławiu (1983, 1997), dwóch Europejskich Spotkań Młodych Taizé, Kongresu Pracy, międzynarodowych obchodów 750 rocznicy śmierci św. Jadwigi oraz wyboru Wrocławia na miejsce obrad 46 Międzynarodowego Kongresu Eucharystycznego w 1997 r. Z okazji 30-lecia przyjęcia sakry biskupiej i 25-lecia rządów w archidiecezji wrocławskiej odbyły się uroczystości we Wrocławiu, a przy ołtarzu stanęły filary Kościoła Katolickiego w Polsce: biskupi, arcybiskupi i kardynałowie. Uroczystość zaszczycili kardynałowie Prymas Józef Glemp i metropolita krakowski Franciszek Macharski. List od Ojca Świętego odczytał nuncjusz apostolski, arcybiskup Józef Kowalczyk. Towarzystwo Miłośników Lwowa i Kresów Południowo-Wschodnich przyłącza się do życzeń i Dostojnemu Jubilatowi składa najlepsze życzenia zdrowia, pogody ducha i tej życzliwości i radości jaka emanuje od Jubilata. Dziękujemy Jego Eminencji za udział w licznych naszych rocznicowych imprezach i wspieranie nas Swoją Osobą i słowem w trudnych okresach naszej historii. Po lwowsku możemy tylko powiedzieć

Ta daj Boże zdrowi!

Z czym wchodzimy w XXI wiek?

Rozmowa przy kawie z prezesem ZG TMLiKPW, Andrzejem Kaminskim

Z. U.: – Kończy się 4-letnia kadencja Zarządu Głównego TMLiKPW, którego jest Pan prezesem – w marcu Walny Zjazd Towarzystwa wybierze nowe władze. Już dwukrotnie pełnił Pan tę zaszczytną funkcję – w różnym czasie, w różnych uwarunkowaniach polityczno-społecznych, personalnych, organizacyjnych. A między tymi dwiema kadencjami – przewodniczącego Głównej Komisji Rewizyjnej ZG TMLiKPW. Ma Pan nie tylko wiele ciekawych wspomnień z tego okresu, ale też niewątpliwie sporo krytycznych refleksji i wniosków. Niech się Pan podzieli nimi z Czytelnikami – działaczami TMLiKPW. Na pewno zainteresują ich np. czym różnią się te kadencje, jak by Pan je ocenił?

A. K.: – Moim zdaniem różnią się zasadniczo, są nieporównywalne. Pierwsza, w latach 1989-91, gdy objąłem prezesurę po dr. T. Myczkowskim cechowała radosna spontaniczność i jedność działania lwowiaków i kresowiaków w tworzeniu struktur i form organizacyjnych Towarzystwa. Przypomnijmy: był to okres bezpośrednio po uzyskaniu od władz w 1988 r. zezwolenia na utworzenie Towarzystwa Miłośników Lwowa (później dodano do tej nazwy: i Kresów Południowo-Wschodnich), o które od lat zabiegała grupa inicjatywna wrocławskich lwowiaków. Gdy ten cel osiągnięto, środowiska kresowe w całej Polsce samorzutnie, zwłaszcza w większych miastach, ale także i w mniejszych, zawiązywały i rejestrowały lokalne TML-e. To dzięki nim ożyły kresowe tradycje i obyczaje, zaczęto upamiętniać historyczne wydarzenia na Kresach. M.in. na cmentarzu we Wrocławiu stanął piękny pomnik Orląt Lwowskich, w Lublinie Lwowski Lew, w miejscach kultu wmurowano uroczyste tablice pamiątkowe. Wówczas też narodziła się większość, aktualnych do dziś, inicjatyw – urządzania środowiskowych zjazdów, spotkań, lokalnych festiwali, kresowych imprez artystycznych, Dni Lwowa, wycieczek i pielgrzymek na Kresy, połączonych z niesieniem pomocy rodakom tam pozostałym. To wówczas ruszyły na Wschód pierwsze samochody z żywnością, odzieżą i lekami – do kościołów i powstających organizacji polskich. A później z materiałami budowlanymi – cementem, blachą, stalą zbrojeniową i in. do odbudowy świątyń, niszczących pamiątek narodowych, a wreszcie cmentarzy – Łyczakowskiego i Orląt Lwowskich. Robiliśmy to wspólnie, zgodnie pomagając sobie wzajemnie.

Doprawdy, jestem wdzięczny losowi, że mogłem być aktywnym uczestnikiem tych pamiętnych dla lwowiaków i kresowiaków wydarzeń jako działacz TML. Gdy kończyłem pierwszą „prezesurę” działało około 50 oddziałów i klubów TMLiKPW. Ukazywało się regularnie nasze czasopismo „Semper Fidelis” i działała Fundacja Kresowa o tej samej nazwie. Taki był bilans wspólnej, zgodnej, spontanicznej działalności nas wszystkich. Bo zgoda buduje...

Z. U.: ... a niezgoda rujnuje – głosi ludowe porzekadło. Czy od jego przypomnienia chciał Pan zacząć ocenę mijającej kadencji ZG Towarzystwa pod pańskim przewodnictwem?

A. K.: – Mądrość ludowa zawarta w tym popularnym porzekadle faktycznie może stanowić motto oceny tej kadencji, z tym, że słowo rujnuje zastąpiłbym: utrudnia, komplikuje działalność Towarzystwa i jego władz zwierzchnich,

wybranych w demokratycznych wyborach. Uniemożliwia wypracowanie wspólnego stanowiska w ważnych dla środowiska sprawach i zaprezentowanie go jako głosu całego TMLiKPW...

Otóż obejmując po raz drugi prezesurę (ZG TMLiKPW) zastałem struktury organizacyjne Towarzystwa już utrwalone, ukształtowane. Ale większe, prężniejsze oddziały i kluby szukały innych form działalności – zupełnie samodzielnej lub w strukturach poziomych z sąsiadami zza miedzy. Mając przychylną i poparcie lokalnych władz, pomoc sponsorów, stwarzało to im możliwości pełniejszego, szerszego działania. Zapewne był to też dalszy krok lokalnych środowisk kresowych do pełniejszej ich integracji. Nie byłem przeciwny temu procesowi, jak mi niektórzy imputują, lecz przychylnie ustosunkowany i nie zamierzałem go hamować, bo po wygaśnięciu pierwotnej spontaniczności wyzwalał nowy zapal do działalności u liderów środowisk kresowych. Jednakże niektórzy z nich, z rozbudzonymi ambicjami politycznymi, zaczęli wykorzystywać go do zrobienia kariery poselskiej, jako reprezentanci utworzonego w strukturach lokalnych TMLiKPW i z jego członków Polskiego Stronnictwa Kresowego. Tradycyjne pielgrzymki kresowian na Jasną Górę przekształcili w populistyczne mitingi polityczne PSK. Jednocześnie przestali uczestniczyć w pielgrzymkach organizowanych przez kapelana TMLiKPW ks. Janusza Popławskiego. Zlekceważyli nawet pielgrzymkę w intencji pojednania kresowian.

Z. U.: – I doszło do podziału w TMLiKPW...

Zdecydowana większość oddziałów, klubów i członków TMLiKPW nie poparła idei upartyjniienia oddziałów, nie uczestniczyła także w „pielgrzymkach” i zjazdach kresowian spod znaku PSK na Jasnej Górze i w Przemyślu. Ich przebieg odbił się nieprzychylnym echem w kraju i ... we Lwowie, co znalazło natychmiast wyraz w incydentach i prowokacjach antypolskich na Cmentarzu Orląt, na murach polskich szkół. W tej sytuacji Zarząd Główny, oddziały TMLiKPW odcięły się od politycznej działalności PSK, a członków ZG, posługujących się bezprawnie insygniami Towarzystwa i wyrażających opinie jakoby w imieniu TMLiKPW wykluczono z kierowniczego gremium. Odium tej działalności PSK jednak pozostało.

Jest mi przykro, że tak krytycznie wyrażam się o działalności prezesów i działaczy, na szczęście nielicznych, którzy dali się zwieść populistycznym hasłom PSK, bo cenię ich. Za to, co zrobili i robią, zwłaszcza na rzecz pomocy rodakom na Kresach, a także kresowiakom potrzebującym pomocy tu na miejscu. Niestety, próby porozumienia się z nimi, by zaprzestali rozbijackiej działalności środowiska kresowego w imię zaspokojenia własnych ambicji – nie odniosły skutku.

Sztucznie stworzone przez działaczy PSK oddziały już spowodowały rozbicie jedności Towarzystwa – na szczęście jeszcze w niewielkim stopniu. Jak będzie dalej? Podzielone TMLiKPW nie będzie wiele znaczyć, bo podstawą autorytetu środowiska kresowego jest jego jedność, prezentowanie jednego stanowiska. W imię tej jedności i na usilne prośby naszego kapelana ks. J. Popławskiego o pojednanie kresowian w Roku Jubileuszowym, jestem skłonny do rozmowy na ten temat ze sprawcami tych podziałów. Ba, jestem

skłonny nawet wybaczyć. Ale nie zniosę ponownego upokorzenia. A to mnie już spotkało ze strony działaczy PSK...

Z. U.: – Druga strona mówi podobnie, ma pretensje, że wypacza się jej intencje działania, postępowania, przekręca fakty. Ale zgadzam się z Panem, Prezesie, że jedność środowiska kresowego jest, w czasach zawirowań, wartościową ceną ponad wszystko. I dlatego trzeba jeszcze raz spotkać się, może na neutralnym gruncie, i spróbować porozumieć się – rozdzielić politykę od działalności stowarzyszeniowej, nie upokarzając się wzajemnie. Problem, moim zdaniem, polega na tym, że obie strony były dotąd przekonane absolutnie o swoich racjach. Przydałby się tu chyba wytrawny mediator. Nie sądzi Pan? To tyle mojego komentarza. A teraz proszę przypomnieć Czytelnikom „SF” ważniejsze wydarzenia podczas pańskiej ostatniej kadencji.

A. K.: – Największym były niewątpliwie obchody X-lecia Towarzystwa w 1998 r. Jubileuszowe uroczystości centralne rozpoczęły się w zamku Książąt Piastowskich w Brzegu, a zakończyły we Wrocławiu podczas kolejnych „Dni Lwowa”, urządzanych co roku tu nad Odrą. Uczestniczyli w nich, przypomnijmy, JE ks. Henryk Kardynał Gulbinowicz, Metropolita Wrocławski, który poświęcił sztandar ZG TMLiKPW (z haftem orla i herbu Lwowa z przedwojennego sztandaru lwowskiego), Marszałek Senatu RP Alicja Grześkowiak oraz przedstawiciele środowisk lwowskich i kresowych z całego kraju. W późniejszym terminie władze uhonorowały działaczy TMLiKPW odznaczeniami państwowymi, które wręczył im Witold Krochmal, Wojewoda Dolnośląski, województwa najbardziej „kresowego” w Polsce. Z okazji Jubileuszu TMLiKPW wybiliśmy w brązie pamiątkowy medal – wraz ze Złotą Honorową Odznaką Towarzystwa otrzymali je reprezentanci władz i sympatycy, wśród nich Wojciech hrabia Dzieduszycki, symbol witalności i kultury kresowej nad Odrą.

Równie podniosłe i uroczyste obchodzono, w tym samym roku, 80. rocznicę Obrony Lwowa. Urządziliśmy we Wrocławiu wielką wystawę fotograficzną pt. „Historia – Dewastacja – Odbudowa Cmentarza Orląt” z makietą tej pięknej nekropolii oraz pamiątkami z okresu walk o polski Lwów i literaturą na ten temat, którą stworzył uroczyste Sekretarz Generalny Rady Ochrony Pamięci Walk i Męczeństwa, Andrzej Przewoźnik, finansującą wystawę. W Warszawie natomiast zorganizowano w dniach obchodów jubileuszu 80-lecia walk o Lwów i Niepodległość Polski – tygodniowy festiwal kultury kresowej, z udziałem najznakomitszych artystów polskich przyznających się do kresowych korzeni. Imprezy artystyczne, wystawy, spotkania, wieczornice z okazji Jubileuszu TMLiKPW i walk o Lwów odbyły się we wszystkich oddziałach i klubach Towarzystwa. Środowiska lwowiaków i kresowian dały dowód, że pamiętają o tamtych historycznych wydarzeniach i nie zapominają skąd przyszli. Znalazło to też odbicie na łamach „Semper Fidelis”.

Do pamiętnych wydarzeń w okresie „jubileuszowej” kadencji TMLiKPW niewątpliwie należy wspomniane już wcześniej pielgrzymki – do Błogosławionego Jana z Dukli – patrona Lwowa, do Szymanowa do sanktuarium Matki Boskiej Jazłowieckiej – patronki lwowskich ułanów jazłowieckich oraz Pielgrzymkę Pojednania Kresowian do M. B. Żółkiewskiej, zorganizowaną przez ks. J. Popławskiego.

Najważniejszym jednakże wydarzeniem było rozpoczęcie odbudowy Cmentarza Orląt Lwowskich na podstawie ofi-

cialnego porozumienia wynegocjowanego w trudnych rokowaniach z władzami Lwowa, w których uczestniczyłem jako reprezentant TMLiKPW oraz społeczności kresowej w Polsce. Po podpisaniu porozumienia przez stronę polską, a uczynił to Sekretarz Generalny Rady Ochrony Pamięci Walk i Męczeństwa, Andrzej Przewoźnik – ZG TMLiKPW przekazał ze specjalnego konta do ROPWiM pokątną sumę zebraną przez członków Towarzystwa na spotkaniach, obchodach rocznic, a przede wszystkim podczas corocznych kwest w Święto Zmarłych przed cmentarzami w całej Polsce na odbudowę drogiej sercu lwowiaków nekropolii. Podobnie postąpiły oddziały TMLiKPW, które nie przekazały wcześniej na konto TMLiKPW zebranych na ten cel środków. Tak więc od 1997 roku uczestniczymy w odbudowie Cmentarza Orląt Lwowskich nie tylko emocjonalnie i dorywczo przy pracach porządkowych w czasie odwiedzin tego miejsca podczas wycieczki na Kresy, lecz także oficjalnie finansowo. Sądzę, że kwestarze, którzy co roku, bez względu na pogodę, zjawiają się przed nekropoliami w Święto Zmarłych w miastach całej Polski i ci, którzy ofiarowali swoje złotówki (w kraju) i dewizy (zagranicą) na ten patriotyczny cel – są usatysfakcjonowani. Oczywiście nie przestaniemy dalej zbierać na odbudowę miejsca spoczynku Orląt Lwowskich, bo na wykonanie wszystkich robót potrzebne są, oprócz środków państwowych, także nasze złotówki.

Wydarzeniem, na skalę ogólnopolską, było wzniesienie we Wrocławiu Pomnika Pomordowanych na Wschodzie. Choć nie jest to zasługą TMLiKPW, lecz Stowarzyszenia Upamiętnienia Zbrodni Ukraińskich Nacjonalistów, ale kresowiaci i Towarzystwo dołożyli swoje cegiełki do realizacji tej pięknej w formie idei oddania hołdu pamięci Polakom, którzy zginęli z rąk zbrodniarzy spod znaku UPA. Lwowiaczy i kresowiaczy osiedleni tu nad Odrą nie zapomnieli skąd pochodzą, popularyzując dorobek kulturowy, tradycje, zwyczaje na organizowanych co roku w miastach całej Polski – „Dniach Lwowa”, „Dniach Kresów”, piosenki kresowej, lwowskiego bałaku, kołęd, obrządków, potraw itp. Oprócz „starych” rodzą się nowe inicjatywy i, co ważne, uczestniczy w nich coraz więcej młodzieży – trzecie, czwarte pokolenie kresowian. W czerwcu, tradycyjnie, odbędą się kolejne, już VI DNI LWOWA we Wrocławiu, z udziałem laureatów konkursów kresowych. Zapraszamy.

Z. U.: – W marcu br. wybory nowych władz Towarzystwa. Wybór jakich działaczy, jakiego pokroju, według Pana, zagwarantuje dalszą, a przede wszystkim harmonijną i bezkonfliktową działalność Towarzystwa?

A. K.: – Przede wszystkim apolitycznych, nie związanych oficjalnie z żadną opcją polityczną. Prywatnie, owszem, mogą, lecz ich zaangażowanie w jakąkolwiek działalność polityczną czy partyjną nie może się przekładać na działalność w TMLiKPW. Ostentacyjne popieranie przez nich „jedynie słusznych” według nich partii politycznych, manifestacyjne popieranie w wyborach określonych kandydatów – per saldo szkodzi Towarzystwu, bo zaczyna być postrzegane przez jednych jako „nasze”, przez innych jako „ich”, a to prowadzi do polaryzacji wśród członków Towarzystwa, którzy, jak w każdej większej zbiorowości, opowiadają się za różnymi opcjami politycznymi. Doświadczamy to właśnie po upartyjnieniu się niektórych śląskich oddziałów TMLiKPW. Towarzyszy temu zazwyczaj nieporządkowywanie się legalnie wybranym władzom naczelnym Towarzystwa, ignorowanie jego zaleceń, prowadzenie na własną rękę działalności nie zawsze zgodnej ze statutem Towar-

rzystwa, choć pod jego szyldem. I Zarząd Główny, jego prezes muszą tłumaczyć się, odpowiadać na pretensję, zarzuty. Wybierzmy ludzi mądrych, prawych, doświadczonych. Fakt, że jest ich coraz mniej, bo odchodzą od nas Na Zawsze – jak śp. Adam Lewicki, Zdzichu Ojrzynski i inni, ale jest jeszcze wielu im podobnych. Może ich nie dostrzegamy, bo działają tylko w swoich małych środowiskach. Niech ich delegują na Zjazd. Towarzystwu pilnie potrzebni są działacze nowi, energiczni, z pomysłami. By TMLiKPW nie stało się tylko celebrazem lub uczestnikiem patriotycznych, kresowych uroczystości i obchodów.

Z. U.: – Jakże zadania, cele, według Pana, powinny być najważniejsze w programie TMLiKPW na kolejną kadencję?

A. K.: – Przede wszystkim konsolidacja Towarzystwa, koordynacja działalności i inicjatyw podejmowanych przez Zarząd Główny i w oddziałach, co nie oznacza uszczuplenia ich praw. Ale skoro zdecydowaliśmy się załatwić jakąś sprawę, rozwiązać problem, to musimy mówić o tym jednym głosem i razem działać. Szczególnie ważna jest koordynacja różnych form pomocy rodakom i organizacjom na Kresach. Powinna temu patronować Fundacja Kresowa „Semper Fidelis”. Widzę potrzebę nawiązania ściślejszej współpracy ze „Wspólnotą Polską” i innymi organizacjami kresowymi, nie tylko w celu wzajemnego wspierania się i pomagania sobie w działalności, która jest identyczna z naszą, ale by zabierać głos, mówić jednym, liczącym się głosem w sprawach dotyczących Kresów i kresowian. Obecnie każdy sobie ... i stąd nikłe efekty, nie liczenie się z nami władz. Lokalnie także, począwszy od Wrocławia – siedziby władz Towarzystwa – powinniśmy zapoznać władze z naszym programem działania, starać się o poparcie i pomoc w jego realizacji, proponować współudział w nawiązaniu partnerskich kontaktów Wrocławia z Lwowem, co na pewno ułatwiłoby nam niesienie pomocy naszym rodakom tam mieszkającym w szerszej, niż dotychczas, formie np. lekarskiej, rzemieślniczej, renowacyjnej, nie czekając aż załatwi to za nas Warszawa. I byłby to nasz wkład w zbliżenie obu narodów, pojednanie, które już założyła deklaracja podpisana przez prezydentów Polski i Ukrainy. Nie możemy stać z boku i być tylko obserwatorami tego procesu, który nas dotyczy i obchodzi.

Sprawa przyciągnięcia do naszych idei, wciągnięcia w działalność TMLiKPW młodzieży, która ma nas niebawem – taka jest prawda – zastąpić w popularyzacji prawdy historycznej o polskości Kresów, o naszym dorobku tam nagromadzonym w ciągu dziejów – jest sprawą priorytetową. Owszem, popierajmy nadawanie szkołom imienia „Orląt Lwowskich”, festiwale piosenki kresowej, bałaku itp., ale te imprezy, organizowane okazjonalnie, nie rozwiążą w/w problemu. Dobrym, jak uważam, przykładem może być, organizowany co roku we Wrocławiu przez Oddział TMLiKPW, młodzieżowy rajd „Śladami zabytków Lwowa we Wrocławiu”, który dzięki towarzyszącemu konkursowi wiedzy o tym mieście i Kresach jest najlepszą formą propagowania tej wiedzy w szerokich kręgach młodzieży szkolnej. Może zapraszać do udziału we wrocławskim rajdzie drużyny szkolne z innych miast, nie tylko Dolnego Śląska? Trzeba też wykorzystać popularność jaką cieszy się wśród młodzieży nasza wystawa fotograficzna „Cmentarz Orłąt: Historia – Dewastacja – Odbudowa” z makietą tego cmentarza. Powinna dotrzeć tam, gdzie tylko znajdują się chętni do jej eksponowania. Prezentuje bowiem najszlachetniejsze postawy młodego pokolenia Polaków na Kresach w tamtych czasach:

gorący patriotyzm, bohaterstwo. Uczy i wzrusza, czego dowodem są wypisy w księdze pamiątkowej wystawy. Warto byłoby je kiedyś, przy jakiejś okazji, opublikować i zaprezentować młodym.

I ostatnia sprawa do załatwienia, nie mniej ważna: Zarząd Główny TMLiKPW, mający około 80 placówek Towarzystwa w całej Polsce, nie może dobrze funkcjonować posiadając tylko jeden telefon (bez pamięci) i zdezelowany wielacz. Wstyd o tym mówić. Musimy go doposażyć w fax, automatyczną sekretarkę, komputer do gromadzenia bazy danych o Towarzystwie, jego oddziałach, członkach, planach, imprezach itp. W 2000 roku bez nich nie można już sprawnie zarządzać, pracować...

Z. U.: – Zrozumiałe są teraz trudności kontaktowania się z Zarząd Głównym, pomyłki, niedocieranie informacji, brak odpowiedzi na faxy, które ... nie dotarły do nas. Mam jeszcze jedno pytanie, Panie Prezesie: co sądzi Pan o ewentualności przeniesienia siedziby TMLiKPW z Wrocławia np. do Warszawy, jak niektórzy proponują?

A. K.: – Wpierw trzeba byłoby zmienić odpowiedni zapis w Statucie TMLiKPW, co oczywiście Zjazd może uczynić, ale ... Wrocław został wybrany na siedzibę władz zwierzchnich Towarzystwa nie tylko dlatego, że wrocławscy lwowiacy pierwsi w kraju utworzyli Towarzystwo Miłośników Lwowa, we Wrocławiu je zarejestrowano i ustalono jego siedzibę. Tu, nad Odrą, było i jest nadal największe skupisko b. mieszkańców Lwowa i różnych miast polskich na Kresach. Stąd mamy, niejako moralne, prawo by we Wrocławiu pozostał ZG TMLiKPW...

Z. U.: – Dziękuję za kawę.

Rozmawiał: Zbigniew Umański



Fot. M. Rogalski

Pomnik Aleksandra hr. Fredry odsłonięty we Lwowie w 1897 r. Ponownie odsłonięty na Rynku wrocławskim 15. lipca 1956 r.

Pamiętanie, ale jakie Jerzy Masior Koledzy (2)

To była sakramentalna od dawnych, jeszcze cesarsko-królewskich, galicyjskich czasów godzina: ósma rano. We wszystkich nieomal szkołach powszechnych (dziś: podstawowych) i gimnazjalnych we Lwowie rozbrzmiewał wtedy dzwonek na pierwszą lekcję. Owym dzwonkiem zespolonym z drewnianą rączką dyndał tercjan, choć w niektórych szkołach w latach trzydziestych zaistniały już dzwonki elektryczne. Dźwięki tych pierwszych były koncertami, wobec jednostajnego buczenia tych drugich. Dzwonienie tercjana w moim II Gimnazjum to istna kaskada różnorodnych, dynamicznych dźwięków: początkowo pojedynczych, cichych i nieśmiały, poprzez przydługie zazwyczaj allegro vivace, kończyło się krótkim, podzwonnym forte. Niekiedy sygnał dzwonka zaczynał się solidnym, pojedynczym dźwiękiem, jakby na próbę głosu, na wejście, by rozlać się po korytarzach donośnym staccato, a później cichnąć po wszystkich zakamarkach szkoły, których w naszej Budzie nie brakowało. Owa melodyka dźwięków archaicznego dzwonka naszego tercjana była funkcją jego aktualnego nastroju, który zmieniał się nie tylko w rytmie kalendarzowym, ale i w rytmie dnia.



Autor w 1941 r. Lwów (Zdjęcie z Kennkarty)

Tak, czy owak dla nas lwowski dzień zaczynał się o godzinie 8.00. Kwadrans lub dwa wcześniej, trwała wędrowka szkolnej braci, by zdążyć przed dzwonkiem, przed tym sygnałem kategorycznym i ostatecznym, że już za chwilę zacznie się obrzęd lekcji i pauz. Zacznie się ów szkolny rytuał zdobywania wiedzy, który większości z nas wypełniał zielone lata. Decydował o przyszłości, choć wówczas nie obnosiliśmy się jeszcze z taką świadomością.

Z tramwajów wysypywało się bractwo obojga płci, najczęściej jednak maszerowało piechotą z odległych nieraz dzielnic, bo różnie się mozaika uczęszczania do szkół i miejsc zamieszkania w mieście układała. Np. moja kuzynka Zosia mieszkająca na ul. Teatyńskiej, miał być nazaretanką, bo to gimnazjum było tuż, tuż, jeździła na Zieloną do Strzałkowskiej. O szkołach, zwłaszcza gimnazjalno-licealnych krążyły po Lwowie różnorakie opinie, niekiedy legendy, a że nie funkcjonowała znana nam dziś rejonizacja, więc rodzice i po troszę my, nie kierowaliśmy się odległością od szkoły, którą już potem trzeba było wydeptywać. I to przez jakże wyrażenie zmienne lwowskie pory roku. Zdecydowanie najlepiej mieli dojeżdżający tuż pod szkołę tramwajem. Pod II Gimnazjum zjeżdżało się tych „balonów” na Podwale i Ruską – sporo.

Nie miałem żadnego wpływu na mój wpis do II Gimnazjum. Przecież VI Gimnazjum na Łyczakowskiej było znacznie bliżej. Chyba zdecydowało o wszystkim zapisanie do „dwójki” mojego kuzyna (stryjeckiego brata – Janka), któremu z Teatyńskiej, gdzie mieszkali stryjostwo, było tu

najbliżej. Rodzice chcieli nas jako równolatków połączyć w szkole. Ani przez chwilę tego nie żałowałem. Wszystko, co było związane ze szkołą na Podwale, było najlepsze i najciekawsze. Zaczynał funkcjonować w podświadomości typowy dla Lwowa lokalny patriotyzm, w wyniku którego zaistniały owe najlepsze szkoły, ulice, parki, świątynie i kina. Przyszło mi dwa razy dziennie maszerować do Budy ulicą Kurkową. Dziś, po latach, gdy wspominam te szkolne wędrówki, nic z tego co poprzednio napisałem nie straciło na aktualności. Zostałem tej ulicy, na której zresztą podzielał się później wiele ważnych w moim życiu spraw, sympatykiem. Ulica Kurkowa, od Leśniej po Czarnieckiego i Wały Gubernatorskie, długości ok. 1,5 km, miała po drodze 3 klasztory z ogrodami i miejscami na przedlekcyjne, rozpaczliwie błagalne modlitwy. Ja szeptałem żarliwe modły o dobre stopnie przed figurą Madonny u podnóża kościoła ss. Franciszkanek. Z tego miejsca biegła w dół, ku Łyczakowskiej, ul. św. Antoniego, a więc możliwość wspólnej wędrówki z kolegami zamieszkałymi na tej ulicy. Mijaliśmy już razem bursę ruską i unoszące się ponad stromym zboczem, w perspektywie małej uliczki, sanatorium Kasy Cho-



Uczniowie II kl. Gimnazjum po meczu piłki nożnej pod Piaskową Górą. Od lewej: S. Legieżyński (?), W. Sentycz, Jan Masior (kuzyn), R. Tokarski, M. Hampel, K. Strep (1937 r.)

rych. Potężną atrakcją dla nas była przy Kurkowej tzw. Strzelnica, czyli pałacyk Bractwa Kurkowego z pięknym, dość dziko rosnącym parkiem i w nim wawozem strzelnicy. To był dla nas ważny przystanek, bo w parku za strzelnicą istniał plac, na którym rozgrywaliśmy mecze piłkarskie. To było najbliżej – chodzenie na hinter, czyli na labę. Dość często z tego parkowego boiska korzystaliśmy, bo było najbliżej, a i uroda dookolnej zieleni też pociągała. Po minięciu Strzelnicy mijaliśmy położony w sadzie kościół i klasztor Franciszkanów, i tuż za nim, przy stromej ul. Franciszkańskiej – kino PAX, do którego uczęszczałem najczęściej. Naprzeciw wejścia do kościoła był skwerek i studnia z niewielką fontanną, przy której Rusini obchodzili swe święto Jordanu. Tuż za skwerkiem stało ponure, dość spore gmaszysko poaustriackich koszar: obecnie siedziba oddziałów policji, ale także lwowskiej Komendy Chorągwi ZHP z wejściem od skwerku. Od czasu do czasu można było ujrzeć wyjeżdżające z bramy koszar samochody z policjantami „na ostro”: w hełmach i z karabinami; zapewne na jakąś akcję.

Od Czarnieckiego i zieleni Podwala wślizgiwał się w Kurkową tramwaj: „czwórka”, by po paruset metrach skrócić z piskiem w Unii Lubelskiej i przejechałszy mijan-

kę pod Nazaretem – stromizną Teatyńskiej kończył bieg na pętli pod Wysokim Zamkiem.

Do dziś mam w oczach ów poranny pospieszny, uczniowski ruch uliczny. Docierają pod gimnazjalną bramę od strony Podwała koledzy w granatowych mundurkach, często wygłancowanych na siedzeniach i łokciach przez ławki. Jeszcze w 1939 r. mieliśmy przy mundurkach niebieskie, bo gimnazjalne, wypustki i w takimż kolorze tarczę na rękawie z cyfrą „560”, wyhaftowaną srebrnymi nićmi. W liceum te kolory się zmieniały, ale nam do liceum jeszcze było daleko. Kończyliśmy III klasę. Kilku kolegów opisałem już uprzednio („Koledzy”, „SF” nr 5 (52), str. 7), ale to przecież jeszcze byli nie wszyscy. Oczywiście wszystkich nie zapamiętałem. Jednakże zaistnieli tacy, którzy w pamięci nie pozbawionej różnych „splotów i skrętów” – pozostali. I tkwią w niej jak klejnoty w koronie czasu. To przecież oni ten CZAS współtworzyli. Swoją obecnością powodowali, że linia mojego gimnazjalnego żywota nie była prosta, a powyginana niekiedy wręcz nieprawdopodobnie. Przebiegała ustawicznie w przestrzeni trójwymiarowej. Po lwowsku: po debrach losu. Dlaczego jednych zapamiętałem, innych nie: przepadli w napływających zewsząd konstelacjach wydarzeń i ludzi. Różnorakie tej pamięci szczególnej były przyczyny: wspólna klasowa ławka, ta sama droga do szkoły, harcerstwo (szczególnie), klasowa drużyna piłkarska i tyle, tyle innych, niekiedy niezwyklejszych szkolnych wydarzeń i okoliczności, które w przyszłości miały stać się punktami namiaru.

Na ten przykład z Romkiem Tokarskim prócz bliskości adresowej złączyła nas ministrantura! Czy pamiętacie Czytelnicy (co starsi), że już gdzieś od II gimnazjalnej, gdy liźnęło się w I-szej trochę łaciny, ksiądz katecheta zachęcał nas w ramach nauki religii do obowiązkowego służenia do mszy. Nasz wielbny i b. lubiany ks. Oprędkiewicz sumiennie egzekwował naszą umiejętność poruszania się po stopniach ołtarza. I tak oto zaczęły się moje częstsze kontakty z Romkiem, z którym tworzyliśmy ministrancką parę. On był już w tej „służbie” doświadczony, bo mając w rodzinie kleryka, służył do mszy u św. Antoniego i u M. B. Ostrobramskiej. Ja byłem początkujący, więc przeznaczono mi lewą stronę ołtarza, czyli „do mszału”, natomiast Romek był tym ważniejszym, czyli „do wina i wody”. Oczywiście obaj z zapalem dzwoniliśmy. Mój Boże, jakże współcześnie odprowadzane msze św. są zubożone, gdyż tak często brakuje ministranckich dzwonek. Służyliśmy początkowo tylko na szkolnych (dla nas „ćwiczebnych”) mszach u Karmelitów. Zawsze we dwóch. Już w czasie wojennym robiłem to sam i w różnych świątyniach, m.in. w kaplicy arcybiskupiej towarzysząc przy ołtarzu ks. Rehowiczowi, memu ówczesnemu nauczycielowi filozofii i historii kościoła na komplecie tajnego nauczania, a późniejszemu biskupowi diecezji lubaczowsko-lwowskiej, czyli na wygnaniu. Z gimnazjalnego okresu dobrze zapamiętałem barokową, mroczną i nastrojową karmelitańską zachrystię. Dość duża odległość klasztorna dzieliła ją od stopni ołtarza.

Romek mieszkał na Łyczakowskiej w kamienicy obok szkoły żeńskiej św. Antoniego, na III piętrze. Ulica w tym miejscu szerokim łukiem skręcała do placu Antoniego i dalej ku górze. Z okien mieszkania Romka był wspaniały widok na dolny i górny odcinek ulicy, na kościół nasz parafialny, na plac, na cały ten, niezapomniany nigdy, łyczakowski pejzaż. Trochę w dole po lewej stronie ulicy stała zоста Buda – „Budynek niewielki o tynkach zszarzałych” (W. Szolginia – „Krajobrazy syrdaczny”), a za nią w sąsiedztwie Zakład Głuchoniemych i naprzeciwko zwalisty gmach szpi-

tała wojskowego z pięknym portalem kaplicy. Oczywiście miejscem, ku któremu zbiegała się Łyczakowska i parę innych pomniejszych uliczek, był plac świętego Antoniego. Gdy teraz wędruję po współczesnym, ukraińskim Lwowie, jakże mi tego „rodzinnego” i domowego placu brak. Wprawdzie on istnieje nadal jako centrum handlowe dzielnicy, ale pokiereszowany nie do poznania: obudowany jakimś obokornym murem z przyklejonymi doń szkaradnymi, bezstylowymi kioskami, w których dominują alkohol i towary z „importu”, czyli z Polski. Jest tu także kantor wymiany walut i tym podobne biznesy uliczne, raczej dla ubogich... A ja zatrzymując się na przystanku tramwajowym (w tym samym co niegdyś miejscu), zamykając powieki, widzę ten plac mieniący się targowymi, pysznymi barwami. Właśnie nadjechała „jedynka”, wysiadają koledzy z górnej Łyczakowskiej – idziemy razem pod górę ul. Antoniego, na południową zbórkę harcerską. W połowie Kurkowej dogania nas Romek... Otwieram oczy, a tu wokół skrzeczy terazniejsza rzeczywistość: zatłoczona zdezelowanymi pojazdami ulica, brud, no i ten przeklęty, prawie wiezienny mur wokół mojego placu. A przecież zaledwie 60 lat temu (coż to jest w perspektywie historycznej) było całkowicie inaczej. Plac przyciągał, nęcił, bo to właśnie tu

... „jedynka” w dzwonekach przy placu staje,
z Rewakowicza, Ubocz, Wójtowskiej,
nawet z Pasiecznej i z Cetnarowskiej,
no i z Pijarów i z Wyspiańskiego,
i z Paulinów, i z Mączyńskiego,
i z mojej Leśnej, może z Wojciecha,
i z tej najbliższej, właśnie z Józefa,
no i z Kłuszyńskiej, no i z Kurkowej,
a więc jest tłumek, głowa przy głowie:
różne panusie, różne małanki,
te łyczakowskie śliczne krajanki.
Zdarzy si czasym tyż z dalszą baba,
która za renki ciagni sy szkraba,
albo łachudra si przykatula,
który gdzieś w parku nocky przehułał,
który przyjacil jezd Baczeskiego,
a ten Baczeski to patrún jegu.
Miglancy różny krencu si w kołu
i tak na placu jest furt wesolu!
pośród straganów placu królowa;
czy poznajecie – to... Horakowa,
przekupka słynna tu targująca,
w całej dzielnicy respekt mająca.
W jatce Ziembowicz – ryzula znany,
sprzeda ci tanio ćwierć podgardlanej,
albo rąbanki, lub świńskie ucho,
gdy z szóstakami u ciebi krucho,
zaś zieleniny i różny taki
kapusty włoski i inny krzaki,
to jest Łyczaków i plac ten stary
– zawsze do usług: firma Bodnary

.....
Antoni święty mu patronuje
ze swojej górki, z drzew kasztanowych,
na to co w doli On si kikuje:
na ty przykupki, na ty rymundy,
na tych batiarów co tylko fundy
szukali z tyłu, między kioskami
gdzie browar swoje miał przytulisko,
gdzie bidulacha też był panisko,
gdzie ta batarnia wraz z aniołami...”

Darujcie mi ten wiersz. Wydaje mi się, że jeżeli jakieś miejsce na ziemi skłania do tak nostalgicznych rymów, to miejsce to nie jest, a właściwie nie było miejscem zwyczajnym... Nie tylko ja ten plac wspominam. Ciepło i serdecznie pisał o nim W. Szolginia w swoim „Tamtym Lwowie”: „*lubilem ten targowy plac, wszystkie te jego stragany pełne wszelakiego jarzynowo-owocowo-krupiańskiego dobra... Wstępowałem na ten plac, aby przejść się między rzędami straganów. Nigdy nie miałem dość ich oglądania, a także ukradkowego dotykania tego, co na nich leżało.*” To wędrowanie po placu młodego Witka było powodowane zapewne jakimś magicznym przymusem. Ja to magiczne istnienie placu odkryłem po latach, gdy zdałem sobie sprawę, że w pobliżu przyszli na świat jedni z najcieńszych współczesnych polskich poetów: Zbigniew Herbert i Adam Zagajewski. A jeszcze wcześniej zbiegał z Piaskowej w młodopolskiej pelerynie bard Lwowa – Henryk Zbierzchowski. Wszyscy oni musieli chcąc nie chcąc nałykać się powietrza placu. Wieczornego i porannego.

Ale dość tego pamiętliwego włóczenia się po placu. Wracam do Romka. Grał w piłkę dość zapalczywie, ale jeszcze chętniej jeździł na nartach. Wzgórza pobliskiego Kajzerwaldu były zimową porą naszym narciarskim Eldorado. Zjazdy na stokach, najczęściej na tzw. krechę, miały różną skalę trudności. Była także skocznia narciarska z prawdziwego zdarzenia. W czasie okupacji, chociaż uczęszczaliśmy do różnych sowieckich szkół, kontaktu z Romkiem nie zerwałem. Zimą dość często chodziliśmy na krytą pływalnię przy ul. Jabłonowskich. Stamtąd mam wspaniałe wspomnienia: pięknie przeszklony i oświetlany podwodnie wieczorami basen był dla nas czymś w rodzaju teatru wodnego. Ileż to osób demonstrowało w tym miejscu swoje wodniackie umiejętności – swoją ciężką fizyczną. Przez chwilę zapominaliśmy, że to czas wojenny, okupacja i dramatyczne realia sowieckiej szkoły. Na basen pierwszy zaprowadził mnie Romek. Wiosną 1942 r. rozpoczął się kolejny, już bardziej męski, okres naszej przyjaźni: zwerbowałem Romka do mojej komórki kontrwywiadu AK. Mnie zmobilizował wcześniej mój były drużynowy 40 LDH – druh Jacek Wojciechowski, były student Lwowskiej Politechniki. Tak wypadło, że po zaprzysiężeniu przez Jacka zostałem mianowany dowódcą, czy też starszym komórki wywiadowczej. W początkowej fazie działalności miałem jeszcze trzech podkomendnych: Romka, Kazia Strepę i Tadzika Najdę – wszyscy koledzy klasowi z II Gimnazjum. Jednakże najbardziej przydatnymi w naszej „robocie” okazały się siostry Romka: Marysia i Halina. Szczególnie ta ostatnia, pracująca w pobliskim wojennym szpitalu niemieckim. Sobie jedynie wiadomym sposobem, którego nie zdradzała, dostarczała broń – głównie krótką – kupując ją od rannych żołnierzy niemieckich, węgierskich i włoskich. Była to czynność niezwykle ryzykowna, bowiem tych frontowych żołnierzy nie pozbawiano w szpitalu „czułej” opieki Gestapo z uwagi na naturalne wśród rannych rozluźnienie dyscypliny i wojenny defetyzm. Do Lwowa docierały m.in. transporty rannych żołnierzy z bitwy stalingradzkiej... Pieniądze na te militarne zakupy otrzymywała Halina ode mnie. Były to pieniądze „londyńskie”, których dostarczycielem był druh Jacek. Pistolety odbierałem w mieszkaniu Romka, bądź dostarczał mi je sam, w tajemnicy przez rodziców, na Leśną. Skrytkę do przechowywania urządziłem w podwórzu, w komórce na węgiel. Stamtąd wydawałem broń Jackowi. Zaprawdę

pomysłowość Haliny w zdobywaniu pistoletów musiała być niezwykła. Jakże obawialiśmy się o nią każdorazowo, gdy wychodziła na dyżur w swoim szpitalu. Z tych zakupów „przydzieliłem” sobie wspaniały, policyjny, dwusprężynowy PP-38. kalibru 9 – pistolet z czarną kaburą. Z tym pistoletem wyruszyłem na wojnę w sierpniu 1944 r. O naiwny! Szybko mi go konwojujący nas do Lublina towarzysze żołdacy odebrali. Jest jeszcze inny, późniejszy finał tej pistoletowej przygody. Jeden z nich Halina zachowała dla siebie. Nie dziwię się: pokusa przywłaszczenia sobie zakupionej broni była dla młodej dziewczyny zbyt duża. Broń „repatriowała” do Wrocławia. Jednakże powodowana nastrojami stanu wojennego w 1981 r. utopiła pistolet w Odrze z mostu Grunwaldzkiego. Zadziwiający to rys kobiecego charakteru: w czasie okupacji miała w swych rękach wiele pistoletów, które wynosząc ze szpitala musiała mieć przy sobie, co groziło karą śmierci. I nic – to trwało przecież blisko dwa lata. A później wystarczyło ogłoszenie stanu wojennego, by strach tak sparaliżował Halinę, że dramatycznie nieomal i nieoczekiwanie pozbywa się pistoletu. Nie mieszkając już wtedy we Wrocławiu, Romek już wtedy nie żył – Halina nie miała żadnego wsparcia. Szkoda tej okupacyjnej, AK-owskiej broni. Miała swoją historię, którą tu odnotowuję. To zaledwie ziarenko walki w dziejach walczącego Lwowa, ale przecież z takich ziarenek układamy historię Miasta nad Pełtwią. Pistolet Haliny powinien – moim zdaniem – znaleźć się we wrocławskim Arsenale.

Romek po ponownym wkroczeniu Sowietów do Lwowa rozpoczął studia medyczne (albo weterynaryjne). Jakim cudem uniknął wcielenia do wojska, nie wiem. Mnie się to nie udało, zresztą czując się zagrożonym sam się do wojenkomatu na Kurkowej zgłosiłem. Ja się od wczesnego aresztowania ustrzegłem, ale mojego Ojca do Donbasu wywieźli już we wrześniu. A przyszli wtedy w nocy po mnie. Romek studia ukończył we Wrocławiu i tam też spotykaliśmy się. Ja pracowałem w klinice, a on w Strzegomiu (?), w Ośrodku Zdrowia. Tam zmarł. Nie wiem, gdzie spoczął ten do szpiku kości chłopak z Łyczakowa – kolega bardzo serdeczny. W mojej pamięci jest wciąż w szkolnym mundurku, w czapce gimnazjalnej „na bakier” noszonej, z jasnymi włosami i jasną twarzą, na której zazwyczaj zawieszała ciepły uśmiech, sygnalizujący nieustanną koleżeńską życzliwość. Kołnierzyk koszuli wykladał zazwyczaj „na Słowackiego”. Zawsze skory do współrealizacji moich pomysłów, których mi nigdy nie brakowało. Żle wymawiał „r”, co przypominało grasejowanie, choć w gimnazjum językiem obowiązkowym był niemiecki.

Pozostanę przy Łyczakowskiej. Pod 7-ym, a więc tuż za placem Cłowym (nazwanym później – Bandurskiego) mieszkał Kazio Strep. Zaliczałem go do ściślejszego grona kolegów. Często razem grywaliśmy w piłkę na Strzelnicy i razem wracaliśmy ze szkoły do domu. W piłkę grywaliśmy także na polanie pod Kopcem Unii Lubelskiej, gdzie dziś sterczy obrzydliwy maszt anteny telewizyjnej. Kazio był zawziętym piłkarzem, ale mniej zawziętym uczniem. Mieszkał na I piętrze amfilady, naprzeciw której, również w podwórku, było kino „Metro” cieszące się sławą jednego z najbardziej batiańskich kin Lwowa, z widowni którego przejęta obrazami wyświetlanych na ekranie filmów z Dzikiego Zachodu batarnia okazywała swoje zaangażowanie, strzelając do ekranu z katapultek (czyli proc). Rzadko w tym podejrzanym kinie bywałem, ale filmów kowboj-

skich raczej nie opuszczałem. W mieszkaniu Kazia spotykaliśmy się na partyjkach „flirtu”, bardzo rozpowszechnionej w tamtych czasach gry młodzieży przy pomocy kart zadrukowanych dość romansowymi pytaniami i odpowiedziami. Oczywiście graliśmy w mieszanym damsko-męskim towarzystwie z siostrami i koleżankami siostr Kasia. To było przedszkole naszych zbliżeń z dziewczynami, osławianiem się z nimi. Na razie w klimacie jego mieszkania. W czasie okupacji, jak to już wspominałem, Kazio był w mojej komórce AK-owskiej, ale aktywnością się nie popisywał. Po wojnie spotkałem go kilkakrotnie we Wrocławiu. Mieszkał na Sepolnie na ul. Monte Cassino. Jakoś nie ożywiła nas lwowska przeszłość – nie okazywaliśmy już wtedy wzajemnej zażyłości, mimo że dzieliła nas zaledwie jedna ulica. Już w dawniejszych tekstach drukowanych w „SF” zastanawiałem się, że bardzo serdeczne lwowskie więzi tak się po wojnie poluzowały, tak wystygły. Teraz, na starość, chciałoby się do nich wrócić, tylko najczęściej nie ma już jak. Bohaterowie tamtych lat odeszli, przynajmniej ci moi.



*Róg Kurkowej i Leśnej
1939 r.: od lewej:
J. Masior (w czapce),
T. Najda, przed nimi
K. Strep.*

Tadzik Najda mieszkał na Słodowej w jednopiętrowej kamienicy po lewej stronie ulicy, naprzeciw wylotu ulicy Wyspiańskiego. Podwórko tej kamienicy „wylewało” się na plac św. Antoniego. To samo robiła jedna z pobliskich najkrótszych ulic Łyczakowa – Mała, położona tuż, tuż. O Tadziku niezbyt wiele mogę napisać. Był kolegą mało-mównym, niezbyt kontaktowym, trochę, jak na mój gust, tajemniczym. Przystojnym i budzącym zaufanie. Uczył się nieźle. Robił to co my wszyscy, ale jakby po swojemu, z dystansem. Zawsze starannie ubrany, schludny, co należało raczej do rzadkości w naszym klasowym społeczeństwie. Mimo mundurkowych rygorów gimnazjalnych już wtedy uprawialiśmy styl ubierania się „na luzie”, tak teraz modny w pewnych kręgach młodzieży. Tylko na niedzielne egzorty i msze szkolne pucowaliśmy obuwie i zaprasowywali kantki odświętnych, a więc długich spodni. Dla przypomnienia: większość z nas biegła do szkoły w tzw. pumpkach, dzisiaj zupełnie nieznanych młodzieży. Dziś czasem jeszcze na turystycznym szlaku wędrują w takich spodniach bardzo starsi panowie. Tadzik był więc potrosze wzorem zarówno w nauce jak i w szkolnej elegancji. Nikt z kolegów nie zamierzał go jednak naśladować. Ze szkoły wracaliśmy najczęściej razem – do końca Kurkowej. Tu był tradycyjny przystanek na rogu, pod gazową latarnią. Po chwili ja pędziłem zazwyczaj porządnie wygłodniały na obiad do Mamy na Leśną, a Tadzik zbiegał w dół na Słodową. W czasie okupacji próbowałem także jego przy-

ciągnąć do organizacji. Szło to z oporami: nie zdradzał zbyt dużego entuzjazmu. Już później dowiedziałem się, że był w AK i to dobrze odnotowanym. Pewnie nie chciał się z tym zdradzać. Jego zamykanie się w sobie okazało się przydatne w konspiracji. Po wojnie nie spotkaliśmy się. Nie są mi znane jego dalsze losy.

Czy to już wszyscy koledzy gimnazjaliści? Ależ skąd! Zapamiętałem ich jednakże tak fragmentarycznie, że wspominając mógłbym coś przekłamać, nazbyt ubarwić, jednym słowem – tworzyć legendy, a nie rzetelne wizerunki chłopców z tamtych lat, z tamtego Gimnazjum i szkolnego podwórka.

Powinienem jednak kończąc tę koleżeńską epopeję zastanowić się, w jakim stopniu ci, żyjący obok mnie młodzi chłopcy, wycisnęli piętno na moim życiu i czy w ogóle to zrobili. Na takie rozmyślenia potrzebny jest dystans czasu. Ja go już na pewno mam. Wiem dziś, że bez Romka, Kazika, Tadeusza i jeszcze kilku innych, mój lwowski świat wyglądałby inaczej. Inne byłyby pory roku, inna szkoła, nieomal inaczej padałby wtedy deszcz i świeciło słońce. Oni powodowali, że patrzyłem na Miasto nie tylko własnymi oczami, że je inaczej przeżywałem. Skala moich podświadomych uczuć – tych najlepszych – ustawiała sobie coraz wyższe poprzeczki, a ich imiona to koleżeńskość, niekiedy przyjaźń, solidarność i firmament marzeń i planów na przyszłość. Z wyjątkiem żywota własnego niczego nie wiem o ich późniejszym życiu. Na ile ono było spełnione. Nasze drogi bardzo się rozeszły, zwłaszcza te uczuciowe, gdy straciliśmy siebie z oczu. I o dziwo, nikt z nas jakoś się nie poszukiwał. Myślę że nie mała tego przyczyną jest nasze rozproszenie po wypędzeniu ze Lwowa, a także czasy, w jakich wypadło nam przez dziesięciolecia żyć. Nie był to czas resentmentów, lecz nieomal darwinowska walka o byt, o przetrwanie. Niektórzy zapewne celowo nie chcieli się odnaleźć. Przecież nastały czasy etycznej i moralnej niepewności. Kto, z kim i z jakiego powodu? Przecież na dobrą sprawę Lwów resurexit w naszej pamięci odtajnionej w ostatnich czasach osiemdziesiątych. I wówczas to okazało się, że wielu z nas z tamtego Gimnazjum, z tamtej ulicy i podziemnej organizacji zabrakło. Albo nas zabrakło, albo nie chcieli. Każdy przeżył jakieś życie, które dostarczyło racjonalnych i irracjonalnych powodów nieobecności. Zostawmy te sprawy w spokoju. Niech będzie ciszej nad tym, co jeszcze nie tak dawno i co teraz. Ale całą dramaturgię lat gimnazjalnych zachowajmy w pamięci. Bo to jest pamięć o nas, gdyśmy byli młodością niepokalani, czysti i jakże obiecujący. To jest także pamięć o naszym najbardziej umiłowanym Mieście, które było wielką sceną stawania się. Obdarzało nas to Miasto szczerobliwymi garściami, wszystko, co złe i dobre, co łatwe i trudne, uczyło nas przeżywać. Jestem przekonany, że robiło to wysmienienie i na każdy nasz przyszły czas... Odpowiedzmy po latach na pytanie: jakimi byśmy byli, gdyby nasze życie nie zaczęło się toczyć właśnie tam. W tamtej szkole, na Corso, pod Wysokim Zamkiem, w Łyczakowskim czy Stryjskim parku, na Pohulance, na Kajzerwaldzie, na placu Antoniego i z tamtymi kolegami. Jakże oni byli ważni. Dziś to wiem.

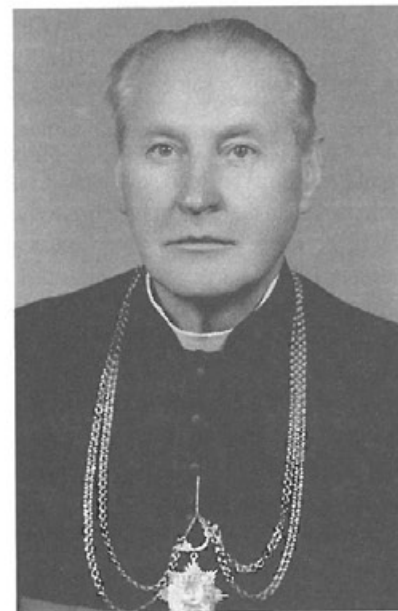
Pomyślicie: po co autor chodził na Corso, włóczył się po parkach. Solennie przyrzekam: o koleżankach też będzie.

Nowy Sącz, w styczniu 2000

KRESOWI KAPŁANI

Danuta Nespiak

Ks. infułat dr Stanisław Turkowski



W czerwcu 1976 r. we Wrocławiu ks. dr St. Turkowski, z okazji 40-lecia kapłaństwa ks. biskupa prof. dr. Wincenego Urbana, powiedział w swojej pięknej homilii: „Nasze pokolenie kapłańskie sięga swymi początkami archidiecezji lwowskiej, gdyż tam się poczęło, tam kształtowało... Lwów wierny Kościołowi. Miasto na wskroś katolickie – dzięki Kościołowi związane ściśle z kulturą zachodnioeuropejską. Bodajże jedyne miasto na świecie będące siedzibą trzech metropolii

katolickich: łacińskiej, greckokatolickiej i ormiańskiej. Na tych stolicach metropolitalnych zasiadali niekiedy bardzo wybitni ludzie, chluby Kościoła, wielcy kaznodzieje, pisarze, poeci, naukowcy, a przede wszystkim święci i światobliwi... Ośrodkiem katolickiej myśli był Wydział Teologiczny Uniwersytetu Jana Kazimierza, który przez 300 lat niemal promieniował wiedzą teologiczną na całą Polskę.”

Archidiecezja lwowska, druga po gnieźnieńskiej najstarsza w Polsce (zatwierdzona w 1375 r. przez papieża Grzegorza XI. w sierpniu 1412 r. przeniesiona z Halicza do Lwowa) była w ciągu wieków najbardziej narażona na najazdy i wojny od Wschodu. Właśnie z tej kresowej metropolii najwięcej księży przystąpiło w 1945 r. do prac nad odbudową Kościoła katolickiego na Dolnym Śląsku. Z około 300 kapłanów, którzy przybyli z jej terenu, jako jeden z niewielu pozostał do dzisiaj w czynnej posłudze duszpasterskiej ks. infułat dr Stanisław Turkowski. Kapłan ten od ponad pół wieku pracuje w archidiecezji wrocławskiej.

Urodził się 6 X 1919 r. w Sanoku, byłym województwie lwowskim, miście sławnym ze swego rodaka arcybiskupa lwowskiego Grzegorza (1407-1477) wybitnego humanisty, mecenasa sztuki, opiekuna uczonych. Trzej synowie Antoniego Turkowskiego i Marii z Kocyłowskich – Stanisław, Zbigniew i Tadeusz wychowywali się w domu inteligentkim i patriotycznym. Beztróskie dzieciństwo i słoneczna młodość przeżyte wśród kochającej się rodziny, przyjaciół i światłych nauczycieli ukształtowała formację moralno-intelektualną przyszłego kapłana. Wśród jego kolegów w sanockim gimnazjum byli m.in. prałat Z. Peszkowski, kapelan Rodziny Katyńskiej oraz dr Fr. Pajęczkowski, późniejszy dyrektor Biblioteki Zakładu Narodowego im. Ossolińskich we Wrocławiu.

Maturę, z wynikiem b. dobrym, uzyskał ks. Turkowski w maju 1937 r. Po rekolleksjach zamkniętych, w klasztorze OO. Jezuitów w Starej Wsi, 18-letni maturzysta wstąpił do Metropolitalnego Seminarium Duchownego we Lwowie przy ul. Czarnieckiego 30. Równocześnie podjął studia na Wydz. Teologicznym Uniwersytetu Jana Kazimierza, gdzie w latach 1937-1939 słuchał wykładów tak znakomych uczonych jak księża: Adam Gerstman (teologia moralna) czy

Józef Umiński (historia Kościoła) i in. Formację kapłańską w Seminarium lwowskim kształtował młody alumn pod kierownictwem wybitnych przełożonych uczelni – ks. prof. St. Frankla, ks. prof. St. Bizunia i ks. dr. M. Starka.

Drugi rok studiów ks. St. Turkowski zakończył już w niepokojącej politycznie atmosferze gorącego lata 1939 r. Sierpień spędził z rodziną w ich willi w Rymanowie Zdroju w gronie krewnych i przyjaciół zaproszonych przez jego ojca, Antoniego. W końcu miesiąca razem z rodziną uczestniczył w mszy św. połowej na błoniach sanockich, na której obecny był w pełnym, wojennym już, składzie 2 Pułk Strzelców Pohalańskich. 8 września, gdy front zbliżył się do Sanoka, Stanisław wraz z bratem Tadeuszem wyjechali, pokonując liczne trudności, do Lwowa. Po 3 dniach dotarli do Seminarium, gdzie schronienia udzielił im ks. Rektor prof. St. Frankl.

22 września 1939 r. armia bolszewicka wkroczyła do Lwowa. Kościół katolicki poddano specjalnym szykanom. Wyszedł dekret o likwidacji Wydziału Teologicznego na Uniwersytecie, a na początku grudnia księża i klerycy musieli opuścić gmach Seminarium. Ks. Stanisław Turkowski zamieszkał u swego stryja, ks. dr. Maurycego Turkowskiego przy ul. Nabelaka 18. Tak jak jego koledzy rozrzućeni po całym mieście jeździł na wykłady i ćwiczenia dla III roku, które odbywały się na plebanii parafii św. Marii Magdaleny przy ul. Sapiehy oraz u księży Zmartwychwstańców przy ul. Piekarskiej. Z rodziną utrzymywał tylko kontakt listowy. Okupacja niemiecka Lwowa przyniosła inne porządki administracyjne i ks. rektor Frankl uzyskał tymczasową zgodę na częściowy zwrot budynków administracyjnych. Rok akademicki 1941/42 był ostatnim rokiem studiów alumna St. Turkowskiego. Dnia 21 czerwca 1942 r. w kościele Seminarium Metropolitalnego we Lwowie St. Turkowski został wyświęcony przez ks. biskupa dr. Eugeniusza Baziaka wraz z grupą innych alumnów, wśród których był przyszły arcybiskup przemyski Ignacy Tokarczuk. Msze św. prymicyjną odprawił ks. St. Turkowski w kościele SS. Karmelitanek Bosych we Lwowie przy ul. Potockiego (dzisiaj w tej świątyni jest urząd pocztowy).

Swoją posługę kapłańską rozpoczął 23-letni ks. Turkowski w sierpniu 1942 r. w parafii Horodenka w woj. stanisławowskim. Horodenka położona nad granicą rumuńską, przed wojną miasto powiatowe, w okresie okupacji niemieckiej była jednym z bardzo ważnych ośrodków walki podziemnej z okupantem. Stąd prowadził szlak kuryerski ku przejściom granicznym do Rumunii. Plebania, której gospodarzem był dziekan horodyński ks. M. Sobejko, dzięki swemu położeniu i wielkości była miejscem spotkań członków podziemia polskiego. Tu znajdowali oni nocleg i gościnę przed wyprawą do Rumunii. Ks. St. Turkowski przyjechał do Horodenki wyposażony w dwa dekrety nominacyjne. Pierwszy mianował go na wikariusza kooperatora, drugi stwierdzał, że posiada on pełne kwalifikacje i misję kanoniczną do nauczania religii we wszystkich szkołach na terenie parafii Horodenka. Wkrótce okazało się, że misja kanoniczna ułatwiła wejście ks. Turkowskiego w struktury tajnego nauczania na poziomie gimnazjalnym.

Podczas wojny Horodenka, posiadająca jeden z najpiękniejszych zabytków architektury baroku – kościół Wniebowzięcia NMP i św. Rocha, przeżyła wiele dramatów: aresztowania inteligencji polskiej, wywozy na Sybir, a w okalających ją wsiach bestialskie morderstwa UPA na bezbronnej ludności polskiej. W tym kresowym miasteczku ks.

Turkowski całym sercem włączył się do działań ks. kanonika M. Sobejki kapłana wielkiego formatu i obrońcy sprawy polskiej. Zorganizowane tu tajne nauczanie polskiej młodzieży było szczególnie utrudnione ze względu na wrogi stosunek Ukraińców do Polaków i zaostrzoną kontrolę okupacyjnych władz niemieckich. Młody wikary uczył religii i j. łacińskiego. Zajęcia odbywały się w prywatnych mieszkaniach nauczycieli, na plebanii i w podziemiach kościoła parafialnego.

Mimo tego ponurego czasu okupacji w Horodence w latach 1942-45 urządzano w czasie świąt Bożego Narodzenia tradycyjne jasełka. Oprócz treści religijnych przemycano elementy patriotyczno-narodowe. Przygotowaniem młodzieży szkolnej zajmował się ks. Sobejko i ks. Turkowski przy wydatnej pomocy grona nauczycielskiego. W styczniu 1944 r. odegrano kilka razy obrazek sceniczny skomponowany przez nauczycielkę p. Niewińską i wyreżyserowany przez ks. Turkowskiego, gdzie przemycano takie słowa: „Pracować będziemy, unikać swarów, miłować ziemię, strzec ojców mowy, chować obyczaj narodowy.”

Nazajutrz po wkroczeniu wojsk sowieckich do Horodenki ks. Turkowski 24 marca 1944 roku odprawiał sumę w kościele parafialnym. Wtedy strzelił w kierunku odprawiającego mszę św. kapłana sowiecki żołnierz. Kula trafiła w górną część pięknego zabytkowego tabernakulum.

Po konferencji w Jałcie zaczęły się naciski sowieckie na Polaków by opuścili Kresy Wschodnie. Akcji propagandowej towarzyszyła dalsza ludobójcza działalność UPA powodująca czystki etniczne w Małopolsce Wschodniej. Można było pozostać na rodzinnej ziemi ryzykując życiem i przyjmując narzucone sowieckie obywatelstwo. 26 lipca 1945 r. w dzień św. Anny, po ostatniej mszy św. odprawionej na dworcu kolejowym w Horodence ks. Turkowski z bólem w sercu opuszczał wraz z parafianami to wierne Polsce kresowe miasteczko. Ks. M. Sobejko wyjechał z Horodenki w grudniu tego samego roku ostatnim transportem expatriacyjnym. Część Polaków z Horodenki dotarła z ks. Turkowskim do Raciborza na Górnym Śląsku. Z kurii Administracji Apostolskiej Śląska Opolskiego otrzymał misję kanoniczną oraz jurysdykcję dla ludności polskiej w Kuźni Raciborskiej. Podjął pracę katechetyczną i nauczał również w 7-klasowej szkole w Siedliskach i Turzu. Szkoły były rozrzucone, komunikacji nie było i młody wikary chodził pieszo na zajęcia.

Na decyzję ks. Turkowskiego o przeniesieniu się z Kuźni Raciborskiej do archidiecezji wrocławskiej wpłynęły trudne wówczas sprawy stosunku autochtonów niechętnie traktujących Polaków przesiedlonych z Buga oraz utrudniona współpraca z drugim wikarym, czującym się Niemcem. Ks. Turkowski był innego, kresowego i kulturalnego ducha, ukształtowanego w lwowskim Seminarium i znakomitym Wydziale Teologii Uniwersytetu Jana Kazimierza. Budowanie nowej polskiej rzeczywistości w Kuźni Raciborskiej napotykało w tym czasie na trudności. 24 maja 1946 r. ks. Turkowski objął stanowisko prefekta szkół średnich i podstawowych w Oleśnicy na Dolnym Śląsku i mianowany został wikariuszem tamtejszej parafii. Oprócz pracy duszpasterskiej w rozległej terytorialnie parafii, do której należało 20 wsi, ks. Turkowski uczył religii w 5 szkołach średnich i 3 podstawowych w Oleśnicy w wymiarze 46 godzin tygodniowo.

Styl jego katechizacji młodzieży nie spodobał się lokalnym funkcjonariuszom UB. Zaczęły się inwigilacje i naciski na władzę kościelną. W lutym 1949 r. ks. Turkowski został przeniesiony do Jeleniej Góry na stanowisko wikariusza do jedynej wówczas parafii św. Erazma i Pankracego oraz prefekta w liceum ogólnokształcącym.

Praca w Jeleniej Górze przypadła na lata zaprogramowanej atencji młodzieży. Fala szpiegowania i antykościelnej propagandy spo-

wodowała reakcję z jej strony. W Jeleniej Górze młodzież utworzyła konspiracyjną organizację „Orlece Oddziały Bojowe” szybko odkrytą przez UB. Posypały się wyroki, aresztowano proboszcza parafii ks. Dominika Kostiala. 40-tysięczną parafią administrował ks. Turkowski, który po zwolnieniu ks. Kostiala zdecydował się na kontynuację przerwanych we Lwowie studiów teologicznych. Ukończył je na Wydziale Teologicznym Uniwersytetu Jagiellońskiego. Jeszcze przed obroną swojej dysertacji doktorskiej (miała miejsce w lipcu 1952 r.) ks. Turkowski powołany został na stanowisko prefekta Arcybiskupiego Seminarium Duchownego we Wrocławiu. Wykładał również katechetykę, prowadził rekolekcje, głosił homilie w katedrze wrocławskiej i parafiach archidiecezji.

W maju 1955 r. władze komunistyczne w Polsce podjęły głośną akcję przeciwko Stolicy Apostolskiej i Episkopatowi polskiemu. Chodziło o podpisy pod listem protestacyjnym do redakcji rocznika papieskiego „Annuario Pontificio” za używanie przez nią nazw miejscowości wg stanu sprzed 1 września 1939 r., gdyż Stolica Apostolska uważała, że nie było jeszcze wówczas traktatu pokojowego regulującego te sprawy. Protestu o wydźwięku politycznym nie podpisało we Wrocławiu 9 księży, a wśród nich był ks. dr St. Turkowski. O podpisy księży zabiegał szczególnie Tadeusz Mazowiecki, ówczesny redaktor naczelny Wrocławskiego Tygodnika Katolickiego. W wyniku nacisku ówczesnych władz ks. infułat Lagosz zwolnił opornych kapłanów wrocławskiego Seminarium, a ks. Turkowski przeniesiony został jako wikariusz do parafii św. Rodziny we Wrocławiu, a następnie do parafii św. Augustyna.

W grudniu 1956 r. archidiecezją wrocławską zaczął rządzić kanonicznie ks. arcybiskup Bolesław Kominek, który mianował ks. dr St. Turkowskiego wizytatorem diecezjalnym nauki religii w szkołach podstawowych i w średnim szkolnictwie ogólnokształcącym oraz zakładach kształcenia nauczycieli. Praca ta związana z licznymi wyjazdami rozszerzana była przez kolejnych rządców archidiecezji wrocławskiej, którzy powierzali ks. Turkowskiemu różne obowiązki i funkcje. M.in. w październiku 1958 r. został członkiem Komisji Egzaminacyjnej księży katechetów szkół średnich, w grudniu 1960 r. otrzymał nominację na wizytatora księży dziekanów archidiecezji wrocławskiej, w lutym 1968 r. wszedł w skład Archidiecezjalnej Komisji Liturgicznej i Muzyki Sakralnej, w grudniu 1985 r. został członkiem zwyczajnym Synodu Archidiecezji wrocławskiej, w listopadzie 1995 r. otrzymał nominację na wizytatora diecezjalnego nauki religii.

Osobny rozdział w pracy naukowo-duszpasterskiej ks. dr St. Turkowskiego zajmuje Pomaturalne Dwuletnie Studium Katechetyczne we Wrocławiu, przez które przeszło około 1000 słuchaczy. Pod jego kierownictwem absolwenci opracowywali katechezy, przekazywane następnie katechetom przez referat katechetyczny kurii. Katecheza to przecież podstawowa forma pracy ewangelizacyjnej Kościoła. Ks. dr St. Turkowski kierował Studium nieprzerwanie przez 37 lat, od 1957 r. Prowadził wykłady z katechetyki, dydaktyki, historii wychowania, metodyki pracy umysłowej. Jeżeli doda się do tego ogromnego obszaru pracy kapłańskiej liczne publikacje jego dorobku merytorycznego, a także nie mniej liczne prace w maszynopisie i mimo przejścia na emeryturę działalność dydaktyczną w kolegiach katechetycznych Legnicy, Jeleniej Góry i Wałbrzycha – rodzi się pytanie jak podołał temu wszystkiemu w swym pracowitym życiu? Przytoczyć tu warto słowa ks. infułata dr St. Turkowskiego wygłoszone w jednej z jego licznych homilii „To nie my, ale łaska Pana naszego działała i nadal działa w nas i poprzez nas w posłudze kapłańskiej. I na to wsparcie nadprzyrodzonych mocy Ducha Świętego chcemy liczyć w dalszym naszym posługiwaniu. Wystarczy ci mojej łaski – usłyszał św. Paweł od Pana.” □

Tadeusz Tomkiewicz

Ks. Anatol Zajączkowski

Przemiany ostatniego dziesięciolecia dokonały ogromnych przeobrażeń w życiu społecznym i religijnym na dawnych terenach Małopolski Wschodniej. Upadek komunizmu, rozpad Związku Radzieckiego, powstanie niezależnej Ukrainy – wszystko to przyczyniło się do uaktywnienia, nie licznego wprawdzie po hekatombie ostatniej wojny, żywiołu polskiego. Jak zwykle, co wykazują doświadczenia historyczne naszego narodu, zaczęliśmy budzenia się świadomości narodowej i religijnej, są księża. To oni, jak tylko pojawiły się sprzyjające warunki, rozpoczęli starania o zwrot kościołów, kaplic i w miarę możliwości przystąpili do ich remontu. Kościoły, w większości zamienione na magazyny nawozów sztucznych, niezabezpieczone przez przeszło półwiecze, niejednokrotnie popadały w ruinę. Możliwości finansowe nie licznych Polaków, a i też Ukraińców z rodzin mieszanymi, były, oględnie mówiąc, mocno ograniczone z uwagi na powszechną biedę. Pomimo to w wielu miejscowościach zdołano odbudować kościoły i oddać je do użytku wiernym.

Jednym z takich księży, których większość „rekrutuje się” z miejscowych Polaków lub Ukraińców polskiego pochodzenia, jest rohatyński proboszcz ksiądz Anatol Zajączkowski. Pomimo młodego wieku (a może właśnie dlatego) i niezbyt pokaźnej postury, w ciągu ostatnich lat doprowadził do użytku kościoł w Rohatynie, podniósł z ruin kościół w Bursztynie i w kilku innych miejscowościach.

Podczas jednego ze spotkań opowiada ksiądz Anatol: – *Jeżdżąc często do Halicza czy Bursztyna, widzę drogowską – Bukaczowce 12 km. Zainteresowała mnie ta miejscowość. Pojechałem kiedyś tam i pytałem ludzi, czy jest tu kościół. Wskazali mi i zobaczyłem ściany kościoła, bez dachu i stropu, w miejscu prezbiterium zagajnik z drzewami sięgającymi wysokości ścian. W pierwszej chwili zwątpiłem, ale uwziąłem się – kościół muszę odbudować, Bóg mi pomoże. Przyjeżdżałem z kilkoma ministrantami z Rohatyna i rozpoczęliśmy karczunek tych drzew.* –

I tak mozolnie, krok po kroku, kościół odbudowano i już 12 listopada 1994 roku nastąpiła w obecności biskupa, wielu księży rzymsko- i grecko-katolickich, i rzeszy wiernych – jego rekonsekracja. Ostatnio, dzięki staraniom księdza Anatola i pewnej pomocy finansowej Ogniska Bukaczowczan (z siedzibą we Wrocławiu), kościół otynkowano na zewnątrz, zmodernizowano również ołtarz.

Jarosław Tadeusz Leszczyński

U źródeł Bystrzycy Nadwórniańskiej

Wśród znaczniejszych grup górskich Karpat Wschodnich, znajdujących się w wyniku powojennych zawirowań poza granicami Polski, należy wymienić Gorgany, położone w centralnej części łuku Karpat pomiędzy Bieszczadami na zachodzie a Czarnohorą na wschodzie. W dolinach tych gór, zwłaszcza ich wschodniej części, rozsiadło się wiele wsi zamieszkałych przez ruskich górali – Hucułów – których folklor o bogactwie porównywalnym z kulturą górali podhalańskich, został uwieczniony na kartach literatury oraz płócien malarskich, twórców tak polskich jak i ukraiń-

A sam ksiądz Zajączkowski dalej nieustraszenie prowadzi dzieło odbudowy kościołów w kolejnych miejscowościach. W Haliczu, dzięki przychylności władz miasta, a zwłaszcza mera p. Tomkiewicza, z pochodzenia Polaka, wybudował kościół od podstaw i w lipcu 1999 roku po uroczystej konsekracji oddano go wiernym.

Kilka słów o Bukaczowcach. Miasteczko mego urodzenia położone jest nad rzeką Świrz (dopływ Dniestru) w sąsiedztwie takich znanych historycznych miejscowości jak Rohatyn (24 km), Żurawno (12 km), Halicz (20 km), Żurów (8 km), Martynów (4 km), Bursztyn (12 km). Założone przez Jana Żurawińskiego już w roku 1489 obdarzone zostało prawem magdeburskim przez Kazimierza Jagiellończyka. W XVII w. istniał tu obronny dwór Jerzego Kalinowskiego, brata Marcina – hetmana polnego koronnego. Była to wielkopańska rezydencja, wyróżniająca się dostojnictwem i wspaniałością wśród innych rezydencji. Były tu też i klasztory (bernardynów i reformatów) – dziś ani śladu po nich jak i po zamku, pozostała jedynie nazwa ulicy Klasztornej. Do upadku przyczyniły się przede wszystkim wojny kozackie, po których już miasto nie zdołało się podźwignąć. Jeszcze raz usłyszano o Bukaczowcach w 1865 roku, tu bowiem na stacji nowowypudowanej linii kolejowej Lwów-Stanisławów nastąpiło uroczyste otwarcie tego odcinka w obecności namiestnika Galicji Agenora Gołuchowskiego.

W okresie międzywojennym Bukaczowce niczym szczególnie nie wyróżniały się, stając się jednym ze zwykłych miasteczek kresowych, mimo bogatej przeszłości.



Ksiądz A. Zajączkowski wśród grupy uczestników Zjazdu Bukaczowczan w Krakowie w 1999 roku.

1. Historia wsi

Gorgany do chwili obecnej należą do najdzikszych gór w Europie. Jako góry bardzo kamieniste uważane były za łańcuch górski trudny do przebycia. Wielka liczba gołoborzy i mała liczba wody nie sprzyjały także rozwojowi gospodarki pasterskiej. Do 1890 r. istniała tu polana Rafajłowa na gruntach wsi Zielona, położonej kilka kilometrów poniżej niej w dolinie Bystrzycy Nadworniańskiej. W tymże roku założono tu osadę leśną, która dała początek obecnej wsi od polany biorącej nazwę Rafajłowa. Pierwszymi osadnikami byli zarówno Huculi rekrutujący się z pobliskich, starszych wsi, jak również przybyli z dolin Polacy. Dlatego też w nowozałożonej wsi rychło powstały świątynie dwóch obrządków – cerkiew greckokatolicka i kościół rzymskokatolicki. Już w pierwszych latach XX w. istniały tu tartaki, leśnictwo i domy myśliwskie lasów rządowych oraz stacja kolejki wąskotorowej do Nadwórnej.

Na karty historii Rafajłowa weszła podczas I wojny światowej. Już w październiku 1914 r. Austriacy zostali pobici przez Rosjan i zmuszeni do odwrotu w stronę Krakowa. Linia frontu ustaliła się na odcinku od Tarnowa poprzez Gorlice i dalej na wschód, mniej więcej grzbietem Karpat. Cofając się armia austro-węgierska odsłoniła przełęcz w Karpatach Wschodnich, umożliwiając przedarcie się wojsk rosyjskich na teren Niziny Węgierskiej. Sytuację uratowali legionieści II Brygady Legionów w liczbie 8000, którzy wyparli Rosjan na północną stronę Karpat. Całością sił legionowych dowodził gen. Trzaska-Durski. Podzielono je na mniejsze pododdziały i rozesłano w różne miejsca Zakarpacia. W ten sposób III batalion 2 pułku piechoty dowodzony przez kpt. Fabrycego skierowano do Dołheh na północ od Chustu, IV batalion 2 pułku piechoty (kpt. Bolesława Roji) do Neresznicy na północ od Sygietu, II batalion 3 pułku piechoty (dowodzący por. Rohlan-Hofbauer) do Sygietu Marmaroskiego, I i IV batalion 3 pułku piechoty (kpt. Hal-ler) do Königsfeldu (ob. Ust' Czorna). I i II batalion 2 pułku dowodzone przez pułkownika Zielińskiego ubezpieczały Sygiet Marmaroski od płn.-wsch. Oddziały kawalerii zgromadzone w pobliżu Nagy Szölös i Kiralyhaza i tam przeprowadzono ich szkolenie. Od 11 października oddziały legionów podporządkowano utworzonej na południe od Karpat grupie generała Pflauzera Baltina. Polskie legiony przez Przełęcz Rogodze Wielkie w dniu 12 października 1914 r. przedostały się do Rafajłowej, tworząc w ten sposób przyczółek we wschodniej Galicji okupowanej przez Rosję. 24 października zajęły Nadworną, ale po krwawej bitwie pod Mołotkowem 28 października, w której straciły ok. 600 żołnierzy cofnęły się do Zielonej i Rafajłowej. 26 listopada 1914 r. wojska legionowe podzielono na dwie części. Ta pod dowództwem ppłk. Hallera w liczbie ok. 1800 ludzi została w Rafajłowej, a drugą dowodzoną przez gen. Trzaskę-Durskiego i płk. Zielińskiego przerzucono w okolice Żabiego pod Czarnohorą, a następnie w rejon Kirlibaby na Bukowinę.

W nocy z 23 na 24 stycznia 1915 r. odbyła się w rejonie Rafajłowej bitwa nocna. Rosyjski gen. Ławrientiew w celu uprzedzenia ofensywy austriackiej zaatakował w nocy, od doliny Bystrzycy wysyłając górami przez Poleński i Dołżyniec oddział aby uderzyć na Polaków od tyłu. Dzięki wielkiej pokrywie śnieżnej oddział nie zdołał urzeczywistnić swych zamiarów. Zaskoczeni legionieści pod dowództwem majora Roji i kapitana Minkiewicza zdołali odeprzeć Rosjan od odwrotu, którzy stracili 100 zabitych, 200 rannych i 140

jeńców (dla porównania legionieści mieli 5 zabitych, 16 rannych i 200 zaginionych).

5 lutego legionieści zajęli Zieloną, 14 zaś tego miesiąca Mołotków. To, oraz wzrost powodzenia Austriaków na wojnie, rozpoczęło proces wycofywania się Rosjan z Galicji, a legiony zaczęły opuszczać Rafajłową, przez co znaczenie tej wsi zmalało.

W okresie międzywojennym (1918-1939) wieś liczyła ok. 800 mieszkańców, w tym wielu Polaków. Znajdowało się tu nadleśnictwo państwowe, 3 leśnictwa, Posterunek Straży Granicznej oraz Dom Ludowy. Wieś posiadała także stację wąskotorowej kolejki leśnej, która drewno przewoziła do tartaku w Nadwórnej. Czynna tu była jedna z kilku istniejących na Huculszczyźnie wylegarni pstrągów. Dziesiątki tysięcy narybku wpuszczano rokrocznie do Bystrzycy, Dołżyńca i na Czirmem. W lasach koło Rafajłowej polowano na jelenie, niedźwiedzie, rysie i głuszcze.

Po II wojnie światowej władze radzieckie zmieniły nazwę wsi na „Bystrica” i taki stan pozostaje do chwili obecnej, jakkolwiek w polskich środowiskach turystycznych nadal używana jest nazwa „Rafajłowa”.

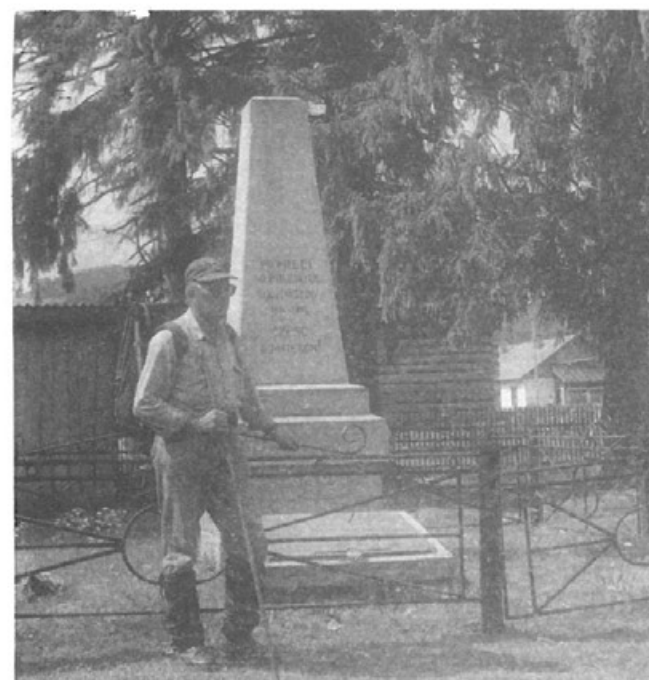
2. Zabytki i atrakcje turystyczne wsi

Mimo, że wieś liczy niewiele ponad 100 lat, to jednak jest miejscowością dość rozległą z kilkoma przysiółkami rozlokowanymi w dolinach potoków Rafajłowiec, Salatruk, Riczka i Dołżyniec. Przysiółki te noszą nazwy – Dołżyniec, Salatruk, Pryczół i Kłempusze. Zabudowa wsi jest prawie wyłącznie drewniana, a domy mieszkalne przypominają nieco chałupy podhalańskie. Jest to typowy obraz podkarpaczkich wsi na Ukrainie, w których dotąd dominującym jest budownictwo drewniane, natomiast osiedla wiejskie w dolinach podobnie jak i w Polsce są murowane.

W centrum wsi wznosi się drewniana cerkiew huculska pw. św. Jerzego zbudowana na planie krzyża greckiego, o dachu i kopułach obitych ocynkowaną blachą. Centralną część zajmuje ośmioboczna kopuła osadzona na ośmiobocznym bębnie, zakończona cebulastą kopułką. Cztery takie cebulaste kopułki wieńczą kalenice dachów babinia, prezbiterium i ramion transeptu cerkwi. Nad głównym wejściem obraz św. Jerzego w stroju rycerskim, ale nie na koniu, jak to najczęściej przedstawia się tego świętego, lecz w pozycji stojącej. Wewnątrz ikonostas płaskorzeźbiony w drewnie i utrzymany w kolorze brązowym. Wnętrze zdobią ponadto liczne rękuniki z barwnymi haftami, typowe dla cerkwi ukraińskich. Obok cerkwi wolnostojąca, dwukondygnacyjna dzwonnica zakończona czterospadowym dachem namiotowym zwieńczonym cebulastą kopułką z krzyżem.

Pierwsza cerkiew na tym miejscu powstała jeszcze przed I wojną światową. Została ona jednak spalona podczas działań wojennych w 1915 r. W l. 1923-1924 zbudowano obecną cerkiew, wzorowaną na dawnej. Cerkiew do marca 1946 r. była świątynią greckokatolicką, obecnie należy do prawosławnych. Rafajłowscy zwolennicy obrządku greckokatolickiego należą do parafii w Zielonej.

W odległości kilkuset metrów od cerkwi, bardziej na południe od niej, wznosi się drewniany budynek byłego kościoła rzymskokatolickiego, zbudowanego w l. 1907-1908. Po II wojnie światowej został zamknięty i przebudowany na sklep przez co zatracił cechy budowli sakralnej. Jedynym śladem wskazującym na jego kultową przeszłość jest dwuspadowy dach kryty blachą, drzwi w centralnej części fasady i trzy obszerne okna tam znajdujące się. Po upadku Związku Radzieckiego budynek nie odzyskał swych funkcji sakral-



Rafajłowa – pomnik legionistów

nych, gdyż w Rafajłowej z dawnej społeczności polskiej, zostały tylko pojedyncze osoby. Obok dawnego kościoła w otoczeniu drzew świerkowych wznosi się dobrze zachowany kamienny pomnik legionistów z 1920 r. Jest to obelisk z napisami: „PAMIĘCI 40 POLEGŁYCH LEGJONISTÓW 1914-1915 CZEŚĆ BOHATEROM”. Przed kilku laty został otoczony żelaznym płotem. Pomnik ten jest pamiątką z nocnej walki przeprowadzonej przez legionistów z II Brygady z wojskami rosyjskimi z 23 na 24 stycznia 1915 r. W boju tym legionieści, początkowo zaskoczeni, zdołali zadać duże straty nacierającym siłom nieprzyjaciela.

Po przeciwnej stronie drogi w stosunku do pomnika legionowego i dawnego kościoła stoi krzyż wykonany z rur żelaznych, poświęcony Mirosławie Lewickiej (ps. „Kresta”), członkini UPA, pochodzącej z Tarnopolskiego i poległej w 1950 r. w dolinie Salatruka. Trzeba w tym miejscu nadmienić, że Ukraińska Powstańcza Armia na terenie ówczesnej radzieckiej Ukrainy działała aż do lat 50-tych XX w., tocząc boje w tym czasie już nie z Polakami (których większość została już ekspatriowana na teren obecnej Polski), ale z funkcjonariuszami władzy sowieckiej i tymi członkami nacji ukraińskiej, którzy poszli na współpracę z nowym okupantem.

Obok krzyża odchodzi w kierunku zachodnim droga w górę potoku Salatruk, którą można dojść na Przełęcz Ruszczyń, a dalej na szczyt Sywuli (najwyższy szczyt Gorganów, 1836 m n.p.m.). W pobliżu rozstaju tych dróg na niewielkim pagórku ulokował się cmentarz wiejski. Niestety nie zachował się ani jeden grób z polskim napisem. Na większości – często ziemnych – mogiłach są żelazne i drewniane krzyże, często z dużymi fotografiami zmarłych lub zdobionych rękuniki z barwnymi geometrycznymi haftami. W miesiącach letnich (lipiec-sierpień) cmentarz ten bujnie porastają trawy i chwasty, a także częste w Gorganach chronione kwiaty gorczyki.

Idąc od d. kościoła i pomnika legionistów w kierunku południowym, w stronę Przełęcz Legionów, po lewej stronie drogi przed jednym z domostw stoi krzyż przydrożny – żeliwny krucyfiks na betonowym postumencie – z 1899 r., z napisem w języku polskim, postawiony niemal współcze-



Fragment drogi z Rafajłowej na Przełęcz Legionów

śnie z lokacją wsi, a będący namacalnym dowodem, że wśród pierwszych jej mieszkańców byli także Polacy.

Przy południowym krańcu wsi, w miejscu gdzie z połączenia potoków: Riczki i Rafajłowa powstaje Bystrzyca Nadworniańska, należy iść w górę doliny tego drugiego w kierunku zachodnim. Przy drodze tej, po prawej stronie idąc od wsi jest źródło z wodą siarczaną, dobrą na schorzenia przewodu pokarmowego. Ta gruntowa droga, nieznacznie tylko utwardzona, nosi nazwę Drogi Legionów. Łączy ona Dolinę Rafajłowca z Doliną Płajską położoną już na Rusi Zakarpackiej. Zbudowali ją w październiku 1914 r. saperzy z II Brygady Legionów pod kierunkiem podporucznika Słuszkiewicza i inż. Wimmera, przebudowując niewyraźny dotąd płaj na drogę jezdnią. Drogę zbudowano dla potrzeb zaopatrzenia oraz przewozu artylerii. Przy budowie oprócz żołnierzy z 2 pułku piechoty pomagało ok. 1000 robotników. Zbudowano 14 mostów o łącznej długości 227 m, a na całą drogę wykładaną dylami zużyto łącznie ok. 3600 m³. Drogę zbudowano w przeciągu 53 godz. Długość jej wynosiła 7 km. Główne siły legionistów przemaszerowały tedy 22 i 23 października 1914 r. Droga umożliwiała stałe zaopatrywanie frontu pod Rafajłową z odległej ok. 70 km stacji Taracköz (ob. Terszwa) na Rusi Zakarpackiej. Zaopatrzenie wieziono najpierw kolejką wąskotorową do Königsfeldu (ob. Ust' Czorna), a dalej końmi doliną Brusturanki do tzw. Holzschlaghausu – gdzie urządzano składy.

Na ok. 1 km przed Przełęczą Legionów Droga Legionów opuszcza dolinę Rafajłowca i skręca w lewo pod górę, prowadząc krętą linią do celu.

Przełęcz Legionów leży na wysokości 1065 m n.p.m. na Polanie Rogodze Wielkie. Tak też pierwotnie nazywała się przełęcz i dopiero Polacy po I wojnie światowej nazwali ją Przełęczą Legionów od Drogi Legionów, która przez nią przechodzi. Huculi z Rafajłowej dotąd nazywają ją Przełęczą Rogodze. Jest to trawiasty obszar typowej polany położonej w obszarze grzbietowym gór stanowiącej doskonałe miejsce biwakowe. Znajdują się tu porośnięte trawą rowy, będące pozostałościami okopów z okresu pamiętnej, wcześniej opisywanej wojny. Patrząc na pld.-wsch. można podziwiać imponujący masz Doboszanki.

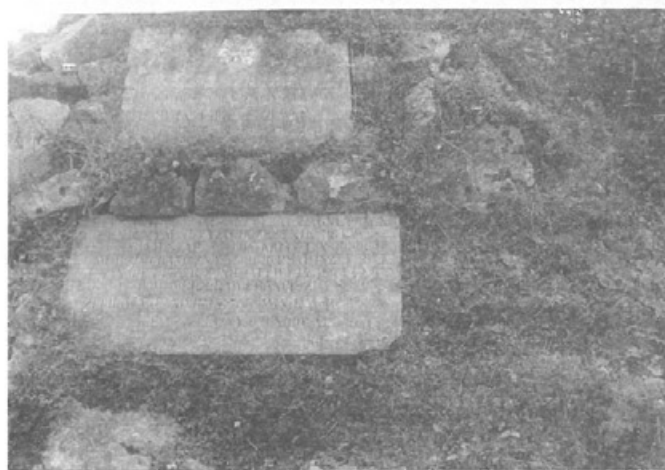
Najważniejszym obiektem na przełęczy jest słynny Krzyż Legionów. Frontem zwrócony jest w kierunku północnym i upamiętnia przekroczenie przez legiony polskie historycznej południowej granicy Polski w 1914 r. (do 1945 r. głównym grzbietem Karpat biegła od wieków niezmiennie



Gorgany – Krzyż Legionów na Przełęczy Legionów

granica państwowa; do 1940 r. oddzielała posiadłości Rurkiewiczów od Węgier, później Polskę od tychże, a w l. 1918-1939 nasz kraj od Czechosłowacji; dopiero po zagarnięciu

przez ZSRR Rusi Zakarpackiej w 1945r. obie strony tej części Karpat leżą w granicach Ukrainy). Obecny został postawiony w 1931 r., w miejscu poprzedniego drewnianego, szczęśliwie przetrzymując dwie okupacje – niemiecką i sowiecką. Wysoki żelazny krzyż osadzony jest na kopcu usypanym z kamieni. Na frontowym, północnym spadzie kopca wmurowane są dwie kamienne tablice. Na górnej możemy przeczytać: „MŁODZIEŻY POLSKA! PATRZ NA TEN KRZYŻ LEGIONY POLSKIE DŻWIGNĘŁY GO WZWYŻ PRZECHODZĄC GÓRĄ LASY I WAŁY, DO CIEBIE POLSKO DLA TWOJEJ CHWAŁY”. Na niższej tablicy widnieje napis: „CZTEROWIERSZ TEN WYPISAŁ BĄGNETEM NA DREWNIANYM KRZYŻU UCZESTNIK BOJOWY LEG. SZEREG. ADAM SZARIA W R. 1914 – KRZYŻ TEN ODBUDOWAŁA KOMISJA GRANICZNA 48 PP. 10 P.SAP. INŻ. SZPILKA KAPITAN BIEŃ 1925 R. Z INICJATYWY I ZA STARANIEM STAROSTY POW. MGR PRAW FRANCISZKA SOKOŁA. ZBUDOWANO NINIEJSZY POMNIK W R. 1931. KRZYŻ ŻELAZNY UFUNDOWAŁ INŻ. WŁADYSŁAW ŁOBZIŃSKI”.



Andrzej Fedorowicz

Cykl krajobraz rodzinny – BRZUCHOWICE – PŁUCA LWOWA

Podmiejska dzielnica Lwowa Brzuchowice oddalona od centrum miasta około 9 km znana jest od setek lat, jako ostoja kryształowego powietrza, ciszy malowniczych debrów Roztocza, jak również spełniała rolę „małego Zakopanego” w okresie międzywojennym, ze wspinał się skoczną narciarską, na której często odbywały się międzynarodowe zawody narciarskie. Posiadała około 1000 stałych mieszkańców, z czego 70% Polaków. Najprościej do osady tej można dotrzeć z centrum Lwowa – w kierunku na Zamarstynów, Hołosko, a następnie mieszanymi lasami dociera się do letniska – przy wjeździe do Brzuchowic mijamy po prawej stronie cmentarz, na wzgórku, który jest niezaprzeczalną historią tej osady. Urokliwe Brzuchowice otrzymały przywilej przynależenia do miasta Lwowa nadany przez Władysława Jagiełłę, sama osada powstała za czasów panowania Władysława Warneńczyka. Udając się na pieszą wędrowkę – myślę o okresie realizmu czerwonych braci, pragnę zaproponować bardzo malowniczą skautowską wyprawę przez ulicę Warszawską, po czym przez ogrody natrafiamy na jezioro hołoskie, jeśli w tym momencie stwierdzimy iż nogi odmawiają

posłuszeństwa, przychodzi nam z pomocą pień 500 letniego dębu, z mniejszymi wokół niego pieńkami czyli krzeselkami – można posilić się sznyclami z bratrujki ciotki bańdziuchowej, pirogami z „pokoi śniadankowych” Telickowej lub zjeść pajdę kulikowskiego chliba – oj co za zapachy na miarę głów koronowanych. Jak każdy się *nahama*, można kontynuować przechadzkę w bajkowej krainie wiecznej szczęśliwości. Mówiąc językiem lat międzywojennych, Brzuchowice były często frekventowane przez gości spoza Lwowa jak również tłumnie przez tubylców „Księstwa Bałakańskiego”. W czasie kilkakrotnego przebywania we Lwowie miałem okazję uczestniczyć we wspinał się majówce, na urokliwej polanie leśnej, w towarzystwie wiekowych dębów, grabów, tudzież starożytnych storczyków, pięknych rubusów vestii pamiętających czasy Polskich Termopil, potopu szwedzkiego oraz najnowszej historii tj. z okresu walk polsko-ukraińskich. Kiedy dochodzimy do dworca kolejowego w Brzuchowicach po drodze mijamy (po lewej stronie) kilka lat temu wybudowaną okazałą cerkiew prawosławną, a opodal starą aptekę pamiętającą czasy procesu Gorgonowej.

Wchodząc w aleję koło apteki, po kilku chwilach natrafiamy na willę Zaręby, natomiast idąc dalej stoi okazała willa Manru, w której to mieszkała moja rodzina Fedorowiczów.

W latach międzywojennych były zakusy uruchomienia linii tramwajowej na trasie Lwów Zamarstynów-Brzuchowice, lecz zakończyło się to tylko na niezrealizowanym pro-

jekcie. Kiedy po całym dniu frekventowania tej pięknej dzielnicy podmiejskiej Brzuchowic czujemy się zmęczeni, wsiadamy w najbliższy pociąg lub autobus, ale oczywiście najlepiej dwukonką na balonach, gdzie zaczarowana dorożka, zaczarowany dorożkarz, zaczarowany koń zawozi nas do Lwowa. □

Maria Molicka

Miasto moich rodziców – „Śniatyn”

Od kilku lat prenumeruję dwumiesięcznik „Semper Fidelis”, ale nigdy nie natrafiłam na choćby najmniejszą wzmiankę o dawnej kresowej stacji, z której pochodzi moja rodzina, a przecież jej nazwa znalazła się nawet w konstytucji z 1620 r. uchwalonej przez sejm Rzeczypospolitej: „Śniatyn iż granicom nieprzyjacielskim jest przyległy, a wiele Rzeczypospolitej na tym miejscu zależy, przychylając się do prawa starego o opatrzaniu zamków, dla wszelkiego bezpieczeństwa, strzelbą, prochem, ludźmi i innymi rzeczami do obrony należącymi, podług zdania hetmanów, opatrzyć mamy”.

Nie był to jedyny ślad w historii. Już w 1158 r. w Ipatiwskiej litopisie na str. 127 Śniatyn jest wymieniony jako jeden z grodów podarowanych przez Jarosława księcia halickiego cesarzowi bizantyjskiemu Andronikowi Komnenowi.

O znaczeniu miasteczka-grodu świadczą fakty opisane przez Macieja Strykowski: „W r. 1415 gdy był Jagiełło w Śniatynie, przyjechał do niego Aleksander wojewoda mołdawski z wielkimi bojarami i porzuciwszy chorągiew pod nogami króla, jako był obyczaj, przysiągł hołd i posłuszeństwo”. Fakt ten potwierdza również Jan Długosz: „Przed Zielonymi Świątkami przybył Jagiełło do Śniatyna i tu go spotkał Aleksander wojewoda mołdawski wraz z żoną i liczną drużyną rycerstwa. Król polski mający także mnogi i okazały poczet rycerstwa przyjął go życzliwie i z należnymi honorami, a wojewoda chcąc królowi polskiemu okazać swą uległość, składał siedzącemu na majestacie wraz ze wszystkimi bojarami wołoskiej ziemi, hołd uroczysty poddaństwa i przysięgę wierności”. Ponieważ było to miasteczko u południowych granic Rzeczypospolitej, a jak wynika z przytoczonego tekstu, na tyle duże, że mogło pomieścić dwór królewski i jego gości, odbywały się tu i później tego rodzaju uroczystości. W 1576 r. odnotowują kroniki pobyt w Śniatynie Stefana Batorego w czasie jego intronizacji do Polski. Tu witało go polskie poselstwo, szlachta i wojsko. Marcin Małżyński wygłosił po łacinie przemówienie powitalne, w tym też języku otrzymał królewską odpowiedź. W Śniatynie również zaprzysiął Stefan Batory wyznawanie wiary katolickiej i wysłuchał klęcząc mszy świętej, odprawianej przez proboszcza ks. Dymitra Sulikowskiego. Jak podaje kronika, uroczystość ta miała miejsce w zajeździe po wschodniej stronie Rynku, 4 kwietnia 1576 r., przed specjalnie w tym celu wykonanym ołtarzem, ponieważ kościół parafialny był zrujnowany po ostatnim najeździe Tatarów.

Król Batory kilkakrotnie zatrzymywał się w Śniatynie, przyjmował wtedy władze miasta i okoliczną szlachtę. Po pożarze w 1578 roku zwolnił mieszczan od wszelkich danin na rzecz państwa, nadał liczne przywileje, a także tytuł „Królewskie Wolne Miasto Śniatyn”. Wspomniany wyżej kościół nie był pierwszym w Śniatynie. Już za czasów Kazimierza Wielkiego osiedlili się tu OO. Franciszkanie i zbudowali świątynię przyklasztorną. Parafia katolicka i parafialny kościół powstaje w 1568 r. Miejsce OO. Franciszkanów zajmują OO. Dominikanie ciesząc się przywilejami nadanymi w 1644 r. przez króla Władysława IV.

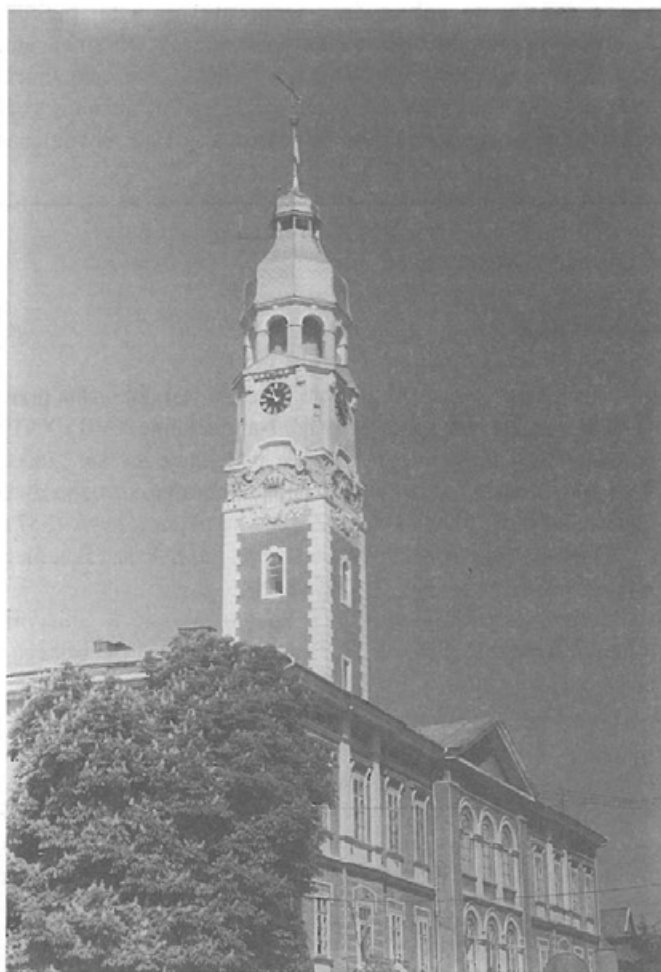
Następna pożoga i zniszczenie kościoła jest dokonana przez Turków wracających spod Zura. Na przełomie XVII i XVIII w. odbudowy drewnianego kościoła podejmuje się ks. Łukasz Wolański. Dopiero w 1843 r. ks. Feliks Sebastyański rozpoczyna budowę kościoła murowanego. Zostaje on ukończony w 1857 r. i poświęcony przez biskupa lwowskiego, ks. Łukasza Baranieckiego.

Oprócz kościoła katolickiego znajdowały się w Śniatynie również świątynie obrządku grekokatolickiego, ormiańskiego i bożnica żydowska.

Ormianie przybyli do Śniatyna w 1628 r. i otrzymali od króla Zygmunta III Wazy zgodę na osiedlenie i zwolnienie od podatków na 15 lat. Zbudowali niewielki, murowany renesansowy kościół o charakterze obronnym, istniejący do dziś. Obrządek wschodni również miał początkowo cerkwie drewniane np. wzniesioną w 1775 r. cerkiew pw. Chrystusa Króla, ale już od 1785 r. cerkiew murowaną pw. Św. Michała.



Szkola Realna 1903-1906 – później Gimnazjum im. Franciszka Karpińskiego w Śniatynie



Ratusz w Śniatynie

Wg lustracji w 1765 r. w starym i nowym mieście znajdowało się 492 rodziny Polaków, Rusinów i Ormian oraz 229 rodzin żydowskich. Miasteczko dzięki szlakowi handlowemu biegnącemu ze wschodu na zachód rozwijało się bardzo dobrze.

Na znaczeniu straciło dopiero w r. 1866 kiedy to otwarto linię kolejową Lwów-Czerniowce omijającą Śniatyn w odległości 5 km. Przy stacji Śniatyn-Załucze zaczęła wtedy powstawać nowa osada. W r. 1867 w ramach autonomii galicyjskiej Śniatyn otrzymał prawo wyboru burmistrzów. Kolejno urząd ten pełnili Polacy: Marceli Niemczewski, Justyn Zubrzycki, Maurycy Pobóróg-Niemętowski, Tytus, a następnie Michał Niemczewski. Dzięki tym ambitnym i zapobiegliwym gospodarzom miasta, mimo upadku jego znaczenia, powstają liczne budowle użyteczności publicznej o wysokich walorach architektonicznych: wieża ratuszowa, gmach szkoły realnej, szkoła żeńska, budynek sądu, kasy pożyczkowej, a w miejscu dawnego zamku – starostwo.

Miasto rozpoczyna w 1910 r. budowę sieci kanalizacyjnej i w 1918 wodociągowej.

I wojna światowa przerywa tę dobrą passę, ale już od r. 1926 rozwój miasta znów nabiera rozmachu. Śniatyn jest teraz miastem powiatowym na granicy z Rumunią. Ma dwa przejścia graniczne piesze: Załucze-Waszkowce i Kułaczyn-Orszowce oraz kolejowe ze stacji Śniatyn-Załucze do stacji rumuńskiej Grigore-Ghika Voda. Nowa stacja kolejowa zostaje zrealizowana na podstawie projektu wybranego drogą konkursu, autorstwa młodych architektów Zygmunta Majewskiego i Juliana Duchowicza. Powstają też inne budowle, elektrownia miejska, bardzo nowoczesna hala targowa, nowe szkoły powszechne. W 1928 r. powołano Państwowy Zakład Pomologiczny, założono park miejski oraz rozpoczęto starania o nadanie miastu praw miejscowości letni-

skiej. Upoważniały do tego walory klimatyczne i krajobrazowe, piękne nabrzeże Prutu i położenie miasteczka. Panorama Śniatyna rysuje się z daleka na wysokim płaskowyżu nad szeroką doliną Prutu i Czeremoszu, podkreślona dominantą wieży ratuszowej, masywem kościoła z sygnaturką, kopułami cerkwi, dachami domów otoczonych zielenią. Dzięki prężnej i ambitnej władzy samorządowej i miejscowej inteligencji liczne istniejące w zaborze austriackim organizacje społeczno-kulturalne i sportowe nie tylko nie zanikły, ale wzmocniły się i zwielokrotniły. Towarzystwo Gimnastyczne „Sokół” w swojej siedzibie skupiało życie kulturalne miasta. Odbywały się tam przedstawienia miejskiego teatru amatorskiego pod kierownictwem p. Beckera, a potem mgr. Krańskiego, bale, spotkania okolicznościowe i patriotyczne. Działało Towarzystwo Szkół Ludowych, Związku Strzeleckiego, Harcerstwa, Polskiej Czytelni Mieszczańskiej, Ruskiej Czytelni, stowarzyszenie ukraińskie „Sicz” i żydowskie „Kahał”. W mieście działały trzy domy ludowe: polski, ukraiński i żydowski. Liga Morska i Kolonialna wybudowała nad Prutem przystań kajakową, prowadziła klub wioślarski i kursy modelarstwa.

Co roku 16 lipca odbywał się w Śniatynie wielki odpust w dniu patronki parafii Matki Boskiej Szkaplerznej. Było to wielkie święto w miasteczku, bo cudowny obraz Matki Bożej otaczały kultem wszystkie trzy obrządki. Księża ormiańscy pomagali nawet spowiadać licznie przybywających pielgrzymów z okolicznych miejscowości z Horodenki, Zabłotowa, Kut, Kosowa, a nawet z Czerniowca.

Obraz znajdował się w Śniatynie od XVII w. Było to malowidło na drewnie w srebrnej, pozłacanej koszulce. Powszechnie Św. Maria zwana była Matką Pokucia i Madonną Huculszczyzny.

Do rozszerzenia kultu przyczynił się znacznie ks. Leopold Kaściński, który ku czci Matki Bożej napisał pieśń rozpoczynającą się od słów: „Pod Twój płaszcz się uciekamy o Śniatynska Mario”. Duchowny ten był w Śniatynie proboszczem przez kilkadziesiąt lat. W 1942 r. został już jako staruszek aresztowany przez Niemców i następnie zamordowany w obozie koncentracyjnym w Majdanku.

Po straszliwych latach podwójnej okupacji nadszedł dla Polaków zamieszkałych na kresach Rzeczypospolitej najtragiczniejszy moment opuszczenia swojej ziemi rodzinnej i szukania nowego miejsca dla siebie i swoich bliskich.

Także mieszkańcy Śniatyna po opuszczeniu swego miasta rozproszyli się po Polsce, większość z nich zamieszkała na tzw. Ziemiach Odzyskanych. Co roku jednak w niedzielę poprzedzającą 16 lipca zjeżdżają się w Brzegu Dolnym, gdzie w głównym ołtarzu parafialnego kościoła znajduje się obraz Matki Boskiej Śniatynskiej.

Kiedy po 47 latach w 1993 r. władze Ukrainy oddały katolikom kościół w Śniatynie dawni obywatele mieszkający w Polsce i na Zachodzie pośpieszyli z pomocą. Pierwsza pielgrzymka z darami i pomocą finansową wyruszyła jeszcze w tym samym roku, żeby doprowadzić do jak najszybszego otwarcia świątyni. Zgromadzone przez Polonię zasoby materialne w połączeniu z zaangażowaniem wyznaczonego przez biskupa lwowskiego proboszcza ks. Wiktora Antoniuka oraz miejscowych parafian, dały bardzo dobre rezultaty. Już następnego roku odbyło się uroczyste otwarcie kościoła przez metropolitę lwowskiego arcybiskupa ks. Mariana Jaworskiego w asyście czterech księży z dekanatu staniśławowskiego i przewodnika duchowego pielgrzymów przybyłych z Polski, ks. prof. Akademii Papieskiej Tadeusza Wojciechowskiego. Ks. prof. Wojciechowski jest bardzo związany z parafią śniatynską, gdyż tu w 1943 r. rozpoczął swoją pracę duszpasterską jako wikary.



Msza święta w dniu powtórnego poświęcenia kościoła parafialnego w Śniatynie 22 maja 1993 r. Mszę celebrował ks. arcybiskup lwowski Marian Jaworski.

Na uroczystość powtórnego poświęcenia przybyli licznie wierni z sąsiednich parafii, a także miejscowi grekokatolicy i prawosławni. Trudno było sobie wyobrazić, w śnieżnobiałym kościelnym wnętrzu, że przed trzema laty naprawiano tu traktory i maszyny rolnicze, że unosił się dym nad kuźnią.

Krystyna Zielińska Kopyczyńce

Opowieść o miasteczku Kopyczyńce w województwie tarnopolskim w latach wojny właściwie mogłaby się znaleźć w Dzienniku Telewizyjnym... jako relacja z Jugosławii w roku 1992 i 2000. Jest to bowiem w dużej mierze ilustracja niszczącej siły nacjonalizmu, który sprawia, że narody, które przedtem żyły obok siebie tworząc społeczność powiązaną naturalnymi więzami społeczno-ekonomicznymi, zaczynają nagle wzajemnie sobą pogardzać.

Ci, którzy poprzednio byli „lepszymi” (Polacy w okresie międzywojennym) stają się nagle gorsi; bo teraz lepsi i mocniejsi są Ukraińcy.

Potem przychodzą Sowieci i oni są już najlepsi; chociaż wszyscy są sobie równi, to ci są jeszcze bardziej „równi” od innych.

Kopyczyńce to była zapadła, kresowa wieś w czasie austro-węgierskiej monarchii.

Potem przekształca się ona w miasteczko, w mojej optyce śliczne. Jest Rynek, miejsce na którym Ukraińcy, Polacy i Żydzi robili ze sobą interesy – klócili się i targowali o każdą złotówkę, ale się godzili.

I jakże często można było widzieć Żydów w ortodoksyjnych chałatach przepijających z Polakami czy Ukraińcami „ćwiartkę” na zgodę.

Od strony Rynku ciągnęła się główna ulica miasta.

Domy były tu porządne, kwiaty w ogrodach, a z tyłu za każdą willą pole, ogród warzywny, truskawki (masa truskawek).

Ziemia była najwyższej klasy i po prostu sama rodziła. W okresie międzywojennym miasteczko żyło z Wojska Polskiego. Liczni żydowscy krawcy i szewcy szyli na miarę panom oficerom buty i mundury nadzwyczaj naprawdę szykowne.

Stacjonował bowiem tutaj pułk, którego główną postać był pułkownik Sokółski.

Wojsko dawało pracę okolicznym, ubogim rolnikom i było czymś nobilitującym ludzi, którzy w stopniu kaprała czy sierżan-

Polscy pielgrzymi przyjmowani byli w Śniatynie bardzo serdecznie. Zapraszano ich i goszczono jak najbliższą rodzinę.

Oprócz odwiedzin w domach znajomych, a czasem krewnych, Polacy odwiedzali groby swoich przodków i bliskich na miejscowym cmentarzu, a także miejsce kaźni z r. 1942 obywateli miasta w lesie za wsią Potoczek.

Nie skończyło się na tych dwóch wyjazdach, stały się one odtąd coroczną tradycją. Śniatyniacy spotykają się dwa razy w roku: na pielgrzymce do miasta pochodzenia i na odpuscie w Brzegu Dolnym. W r. 1996 pojechaliśmy do Śniatyna by zawieźć kopię cudownego obrazu Matki Bożej, ufundowaną przez ks. prof. Tadeusza Wojciechowskiego, a wykonaną przez krakowską artystkę malarkę.

Choć ołtarz główny nie jest jeszcze gotowy (w kościele znajduje się wypożyczony mały ołtarz Trójcy Św.), to Śniatynska Matka Boża czuwa tam i czeka teraz co roku na nasz przyjazd.

Śniatyn nie jest miastem mego urodzenia, to miasto mojej matki i ojca, moich dziadków i ich rodziców; spisałam pokrótce jego dzieje aby zachować od zapomnienia i to utracone, obok wielu innych, miejsce.

Materiały historyczne wykorzystano z pracy pt. „Śniatyn” Stanisławy Zawadzkiej.

Luty 2000

ta otrzymywali gałę, a do tego jeszcze w wolnych chwilach wraz z żonami pracującymi od świtu do nocy, uprawiali ziemię.

Wszyscy mieli wszystko „swoje” – od kiszonych ogórków, kapusty, ziemniaków i innych warzyw poczynając, po pyszne powidła śliwkowe i konfitury z róży, z truskawek, z malin i agrestu.

Nie pamiętam lepszej kuchni niż ta kresowa: polsko-ukraińska i żydowska.

Od tortów makowych poczynając, od ryb faszerowanych, od kutii, a na ruskich pierogach z serem i ziemniakami kończąc.

Z Polakami zawierały związki małżeńskie co ładniejsze i ambitniejsze Ukrainki; w rezultacie podziały narodowościowe i religijne przebiegały w sposób, wydawało się, logiczny i raz na zawsze ustalony.

Jeżeli tata był Polakiem, synowie wyznawali wiarę rzymskokatolicką, a córki były prawosławne tak jak ich matka; i odwrotnie.

Obok mnie żyła rodzina sierżanta Wadowskiego, jego żona Olga (Ukraińska) skończyła pedagogikę we Lwowie.

Po babce ta para odziedziczyła spore gospodarstwo rolne, mówiło się i po polsku i po rusku... pamiętam jeszcze jak mały Rysio budził się rano wołając „babka, wari isti”.

Z nią, starą kobietą, mógł rozmawiać tylko po rusku.

Ale zaczęła się okupacja hitlerowska i Wadowski, który przedtem był „kimś”, nagle we własnym domu stał się nikim.

Takich przykładów było setki.

Kołowrotek wydarzeń kręcił się na tej ziemi tak szybko. Najpierw byli Sowieci, potem Niemcy, potem bili się obok naszych domów i przez dwa dni władali nami hitlerowcy, a potem przez trzy dni Armia Czerwona.

W nocy wpadali do naszych domów żołnierze, żądali jedzenia, spania, a nad ranem już ich nie było.

Czerwonarmiejcy z wdzięczności za nocleg i jedzenie ukradli mi, uciekając o świcie, piękne buty oficerki, które nosiliśmy wspólnie z siostrą (jak jedna z nas miała randkę to brała te buty).

Byli też inni żołnierze i oficerowie, którzy nam pomagali. Zaorali pole pod kartofle, bo w czasie wojny byliśmy tylko we dwie z siostrą i dzieckiem.

Więc się litowali.

Od strony ogródka przyszli kiedyś nad ranem włosowcy i błagali o cywilne ubrania.

Wszystko to piszę w tonacji pogodnej, staram się w każdym razie. Ale **baliliśmy się**, bo było się czego bać; grasowały bandy UPA. Przed polikliniką, w której pracowałam jako pielęgniarka, znalazłam rano martwego mężczyznę.

Miał usta rozcięte od ucha do ucha i obok zakrwawionych policzków miał napis „Taką jak ten Sudyło będziecie mieli Polskę – od morza do morza!”.

W pobliskiej wsi nacjonaliści ukraińscy zapowiedzieli kobietom, których mężowie byli Polakami „macie ich wyrzucić z domu, macie pozbyć się Polaków”; nie posłuchały.

Banderowcy podpalili ich domy i stodoły, więc kobiety schroniły się w kościele ... więc oszalałe ze strachu przed ogniem było biegło, pędziło zaleszczyką szosą rycząc ze strachu.

Ta szosa widziała bardzo wiele.

Ta szosa, w pewnym sensie, uczyła pogardy dla władzy.

Skoro ona tak często się zmienia; jedni najpierw są mocni, a potem uciekają w popłochu, drudzy wkraczają do miasta w zwartej kolumnie czołgów i ciężarówek ... a uciekają beładnie – to należy z tego korzystać.

Najpierw bardzo wstydliwie zbierano z szosy dobytek Wojska Polskiego pozostawiony przez nie, gdy uciekało.

Potem zabierano wszystko co zostawiali Sowieci – świnną tuszonkę, koce, mundury i wszystko co mogło się przydać w domu. Potem już ludzie stali się bardziej chciwi i „wykwalifikowani”. Jeszcze świsnęły nad głowami kule, jeszcze można było stracić życie, a już zaczynała się chapatnia czyli łapanie do worków wszystkiego co było w samochodach lub obok.

Więc najpierw po obrobieniu polskich ciężarówek wszyscy mieli mundury koloru khaki, farbowało się sukno wojskowe na brąz czy na czarno i z tego damy miały płaszcze oraz kostiumy.

Najfajniej było jednak kiedy porzucili swoje ciężarówki Niemcy. Widać było z ich zawartości w jakich krajach Panowie Świata już byli.

Mieliśmy nagle francuskie koniaki, portugalskie sardynki, no i najpiękniejsze pantofelki świata: włoskie i francuskie czółenka na wysokich obcasach, wiśniowe, granatowe, czerwone.

Wtedy następował akt drugi: **wymiana towarowa** między miejscową ludnością – chodziło o to, żeby te buty były do pary, bo tak to jeden miał czerwony pantofelek, a drugi zielony.

Numeracja także wymagała współpracy.

Próbuję żartować opisując kopyczyński zaścianek, ale też trzeba pamiętać, że w czasie wojny ludzie bardzo zubożeli.

Kiedy wiosną 44 roku odchodzili wreszcie hitlerowcy, praliśmy w balii trąc mocno na tarce bieliznę, zamiast mydła było coś w rodzaju szarego kamienia.

Żywiłiśmy się sowieckimi konserwami i ziemniakami.

Wzdęty brzuszek Marianka, pięcioletniego wówczas syna mojej siostry, i nogi, które zaczęły się lekko krzywić to pamiątka tamtego czasu.

Okrutnie baliśmy się nocy i tego, że przyjdą do nas banderowcy.

Dom, w którym mieszkaliśmy, miał oszklony, jasny ganek i był tuż pod lasem.

Dwie młode kobiety i dziecko – to po prostu był łatwy kasek. Więc z pomocą ludzi znających się na technice wymyśliliśmy taką oto „fortyfikację”; na noc podłączaliśmy pod gankiem i przy wejściu coś w rodzaju linii wysokiego napięcia.

Kto tego by dotknął padłby, naszym zdaniem, rażony jak pionem – wpadną i padną.

Tymczasem jednak, zwłaszcza w ostatnim okresie walk, „wpadli” Niemcy.

Zajmowali jeden, czy dwa pokoje i pokotem kładli się na ziemi ... aby się tylko wyspać.

Postanowiłam i ja, patriotyczna wprost niesłychanie siedemnastolatka, dokonać jakiegoś walecznego czynu.

Więc pod fotel amerykańkę, obok którego spał żołnierz, wkopałam powoli pistolet maszynowy; udało się!

Niemcy uciekli w popłochu, sowieci jeszcze nie przyszli.

Więc z sierżantem W.P., który nazywał się Marchewka i był moim sąsiadem, zbudowaliśmy na strychu stanowisko obronne.

Sierżant nocami z przyjemnością dyżurował przy tym domowym stanowisku bojowym.

Niemcy odeszli i przyszła władza sowiecka, tym razem na dłużej. W *Wojenkomandzie* zaczął się ochotniczy i nie ochotniczy zaciąg. Mówiło się, gdy szli śpiewając żołnierze ukraińscy: dobrowoly, ochotnicy z ostatniej oblawy.

W każdym razie mój maszynowy pistolet mógł się okazać przydatny, zwłaszcza, że nabór do Polskiego Wojska już trwał.

Już, już byłam gotowa zgłosić się z tą bronią, ale zaproszono mnie na poważną i „szczerą” rozmowę do NKWD.

Zrozumiałam, że nie ma mowy o zgłaszaniu się z pistoletem gdziekolwiek.

„Śliszom mnogo czudesow w Waszoy Żyzni” – powiedział Naczelnik ... więc wraz z Sierżantem Marchewką rozebraliśmy pistolet na części ... i do glinianki (jeziorka) okolonej sitowiem chodziłam pływać, w biuście kąpielówek chowając codziennie inną część. Smutne, ale naprawdę prawdziwe...

Żydzi i okupacja hitlerowska

Skomplikowana siatka animozji i przyjaźni, interesów i zależności sprawiła, że ludzie się znali, byli sobie w jakiś sposób bliscy.

Gdy przyszli Niemcy, byli Polacy, którzy Żydom pomagali z narażeniem życia.

Józef i Michał Wojciechowscy na przykład; mieli piękny dom z ogrodem.

On był leśniczym u hrabiego Jabłonowskiego, który przed wojną zatrudniał wielu Żydów.

W czasie wojny miał podobne stanowisko i był „figurą” w mieście. Pani Józefa Wojciechowska odprowadzała na dwa dni służącą, która jechała do swojej rodziny na wieś, a następnie wołała do pomocy moją siostrę i mnie.

W nocy prało się odzież ludzi schowanych w bunkrze, suszyło się wszystko gorącym żelazkiem, aby pozbyć się wszy i przed świtem Pani Wojciechowska wraz z żywnością oddawała czyste ubrania i bieliznę.

Mieszkańcy bunkrów prosili natomiast, aby dać im cokolwiek do roboty, bo wariują siedząc pod ziemią beczynnymi.

Naprawiali więc bieliznę i wszystko co dało się robić bezszelstnie.

Oczywiście, że była to kropla w morzu potrzeb, oczywiście, że nie wszyscy postępowali podobnie.

Byli w miasteczku i tacy przedstawiciele inteligencji, którzy podczas gdy strzały nie milkły w pobliskim lesie, gdy w ciągu

jednego dnia zabito kilka tysięcy Żydów, mówili: „Przynajmniej to jedno będzie na naszą korzyść!”.

Inni znów powiadali: „choć do Żydz ... ale jednak przykro na to patrzeć, niewinne dzieci też zabijają!”

W poliklinice pracowała jako sprzątaczką piękna i bardzo młoda kobieta – Marysia.

Nikt nie wiedział, że to Żydówka ze Lwowa.

W czasie, gdy przed Urzędem Pracy hitlerowcy ustawiali pożydowskie meble, jakieś szafy, stoły, kanapy i kiedy w lesie często ziemia ruszała się jeszcze, bo ludzie dogorywali dusząc się w wykopanych dołach, Marysia nie wytrzymała i opowiedziała nam o sobie.

W 40 roku wyszła za mąż we Lwowie, w 41 urodziła córeczkę, kiedy miała rok zaczęły się masowe egzekucje.

Zginął mąż Marysi, a ona z dzieckiem błąkała się głodna i bezdomna.

Wreszcie postanowiła, że w każdym razie uratuje dziecko jeśli je komuś podrzuci; i na słomiance w zasobnej kamienicy zostawiła małeństwo pod drzwiami bezdzietnego małżeństwa.

Oni jej nie znali, ona wiedziała kim są.

Po odejściu Niemców jak oszalała popędziła do Lwowa pod znany adres.

Ci ludzie jednak już kochali dziewczynkę, już uznali ją za swoją i wyprowadzili się zacierając wszelkie ślady.

Władza radiańska, czyli sowiecka

Niemcy wreszcie odeszli.

Przyszli nowi ludzie, od których zależało prawie wszystko. W pierwszym okresie nie było żadnej komunikacji i jeździło się auto-stopem czyli z żołnierzami Armii Czerwonej, którzy chętnie ludzi zabierali.

Trzeba było jednak od władz uzyskać *komandirówkę* czyli pozwolenie na poruszanie się po tarnopilskiej okolicy.

Brakowało nam leków więc aptekarz, uroczy Pan Kazimierz Prokosz, dał mi po pierwsze listę potrzebnych leków, a po drugie adresy znajomych farmaceutów we Lwowie.

Zawiedujusza zdravoddiełom dawała mi *komandirówki*; była to dość ładna blondynka przy kości.

Mówiła: „Panno Krysiu – jaką Pani ma śliczną sukienkę i te pantofle! Gdyby też pani mogła przywieźć mi coś takiego!”.

Spod ziemi wykopywałyśmy materiał na *platie* i *tufli*, ale za to przepustki dostawałam na każde żądanie.

Bardzo też przepraszam, że ta relacja będzie teraz i śmieszna i miejscami straszna.

Kiedy zaczął pracować *Wojenkomand*, kiedy zjawili się czerwonoarmiejcy i dawni partyzanci kołpakowscy, mieliśmy w klinice dwa rodzaje pacjentów.

Pierwsza, liczna grupa, to byli ukraińscy chłopcy, którzy za chińskiego boga nie chcieli iść do radiańskiej, własnej przecież, armii.

Wyżerali sobie sodą kaustyczną ogromne rany na nogach, otwierały się rany na żylakach – no i miałam wówczas około 50 pacjentów dziennie.

Przykładałam gaziki z Rivanolem, a zaświadczenie o tych otwartych, bolesnych ranach szło do Komisji Wojskowej.

Druga grupa to już była cała niemal stacjonująca u nas Armia Czerwona i partyzanci, mężczyźni i kobiety.

Na co chorowali? Excusez moi ... ale na trypra.

Mężczyźni cierpieli też często na impotencję wywołaną stresem wojennymi.

W mojej klinice były dwie, znacznie ode mnie starsze i wprost nieprawdopodobnie cnotliwe, stare panny, pielęgniarki.

Żadna z nich za skarby nie pracowała w *Wendyspanzerze*, więc **mnie** (wtedy miałam już 19 lat) powierzono tę pracę i głównie pò te leki jeździłam w następnym okresie do Lwowa.

Moim szefem był doktor Kolarz – wenerolog.

On badał pacjenta i przekazywał mi szkiełka, na które trzeba było pobierać tak zwany rozmaz.

Potem się „to – to” barwiło na niebiesko i brało się pod mikroskop, aby zobaczyć czy gonokoki są agresywne, żywe, czy też nie.

Do moich zadań należało też prowadzenie tak zwanego wywiadu społecznego; od kogo się zaraził?, który raz choruje?, i tak dalej.

Kiedyś młody żołnierz powiada „Siestra, Ty takaja młodaja i Tebia nie wstydno po weneryczeskim rabotat?”.

Na to ja „A Ty gnojku masz 21 lat i piątego trypra w życiu. No to kto ma się wstydzić – ja czy Ty?”.

Pewien kapitan przyprowadził do gabinetu Ukrainkę, ładną, trzydziestoletnią może wieśniaczkę, czarnobrewą i pulchniutką. Tylko, że bohaterski wojak **bał się** jej powiedzieć o co chodzi. A ponieważ bolał ją ząb, to oświadczył, że razem idą do dentysty. Zapraszamy pacjentkę na fotel ginekologiczny; ona siada w stosownej pozycji i powiada do doktora Kolarza „Panie doktorze tylko proszę prędko coś zrobić, żeby ząb przestał mnie boleć!”. Wkrótce doktora Kolarza zabrano do wojska ... prowadziłam więc Wendyspanzer sama.

Mikroskop obsługiwałam z upodobaniem, leczyłam chorych solidnie. Zakładałam kobietom tampony w stosowne miejsce i z lubością (ponieważ w szkole uczyłam się łaciny) pisałam „Gonorea acuta”; przywożone ze Lwowa lekarstwa ordynowałam na receptach doktora Kolarza.

Z doktorem Glaznerem, internistą, jeździłam też wielokrotnie, w dzień i w nocy, do żon *komandirów* generała Kołpaka.

Rodziły lub miały gorączkę połogową, albo też gorączkowały po skrobankach.

Przyjeżdżano po nas saniami przykrytymi drogimi kilimami.

W ogóle Kołpakowcy, których dowódcą był trzykrotnym bohaterem Związku Radzieckiego, byli ludźmi pełnymi fantazji i poczucia własnej wartości.

Za wyleczonego trypra przywieźli mi kiedyś pół świni i 15 litrów czystego spirytusu, który stał się moim kapitałem zakładowym już w Polsce.

Moja siostra, nauczycielka w kopyczyńskiej szkole średniej, była zaprzyjaźniona z całą polską „socjetą” Kopyczyniec.

Sporo z tych ludzi siedziało w więzieniu NKWD.

Tak się złożyło, że z sanitariuszką Wiesią jeździliśmy do tegoż więzienia, aby opatrywać ranę młodego banderowca, któremu amputowano nogę.

Układ był taki: po dokonaniu opatrunku Wiesia zagadywała strażnika (była niewątpliwie uwodzicielska), a ja w tym czasie oddawałam członkom Komitetu Polskiego, który posadzono od razu po odejściu Niemców, listy i małe paczuszki i odbierałam grypsy. Dyrektor kopyczyńskiej szkoły, pan Orłowski, był mi szczególnie bliski i jemu to z szybkością karabinu maszynowego opowiadałam co się dzieje na wolności.

Czas repatriacji był okresem szalonych stresów i bólu. Życie kilku pokoleń to były Kresy Wschodnie, przez kilka pokoleń budowało się domy, uprawiało ziemię, ozdabiało kwiatami ogrody; słowem była to „mała ojczyzna”.

Mazowsze, Warszawa, Kraków, to były dla wielu osób abstrakcyjne pojęcia.

Kilka osób było kiedyś w Wieliczce i zwiedzało Wawel, ktoś tam miał brata czy siostrę w Warszawie, ale niekoniecznie byli to bogacze, którym można było zwalić się na głowę.

Najlepszy dowód jak bardzo brakowało ludziom jakiegoś punktu zaczepienia, jakiejś pewności siebie – to była ta nasza

podróż, ta repatriacja w wagonach towarowych, stosownych dla bydła.

Leśniczy Wojciechowski z żoną i dwojgiem dzieci, Zbyskiem i Jadzią, pozostawili swój piękny dom w Kopyczyńcach.

Gdyby udali się na przykład na Mazury, do Szklarskiej Poręby czy też w okolice Krynicy, dostaliby w 45 roku dom równie piękny ... i żyliby jeszcze i zostawili dzieciom jakąś schedę.

A oni (jak większość ludzi z Kresów) udali się na Śląsk, do Gliwic, do zadymionego miasta.

Tam otrzymali połowę rozpadającego się „familioku” z rachitycznym ogródkiem.

Dzieci podrosły, pożeniły się i też mieszkają w Gliwicach, w naszych cudnych M-3.

Kominowscy zostawili dom jeszcze piękniejszy, przy zaleszczyckiej szosie.

On był maszynistą kolejowym przed wojną; zarabiał dobrze, ale pracę w świątek i piątek przyplacił gruźlicą.

Domek i ogród został dla żony i dla syna ... oni też wyjechali do Polski, bodaj do Katowic.

Jechałyśmy z Kopyczyńcem ponad dwa tygodnie z tobołami i z papierkiem – zaświadczeniem co zostawiamy na Kresach.

Nigdy nie było wiadomo kiedy pociąg stanie na boczniczy, a kiedy ruszy.

Z pięcioletnim synkiem mojej siostry, brudna, ze spuchniętymi od siedzenia nogami, poszłam do obcych ludzi, aby umyć się ciepłą wodą.

Zrozumieli, pozwolili wejść bezdomnym; kiedy wróciliśmy czysti, cudem odnaleźliśmy nasz pociąg, bo właśnie zmieniano lokomotywę.

Kiedy tak przez dwa tygodnie jechaliśmy i jechaliśmy, na każdej stacji ktoś się odłączał i zostawał w drodze.

Tylko, że to oznaczało trzy czy cztery dni oczekiwania na dworcu na Państwowy Urząd Repatriacyjny (PUR).

Repatriantów z Francji witano bowiem szumnie, z orkiestrą – na ludzi z Kresów Wschodnich nikt nie czekał.

My chcieliśmy do Warszawy ... ale wcale nie wiedzieliśmy, że miasta nie ma.

Powiedziano nam to w Łowiczu, więc wysiadłyśmy w Łowiczu.

Siostra została z dzieckiem na dworcu, a ja?

Wtargnęłam do pokoju Burmistrza i oświadczyłam, że nie wyjdę dopóki nie da nam jakiegokolwiek mieszkania.

Więc dał suterенę z piecem-kozą; ale mieliśmy przynajmniej gdzie wyładować meble, a po kilku tygodniach włóczęgi mogłyśmy spać nie na podłodze, nie na dworcu.

„I osiągnął to co chciał albowiem był człowiekiem namiętym” – pisał Babel o złodzieju z Odessy, Beni Krzyku.

Ja miałam tylko 20 lat, ale osiągnęłam to co chciałam albowiem namiętne pragnęłam znaleźć dla swoich bliskich i dla siebie jakieś miejsce na ziemi... □

KRESOWE SYLWETKI

Krystyna Wojciechowska

Antoni Hermaszewski (1898-1980)

Wspomnienie w 20 rocznicę śmierci

16 marca bieżącego roku mija 20 rocznica śmierci Antoniego Hermaszewskiego, jednego z najwybitniejszych działaczy społecznych przedwojennego Wołynia, który zapisał się złotymi zgłoskami w dziejach tego wielonarodowego regionu. Jako rodowity Wołyński już w 1918 r. włączył się w nurt budowania zrębów państwowości polskiej na tej kresowej ziemi, przez szereg lat pełniąc wiele funkcji społecznych, a jako redaktor kilku pism wołyńskich pozostawił po sobie bogatą publicystykę przepojoną najszlachetniejszymi ideałami.

Działalność rozpoczynał jako Prezes pierwszego na Wołyniu Koła Związku Młodzieży Wiejskiej w rodzinnych Lipnikach (15.I.1918 r.), w latach 1924-1936 był Prezesem Wołyńskiego ZMW i założycielem dwujęzycznego pisma młodzieży „Młoda Wieś – Młode Selo” oraz jego redaktorem naczelnym (1929-1936). Był również redaktorem „Przeglądu Wołyńskiego” (1924-1932) oraz tygodnika „Wołyń” (1933-1939), ławnikiem Sądu Okręgowego w Równem, członkiem Zarządu Powiatowego „Strzelca” w Równem, członkiem Zarządu Rady Wojewódzkiej Towarzystwa Organizacji i Kółek Rolniczych na Wołyniu, należał również do władz Centralnej Rady Związków Komunalnych w Warszawie.

Był gorącym patriotą, demokratą, humanistą i człowiekiem głębokiej wiary. Ale przede wszystkim twórcą pracy organicznej wśród szerokich rzesz młodzieży wiejskiej Wo-



Antoni Hermaszewski, 1929 r.

łynia, dzięki czemu wniósł nieoceniony wkład w dzieło cywilizowania tego rolniczego regionu.

Antoni Hermaszewski pochodził z wołyńskiej rodziny szlacheckiej, osiadłej na ziemi kostopolskiej po powstaniu listopadowym 1830 r. Urodził się w roku 1898 w Zurnem k. Kostopola jako czwarte dziecko Sylwestra Hermaszewskiego i Marii z Hutnickich. Początkowo nauki pobierał u sióstr w pobliskim Bereznem, potem uczył się rolnictwa w Poczajowie i Zwiąhu, następnie, jeszcze za czasów carskich, studiował agronomię w Kijowie. Był młodzieńcem pobożnym i bardzo zdolnym. Wysoki i przystojny – wręcz urodziwy, ujmował jednak nie tylko miłą powierzchownością, ale przede wszystkim wiedzą, kulturą osobistą i wyniesionym z domu ojcowskiego obowiązkiem pracy na rzecz społeczeństwa.

W 1918 r. w rodzinnych Lipnikach został przewodniczącym pierwszego na Wołyniu Koła Związku Młodzieży Wiejskiej (ZMW), które stało się początkiem szerokiego ruchu młodzieżowego w całym regionie. Po włączeniu Wołynia w granice II Rzeczypospolitej, Antoni Hermaszewski rozpoczął pracę nad rozbudową Związku, dzięki czemu organizacja ta objęła swoją działalnością całe województwo wołyńskie. Antoni stał się więc pionierem ruchu młodzieżowego na Wołyniu i człowiekiem, który dzięki licznym kołom AMW wniósł nieocenione zasługi w zakresie szerzenia wśród młodzieży wiejskiej wiedzy i kultury rolniczej, różnych form edukacji, czytelnictwa, inscenizacji teatralnych, popularyzacji radia, imprez sportowych i towarzyskich, chórow i orkiestr ludowych oraz tradycji narodowo-religijnych. Jako człowiek światły znał doskonale stan umysłów rolniczego społeczeństwa wołyńskiego, pozbawionego dostępu do wiedzy w okresie zaboru. Dlatego zachęcał do różnych form edukacji, pośród których były konkursy płynnego czytania, sądy literackie nad postaciami książkowymi, zachęta do opracowania przeczytanej lektury i nadsyłania recenzji do redakcji „Młodej Wsi” lub wieczory wspólnego czytania pouczających lektur, wśród których były dzieła Mickiewicza, Sienkiewicza, Żeromskiego czy Rodziewiczówny. Była to nie tylko forma samokształcenia czy kształtowanie patriotyzmu w oparciu o dzieła wielkich twórców literatury polskiej, ale często przywracanie do polskości rzesz młodzieży wiejskiej. Poprzez zorganizowane przy Kołach ZMW liczne chóry, orkiestry ludowe i zespoły teatralne podnoszona była kultura artystyczna wsi w wielu najbardziej zapadłych zakątkach całego Wołynia. Pieśń ludowa nie tylko bawiła, ale piękna w słowie i melodii budziła wśród społeczeństwa wołyńskiego cześć dla świętej przeszłości narodu polskiego.

Antoni Hermaszewski organizował także kursy oświatowo-rolnicze dla młodzieży, aby poprzez nie unowocześniać wieś wołyńską. Młodzież kierował również do szkół rolniczych oraz do Uniwersytetu Ludowego w Michałowie k. Dubna.

Z czasem włączył się w nurt szerszej działalności, dlatego wziął czynny udział w przygotowaniu wyborów w roku 1928. Powołany na przewodniczącego Okręgowego Biura Wyborczego w Łucku i do prezydium Wołyńskiego Zjednoczenia Komitetów Wyborczych, przewodniczył zebraniom przedwyborczym w wielu okręgach Wołynia. On także z ramienia wojewody Władysława Mecha negocjował w Kwasilowie z Czechami umieszczenie Włodzimierza Meduny na liście BBWR, w zamian za poparcie przez nich listy Marszałka. Był także członkiem Wołyńskiego Obywatelskiego

Komitetu Wyborczego BBWR w 1930 r., w skład którego wchodził również jego stryjeczny brat Jan Hermaszewski.

Jako Prezes Wojewódzkiego ZMW i członek Wołyńskiego Zarządu Kółek Rolniczych swoją pracą zyskał autorytet i uznanie, skoro podczas historycznej wizyty prezydenta Mościckiego na Wołyniu w czerwcu 1929 r. referował przed najwyższym dostojnikiem Państwa na spotkaniu w Równem sprawę ruchu młodzieżowego oraz działalność Kółek Rolniczych na wsi wołyńskiej.

Dzięki wiedzy i kulturze politycznej – tak bardzo potrzebnej na wielonarodowym Wołyniu, Antoni Hermaszewski jako człowiek Kresów był niewątpliwie podporą władz polskich, realizując na długo przed przybyciem na Wołyń wojewody Henryka Józewskiego program współpracy polsko-ukraińskiej. Jej idea nawiązywała duchem do wielonarodowej Rzeczypospolitej Jagiellonów i poszanowania w duchu demokracji wszystkich mieszkańców Wołynia, jako równoprawnych obywateli Polski.

Wyrazem tej postawy było założenie przez Antoniego w 1929 r. dwujęzycznego pisma „Młoda Wieś – Młode Selo”, dwutygodnika Wołyńskiego ZMW. Redakcja mieściła się w Równem i gazeta była kuźnicą wymiany myśli, poglądów, doświadczeń, porad, radości i smutków młodzieży wiejskiej – Polaków i Ukraińców, ale nade wszystko miejscem szerzenia ideałów pracy organicznej, przedsięwzięć w zakresie rolnictwa oraz wychowania patriotyczno-obywatelskiego.

Przez trzy kadencje do roku 1936 Antoni Hermaszewski pełnił z oddaniem funkcję Prezesa Wołyńskiego ZMW, będąc jednocześnie wielkim nauczycielem i wychowawcą młodzieży, której wpajał tradycyjne cnoty i wartości, będące przez wieki ozdobą narodu polskiego. Aż do wybuchu wojny związany był z ruchem młodzieżowym na wsi wołyńskiej, pracą na rzecz rolnictwa, licznymi organizacjami społecznymi oraz prasą regionalną.

Wiosną 1941 r. zostaje aresztowany przez sowieckie NKWD, co było wyjątkową ironią losu wobec człowieka, który przez całe życie głosił i realizował chrześcijańskie zasady dobra i poszanowania drugiego człowieka. Uwieczony na Łubiance doczekał amnestii po układzie Sikorski-Majski z lipca 1941 r. i wycieńczony opuścił Rosję wraz z Armią gen. Andersa, z którą przez Iran, Irak, Jerozolimę, Egipt i Włochy dotarł do Anglii.

Na emigracji Antoni Hermaszewski włączył się znowu w nurt pracy narodowej i społecznej. W Londynie był działaczem Polskiego Stronnictwa Ludowego oraz Stowarzyszenia Rolników Polskich, potem współtwórcą i redaktorem „Biesiady Krzemienieckiej”, nawiązującej duchem do świetnych tradycji Liceum Krzemienieckiego. Przez długie lata blisko współpracował z Ministerstwem Spraw Zagranicznych na Uchodźctwie, był aktywistą Towarzystwa Polsko-Ukraińskiego, należał do władz Instytutu Wschodniego „Reduta”, placówki działającej na rzecz zbliżenia polsko-ukraińskiego, gdzie niezmiennie reprezentował stanowisko o konieczności współpracy i solidarności narodów polskiego i ukraińskiego. Na łamach gazety „Tydzień Polski” dokonywał omówienia emigracyjnej prasy ukraińskiej. Taktowny w polemice, był niezmordowany w podkreślaniu niezbędnego poznawania się, współpracy i wzajemnego przenikania w dziedzinie kultury, które uważał za najważniejsze elementy przezwycięzania gorzkich chwil i krzywd przeszłości.

Za swą pracę narodową i społeczną został odznaczony Krzyżem Oficerskim Polonia Restituta. Zmarł 16 marca

1980 r. w wieku 82 lat i spoczął na cmentarzu w zachodnim Londynie z dala od Ziemi Wołyńskiej, dla której z umiłowan-
niem pracował.

Na przedwojennym Wołyniu Hermaszewscy byli bodaj najbardziej zasłużonym rodem, który tak wiele dobra uczynił dla tamtej Ziemi, gdyż aktywnie działali na rzecz społeczeństwa także bracia, siostry oraz kuzynostwo Antoniego Hermaszewskiego. Jednak podczas wojny rodzina ta została zdziękowana. Wielu z nich zamordowali ukraińscy nacjonalisci podczas napadu na rodzinną wieś Lipniki w marcu 1943 r., gdzie śmierć poniosły 182 osoby, w tym 5 Hermaszewskich, wśród których był 90-letni senior rodu – Sylwester Hermaszewski. Spoczywają we wspólnej mogile na cmentarzu w Białce k. Berezna, na dzisiejszym Wołyniu, dokąd szczątki pomordowanych zostały przeniesione w 1975 r. staraniem ukraińskiej nauczycielki.

Los niektórych z rodzeństwa i kuzynostwa Antoniego Hermaszewskiego:

Julia Hermaszewska-Płocka – siostra, zamordowana wraz z mężem w 1943 r. przez nacjonalistów ukraińskich w Pustomtych na Wołyniu.

Teofil Hermaszewski – brat, działacz Polskiej Macierzy Szkolnej, były burmistrz gm. Mokwin, potem sekretarz gm. Stydyń, jako oficer rezerwy działał w konspiracji AK.

W 1943 r. aresztowany i rozstrzelany przez Niemców w kostopolskim lesie. Spoczywa na nieistniejącym dziś cmentarzu w Kostopolu.

Bolesław Hermaszewski – bratanek, s. Teofila, żołnierz I Armii Wojska Polskiego.

Roman Hermaszewski – brat, skrytobójczo zastrzelony przez nacjonalistę ukraińskiego w Lipnikach w 1943 r. Spoczywa na nieistniejącym dziś cmentarzu w Bereznem pow. kostopolskiego. Ojciec obecnie trzech lotników – gen. Władysława Hermaszewskiego, mjr. Bogusława Hermaszewskiego i polskiego kosmonauty gen. Mirosława Hermaszewskiego.

Władysława Hermaszewska-Splawska – siostra, wdowa po oficerze zamordowanym w Katyniu. W 1940 r. deportowana do Kazachstanu, żołnierz Armii gen. Andersa. Na Bliskim Wschodzie oddelegowana do pracy w Komendzie Hufca ZHP Szkoły Młodych Ochotniczek w Nazarecie, potem do Chorągwi ZHP w Libanie. Po wojnie w Londynie. W latach 70-tych była naczelniczką Harcerki ZHP poza Krajem.

Zygmunt Hermaszewski – brat, absolwent przedwojennej SGGW w Warszawie i oficer Korpusu Ochrony Pogranicza, konsul II RP w Tuluzie we Francji. Członek ZWZ, kurier tatrzański, więzień Oświęcimia i Mauthausen.

Marian Hermaszewski – brat, działacz młodzieżowy na Wołyniu, wywieziony na roboty do Niemiec.

Tadeusz Hermaszewski – brat, podczas wojny bosman na okrętach ORP „Burza”, „Ślajak” i „Błyskawica”. Otrzymał wojenne odznaczenia polskie, brytyjskie, francuskie i kanadyjskie.

Zofia Hermaszewska-Słowińska – siostra, wdowa po poległym żołnierzu 27. Wołyńskiej Dywizji Piechoty AK, wieloletnia aktywistka Zarządu Wojewódzkiego Kół Gospodyń Wiejskich na Wołyniu. Matka Henryka Słowińskiego, prof. Akademii Rolniczej we Wrocławiu.

Antoni Hermaszewski – stryjeczny brat, s. Łukasza, żołnierz I Dywizji Pancerniej gen. Maczka.

Jan Hermaszewski – stryjeczny brat, działacz spółdzielczy i samorządowy w Kostopolu, zaginął w niewyjaśnionych okolicznościach po uderzeniu sowieckim na Polskę 17 września 1939 r. Jego rodzina wywieziona na roboty do Niemiec.

To krótkie wspomnienie niechaj będzie przywróceniem Pamięci wielkiego społecznika Antoniego Hermaszewskiego, wybitnego Syna Ziemi Wołyńskiej, zasłużonego w dziele cywilizowania tego regionu, dla dobra wszystkich zamieszkałych tam narodowości. Dobrze zasłużyli się Wołyniowi również bliźni i dalsi krewni Antoniego, a ich losy dowodzą, że Hermaszewscy dla Polski nie tylko pracowali, ale także dla niej cierpieli, o nią walczyli i za nią umierali.

Antoni Hermaszewski przez całe życie postępował jak obywatel Rzeczypospolitej Obojga Narodów. I choć od 1945 r. przebywał na emigracji, nigdy nie zapomniał Wołynia i jego przedwojennej atmosfery, dlatego czynnie działał na rzecz pojednania polsko-ukraińskiego, a jego myśli nieustannie biegły nad wołyńskie pszeniczne niwy nad Styrem, Śluczą i Horyniem.

Opracowano na podst. prasy wołyńskiej 1924-1939, Władysława Hermaszewskiego „Echa Wołynia”, dokumentów dostarczonych przez córkę Marię Serafin – Mech. Konsultacja prof. Henryk Słowiński. □



Kazimierz Kapuściński

„Niestrudzony promotor polskiej historii w Wielkiej Brytanii i poza jej granicami, pisze i prowadzi odczyty, szczególnie o wydarzeniach dotyczących Lwowa i Kresów Wschodnich” (The Polish Gazette – Jan.-March 1998). Pan Kapuściński, pomimo tak długiego stałego zamieszkania w Anglii pisze i mówi piękną polszczyzną, której mógłby mu pozazdrościć niejeden dziennikarz naszych komercyjnych stacji telewizyjnych.

Jego życie jako działacza społecznego i wolnościowego jest tak bogate w wydarzenia, że zajęłoby mi dużo czasu i kartek papieru aby je szczegółowo opisać, ale mam nadzieję, że ten artykuł odda to co najważniejsze dla miłośników Lwowa i Kresów Wschodnich.

Pan Kazimierz Kapuściński pochodzi z rodziny ziemianskiej osiadłej na Kresach, a jej korzenie tkwiły w Lipnie na Kujawach. Na powstanie listopadowe w 1830 r. rodzina wystawiła oddział jazdy z własnym uzbrojeniem, który dołączył do Generała Dwernickiego. Po upadku powstania rodzina osiadła w miasteczku Łopatyn powiat Radziechów.

Szkółę średnią rozpoczął pan Kapuściński w Radziechowie, a ostatecznie zakończył swą edukację po wojnie, kończąc w Anglii studia techniczne i otrzymując tytuł inżyniera. Aresztowany koło Worochty 26 listopada 1939 r. i więziony w Kirowogradzie, znalazł się następnie w karnym, niewolniczym obozie w okręgu „Uchta-Peczorskich” systemie łagrów. W 1941 r. dołączył do organizującej się w Łockoje 6-tej dywizji Lwowskiej. Był żołnierzem 6-tego Pułku Pancernego Dzieci Lwowskich od początku jego powstania. Po ukończeniu odpowiedniego przeszkolenia technicznego w Armii Brytyjskiej w Egipcie był aż do końca wojny w jednostce technicznej odpowiedzialnej również za uzbrojenie Pułku. Po wojnie znalazłszy się w Anglii organizuje w Sheffield polską drużynę piłkarską – „Sheffield Tempo”, która szybko została przyjęta do amatorskiej ligi piłkarskiej. Cały czas pracuje społecznie w innych polskich organizacjach zwalczając usiłowania polskiej, komunistycznej ambasadzie wciągnięcia polskiej, niepodległościowej emigracji pod czerwony sztandar ówczesnej Polski. Należał do ruchu niepodległościowego „Wolność i Demokracja” złożonego z młodych intelektualistów, między innymi personelu Radia „Wolna Europa”.

Po przeniesieniu się do Londynu natychmiast został członkiem Koła Lwowian pisząc do jego biuletynu artykuły, które zawsze tchną gorącym patriotyzmem i umiłowan-
niem Lwowa i Kresów.

Kiedy w Times (The Times) z dnia 18 V 1995 r. ukazał się artykuł na 50 rocznicę bitwy pod Monte Cassino, w którym pominięto kompletnie rolę Polaków w tej bitwie, pan Kapuściński reaguje natychmiast, pisząc do wydawnictwa Times jako uczestnik bitwy pod Monte Cassino i członek Polskiego Towarzystwa Historycznego w Londynie – ostry artykuł (pięknym zresztą językiem angielskim) o decydującej roli Polaków w tej bitwie.

Już 25 V 95 r. dostaje bardzo grzeczną odpowiedź od wydawcy, że jego uwagi zostały bardzo starannie zanotowane...

Po przejściu na emeryturę pan Kapuściński kupuje w pobliżu Wrocławia dom mając ciągle w perspektywie działalność na rzecz Lwowa. Korzystając z przeżyć własnych i bezcennych źródeł Instytutu Polskiego w Londynie wydaje książkę „Zbrojne Ramię Miasta Lwowa” o bohaterskich i zwycięskich oddziałach lwowskich walczących na Zachodzie na lądzie, w powietrzu i częściowo na morzu.

Książka pana Kapuścińskiego prócz ścisłych danych zawiera również bałaganie Bronyka-Staśka Zielonego z czasów wojny, a także poezję wojenną o golgocie wschodu i pieśni żołnierskie.

Pan Kapuściński śpiewał w barytonach istniejącego po wojnie chóru Wojska Polskiego w Londynie składającego się przeważnie z kresowiaków związanych swą kulturą ze Lwowem. Poświęca temu tematowi rozdział w swojej książce, gdzie wspomina o debacie w Izbie Lordów na temat polskiego chóru. Był to jedyny wypadek w wielowiekowej historii angielskiej Izby Lordów, że mówiono o chorze – w tym wypadku o chorze Wojska Polskiego.

Pan Kazimierz Kapuściński bardzo często bywa w Polsce i niestrudzenie odwiedza organizacje Lwowskie od Gliwic, Opola, Wrocławia, aż do Warszawy, gdzie prowadzi po swoich odczytach długie dyskusje wysłuchując z przejęciem skarg kresowiaków o krzywdach, jakie władze komunistyczne im wyrządziły robiąc duże trudności w organizowaniu kół miłośników Lwowa i Kresów Wschodnich. Po spotkaniach w kołach Lwowian i dyskusjach nad przyszłością nurtuje go myśl i troska o utworzenie centralnego przedstawicielstwa wszystkich organizacji kresowych – Instytutu Lwowskiego – możliwie we Wrocławiu – dużego obiektu mieszczącego pamiętki kultury Lwowa i Kresów Wschodnich – bibliotekę, salę teatralną i rozrywkową oraz hotel z restauracją i kawiarnią dla przyjeżdżających gości. Myśl jest piękna, jak ją jednak zrealizować? Może czytelnicy w Polsce lub poza jej granicami będą mieli na to pomysły? □

Helena Wiewiórska

Kresowianie na Obczyźnie

Zawsze wierni...

W swoich wędrówkach po Anglii spotkałam wielu wspólnych polskich patriotów, a na to miano zasługuje szczególnie wywodzący się z Ziemi Radziechowskiej Pan Kazimierz Kapuściński – żołnierz Armii Andersa, z którą po Kampanii Włoskiej dostał się do Anglii i tu mieszka już ponad 50 lat.

O jego rodzinie pisze w Semper Fidelis pan Tadeusz Kukiz w artykule „Była taka osada Niedźwiedzie” (Semper Fidelis Nr 5 (52) 1999), a „Gazeta” – The Polish Gazette – którą cytowałam w Semper Fidelis pisząc o kresowiakach na obczyźnie, pisze o panu Kapuścińskim w artykule „Beyond today's frontier but never forgotten” między innymi:

Bronisław Orzechowski

Kapitan Bolesław Nieczuja-Ostrowski organizator Polskiej Organizacji Wojskowej, pierwszy komendant Lwowa – Związku Walki Zbrojnej

Dla kapitana Bolesława Nieczui-Ostrowskiego kampania wrześniowa 1939 r. zakończyła się zwycięską bitwą nad Sanem, gdzie dowodzona przez niego 2 kompania I Batalionu 116 Pułku Piechoty 41 Rezerwowej Dywizji Piechoty skutecznie odpierała natarcie wojsk niemieckich. Jednak kapitulacja wojska polskiego zbliżała się nieuchronnie. Po latach napisał z gorzkością:

„Tego samego dnia zostaliśmy okrążeni przez dwie dywizje niemieckie i jedną sowiecką. Ta ostatnia posuwając się za Niemcami odchodzącymi za San obejmowała władzę komunistyczną po linię właśnie tej rzeki. Wrogowie Polski dzielili się naszym pięknym krajem, dopielając czwartego już rozbioru.”

Pierwsze dni niewoli niemieckiej to pobyt w miejscowym obozie dla oficerów w Biłgoraju, a następnie męcząca



General bryg. Bolesław
Nieczuja-Ostrowski

wędrowka w kolumnie jeńniczej zakończona szczęśliwą ucieczką zakończoną po wielu przygodach dotarciem do Lwowa. Niestety u jego teściów Heleny i Bronisława Paklikowskich nie znalazł żony z małą córeczką, które wraz z rodzinami oficerów miały być ewakuowane na wschód. Sytuacja ludności polskiej w okupowanym przez Sowieców Lwowie była bardzo trudna. Rozpoczęły się masowe represje najpierw w stosunku do wziętych do niewoli oficerów i żołnierzy wojska polskiego i policji, mordowanych pojedynczo i rozstrzeliwanych masowo przez NKWD, a później w stosunku do młodzieży szkolnej i nauczycieli, którzy jawnie protestowali przeciwko zarządzeniom sowieckich władz szkolnych wprowadzających nowy system nauczania i wychowania, oparty na ateizmie, marksizmie i leninizmie. Aresztowania i masowe zsyłki w czasie siarczystych mrozów objęły przede wszystkim księży i zakonników, oficerów wojska polskiego i policji, urzędników państwowych, działaczy politycznych i społecznych, właścicieli nieruchomości, kamieniczników, kupców i właścicieli ziemskich. Wywożono na Sybir całe rodziny z dziećmi, starcami i chorymi wagonami kolejowymi bez ogrzewania i wyżywienia, co przy silnych w tym czasie mrozach było przyczyną masowych zgonów. Historyk Lwowskiej Armii Krajowej Stanisław Pempel napisał: „Mimo wzrastających represji w niepokonanym mieście powstawały dalsze konspiracyjne organizacje wojskowe. Jedną z większych, która przyjęła nazwę Wierni Polsce utworzył ppłk dypl. Jan Maksymilian Sokołowski (1895-1986) ps. „Trzaska”, Ludwik Żelechowski – legionista 5 pp Pierwszej Brygady, członek POW, uczestnik wojny polsko-sowieckiej 1919-1920... We wrześniu 1939 r. szef sztabu 35 DP, obrońca Lwowa... Do końca października 1939 r. zgromadził wokół siebie grupę około 40 oficerów i stworzył organizację szkieletową, która w razie potrzeby mogła zmobilizować w krótkim czasie większą ilość ludzi. Kapitan Bolesław Nieczuja-Ostrowski we wspomnieniach tak opisał swoją współpracę z „Trzaską”: „Stosunkowo szybko udało mi się stworzyć zręby organizacji podziemnej, którą nazwałem: Polska Organizacja Wojskowa „Lwów” i w której dzięki wielkiemu patriotyzmowi lwowiaków już w lutym 1940 roku miałem zorganizowanych 11 kompanii szkieletowych. Z końcem stycznia 1940 roku udało mi się nawiązać kontakt z pułkownikiem Janem Sokołowskim, pseudonim „Trzaska”, komendantem ZWZ Okręgu Lwów. Na jego żądanie musiałem przedstawić mu wszystkich dowódców kompanii, a oni swoje stany liczebne, uzbrojenie i zadania. Wówczas zostałem mianowany przez niego komendantem miastem Lwowa.”

Skład osobowy sztabu organizacji ZWZ-1 w tym okresie był następujący:

Komendant Organizacji – „Trzaska” ppłk Jan Maksymilian Sokołowski

Zastępca i komendant prowincji – mjr Zbigniew Dobrowski

Szef sztabu – „Niewiarowski” mjr Aleksander Klotz
Kwatermistrz – kpt. Stanisław Turek
Szef wywiadu – por. Karol Trojanowski
Szef łączności organizacyjnej – mjr Roman (imię nieznane)

Szef łączności z zagranicą – kpt. Hatowski (imię nieznane)
Łączność polityczna z ludnością cywilną – Władysław Piechowski

Komendant Lwowa – kpt. Bolesław Nieczuja-Ostrowski
Komendant Wołynia – ppłk Tadeusz Majewski

Komendant Stanisławowa – ppłk Władysław Smereczyński

Komendant Tarnopola – rtm ... (imię i nazwisko nieznane)

Do najbliższych współpracowników komendanta na terenie miasta Lwowa należeli: jego szwagier, student medycyny, Andrzej Paklikowski, pełniący funkcję łącznika, kpt. Gustaw Bruchnalski, stomatolog, komendant punktu kontaktowego, pdchor. Leszek Korzeniowski, pełniący funkcję łącznika, oraz Maria Voelpel również łączniczka.

Komendant miasta Lwowa po latach wspominał: „Głównym punktem kontaktowym organizującej się jeszcze Komendy Miasta był znajdujący się przy ulicy Zyblikiewicza nr 5 gabinet dentystyczny lekarza stomatologa kpt. Gustawa Bruchnalskiego, wspianego Polaka, oddanego całkowicie ojczyściej sprawie.

Wśród zmieniających się stale pacjentów kryli się często łącznicy, którzy dla rozpoznania posługiwali się hasłami konspiracyjnymi. Tam też przez pewien czas był mój punkt dowodzenia.

Kontakt służbowy z Komendantem Okręgu utrzymywałem za pośrednictwem mojego szwagra Andrzeja i będącego z nim w łączności „Kadeta”, syna płk. dypl. Jana Sokołowskiego „Trzaska”. Syn pułkownika był wychowankiem Szkoły Kadetów we Lwowie i to z czasem stało się śladem podejrzeń NKWD... Na przełomie lutego i marca 1940 roku wysłannicy NKWD wdarli się do mieszkania pułkownika i aresztowali „Kadeta”. Na szczęście pułkownika nie zastali i został on ostrzeżony.” A jak o tych tragicznych wydarzeniach napisał sam uczestnik płk Sokołowski: „Mieszkałem nadal na ulicy Małeckiego. Była to ślepa uliczka zabudowana kilkunastoma jednopiętrowymi domami. Andrzejem opiekowały się serdecznie panie Gotlibowe, a ja coraz intensywniej zajmowałem się tworzeniem organizacji. Ruch pannał ciągle, gdyż poza miejscowymi przybywali kurierzy ze Stanisławowa, Tarnopola i innych miast naszego obszaru. Dowódcy rozmaitych szczebli wchodzili i wychodzili, co nie mogło oczywiście ująć uwadze dozorców, którymi w tym czasie byli już niemal wyłącznie ludzie zwerbowani do współpracy z NKWD. Tak więc, choć na Małeckiego było nam jak u mamy, bardzo szybko postanowiłem zmienić zakwaterowanie. Zimą 1940 roku, kiedy wracałem późnym wieczorem do domu, uwagę moją zwrócił gwałtowny kaszel. Podniosłem głowę i w oknie zobaczyłem panią Basię, która dawała znaki, abym się cofnął, abym uciekał. Domyśliłem się natychmiast, co się dzieje, gdyż najścia NKWD na polskie domy były już w tym czasie powszednim chlebem. Decyzja nie była jednak łatwa. Tam na górze, gdzie gospodarują enkawudziści jest mój ukochany syn. Nie bez moralnych oporów wytłumaczyłem sobie, że nie przyszedł po niego, tylko po mnie – więc może go nie zabiorą. Wycofałem się. Później jednak po stokroć wracałem w myślach do tej sytuacji, gdyż syna nigdy już w życiu nie zobaczyłem. Przeszedł ostre śledztwo, w którym nikogo nie zdradził, a potem

został zesłany do Usy – portu węglowego w pobliżu osławionej Workuty. Wyostał się stamtąd z Armią Polską pod dowództwem generała Andersa, ale poległ w bitwie pod Monte Cassino...”

Kapitan Bolesław Nieczuja-Ostrowski stracił kontakt zarówno z „Trzaską”, jak również z całym okręgiem. Musiał zmieniać miejsca pobytu. Mieszkał u stryjecznych brata żony – Kazimierza Paklikowskiego, później w mieszkaniu rodziny profesora Voelpa, a następnie miejsce zamieszkania zostało odkryte przez NKWD w lutym 1940 r. Dalsze ukrywanie się przy braku kontaktu z Okręgiem było zagrożeniem nie tylko dla niego, ale również dla osób, które udzielały mu schronienia.

Tę tragiczną sytuację opisał autor wspomnień w następujący sposób: „Troska o całość organizacji, której powstanie wymagało przy ciągłym zagrożeniu wiele wysiłku i trudu... żal aresztowanych, bezsilność moja, urwany kontakt z Okręgiem... i ta wściekła gonitwa agentów NKWD za mną. Co miałem robić? Jak postąpić w tej sytuacji? Zdawałem sobie sprawę z mojego poważnego zagrożenia – byłem zupełnie zdekonspirowany... już blisko trzy tygodnie NKWD polowało na mnie... Logika nakazywała szybko opuścić Lwów...”

Ostatnią czynnością komendanta Lwowa było przekazanie komendy zastępcy, z poleceniem szukania kontaktu z Okręgiem i opuszczenie miasta pociągiem z Głównego Dworca.

Po przyjeździe do Krakowa rozpoczął działalność konspiracyjną pod okupacją niemiecką. W kwietniu 1940 r. został mianowany szefem uzbrojenia, a od sierpnia 1942 r. działał jako organizator i szef konspiracyjnej produkcji broni Okręgu ZWZ Kraków (tzw. „Ubezpieczalnia”). W sierpniu 1943 r. w randze majora zaczął pełnić obowiązki inspektora Inspektoratu Rejonowego Armii Krajowej – Miechów noszącego kryptonim „Maria”. Ocena pracy majora Nieczui-Ostrowskiego ps. „Bolko”, „Tysiąc” na tym terenie dokonana przez łącznika Okręgu: „...W rezultacie przysłano młodego, energicznego dowódcę „Tysiąca”, który w przeciągu sześciu miesięcy postawił Miechowice na nogi do tego stopnia, że w lecie 1944 r. operowały tam trzy pełne bataliony partyzanckie i pracujący pod ich osłoną sztab ścisły komendanta Okręgu „Gardy”, zwany później sztabem Grupy Operacyjnej „Garda”, szła łączność radiowa z Komendą Główną w Warszawie, a potem z Londynem, stamtąd była nawiązywana i pomimo bombardowań z powietrza i pacyfikacji przy użyciu Wehrmachtu całe połacie Miechowskiego utrzymywały się do listopada w naszych rękach.” W lipcu 1944 r. został mianowany dowódcą 106 Dywizji Piechoty

Tadeusz Walkowiak

Szlakiem generała Hallera

W lecie 1938 roku szkoła handlowa w Lesznie zorganizowała obóz harcerski na Huculczyźnie. Było to w województwie stanisławowskim, w powiecie Nadwórna, w miejscowości Zielona nad Bystrzycą Nadworniańską. Rozlokowaliśmy się przy potoku Chrepełówka, tuż przy wiosce Chrepełów. Mogło nas być 28 harcerzy, komendantem był prof. Świętkowiak, zamordowany przez okupanta. W drodze na obóz zwiedziliśmy Kraków i Lwów, a w drodze powrotnej Warszawę. Na obozie

AK (Kryptonim „Dom”). Wkrótce awansował na podpułkownika ze starszeństwem od 11 listopada 1944 r.

1 stycznia 1945 r. został mianowany pułkownikiem. W 1945 r. po ujawnieniu się zamieszkał w Elblągu. Aresztowany w 1949 r. został skazany na podstawie fałszywych oskarżeń dwukrotnie na karę śmierci, przebywał ponad siedem lat w więzieniu. Po uwolnieniu w październiku 1956 r. był kierownikiem kolportażu Oddziału Wojewódzkiego PAX w Gdańsku i Elblągu. Prezydent RP – Lech Wałęsa na wniosek żołnierzy 106 DP AK mianował Go generałem brygady w dowód uznania najwyższych wartości moralnych i umiejętności wojskowych. Generał brygady Bolesław Michał Nieczuja-Ostrowski został odznaczony wieloma orderami, krzyżami i odznaczeniami wojskowymi, w tym Orderem Krzyża Wirtuti Militari klasy V, Krzyżem Walecznych trzykrotnie, Złotym Krzyżem Zasługi z Mieczami, Krzyżem Komandorskim i Kawalerskim Orderu Odrodzenia Polski, oraz Orderem Wirtuti Civili II klasy. 16 maja 1993 r. został uhonorowany wysokim odznaczeniem papieskim – „Pro Ecclesia et Pontifice” nadanym przez Kościół Rzymsko-Katolicki.

Generał jest autorem monumentalnej pracy historycznej: „Rzeczpospolita Partyzancka” i wspomnień „Drogi Miłości Bożej”. Historyk 106 DP Armii Krajowej Stanisław Piwowarski następującymi słowami opisuje działalność pierszą Generała:

„Wydana w roku 1991 książka pt. „Rzeczpospolita Partyzancka” poświęcona jest walkom powstańczym w dorzeczu dolnej Nidy, Nidzicy, Pilicy, Szreniawy i Dłubni, które doprowadziły do utworzenia – „Kazimiersko-Proszowickiej Rzeczypospolitej Partyzanckiej”, a potem do sławnej i bohaterskiej jej obrony.

Inny charakter nosi zbiór szkiców-wspomnień – „Drogi Miłości Bożej”. Tyczy on w głównej mierze aspektów etyczno-moralnych, jakie towarzyszyły autorowi w jego dramatycznym, choć pięknym życiu żołnierza, partyzanta i dowódcy. Jest to publiczne wyznanie wiary, świadectwo miłości, jaką obdarzał autor najbliższych, zwłaszcza wielką rzeszę ponad dwudziestu tysięcy podległych mu żołnierzy i partyzantów, których los wziął w swoje ręce, prowadził ich przez najtrudniejszy okres w najnowszej historii naszego narodu, jest wreszcie zbiór ten świadectwem historycznej prawdy, którą uczynił autor główną dewizą swojego życia. Zbiór tych cnót rycerskich w najpiękniejszym tego określenia znaczeniu – położył się jakże jasnym blaskiem na istocie odwiecznego hasła Polaków: „Bóg, Honor, Ojczyzna” – hasła, które przyświecało Generałowi i nieustannie przyświeca nadal.” □

byliśmy od 20 lipca do 6 sierpnia. Organizowano wycieczki górskie, to na Sywulę, to na Maksymiec, aż w końcu była wycieczka do Rafajłowej na przełęcz Legionów. Na stacyjkę kolejki górskiej udało się kilkunastu harcerzy, ale na stacji zaczęło padać i grupa chętnych zmalała do pięciu osób. Kolejka miała kryty wagonik, 2-3 lory dla podróżnych bezpłatnie jadących i masę podwozi do transportu dłużycy do tartaku w Pniowie. Z tego Pniowa kolejka wyruszała do Rafajłowej przez Pasieczną i Zieloną, a wracała z dłużycą. Na tej dłużycy też okrakiem siedzieli podróżni, a za ewentualny wypadek kolejka, czyli jej Zarząd, nie brała żadnej odpowiedzialności. Powracając do naszego wyjazdu muszę nadmienić, że cały czas tej jazdy padał deszcz i to niekiedy

dość obficie, tak że byliśmy przemoczeni do suchej nitki.

Po opuszczeniu kolejki i jakimś wyżęciu koszul i spodni udaliśmy się zaraz na szlak prowadzący na Przełęcz Legionów. Szliśmy pasmem Pantyru, jakiś czas wzdłuż naszej granicy z Rumunią, aż wreszcie ktoś w dali zauważył krzyż i wszyscy rzucili się w jego kierunku. Okazało się, że byliśmy przy Krzyżu Legionów.

W listopadzie 1999 roku w „Przyjacielu Ludu” (zeszyt V-VI Leszno 1999) poświęconym generałowi Józefowi Hallerowi, przeczytałem w artykule Czesława Skonki historię budowy tej Przełęczy Legionów. Mianowicie II Brygada Legionów składała się z trzech pułków. Józef Haller na ów czas kapitan 1 baonu 3 pułku wraz z całą Brygadą otrzymał rozkaz przekroczenia Karpat, w tym pasma Gorganów i oczyszczenia z wojsk rosyjskich doliny rzeki Bystrzycy na odcinku Rafajłowa-Zielona. Jednak aby tam się dostać, trzeba było zbudować drogę przez przełęcz Rogodze. Dzieła tego dokonali legioniści polscy przy pomocy wojska austriackiego i ludności cywilnej. W ciągu 5 dni 500 ludzi zbudowało drogę, którą później nazwano Przełęczą Legionów. Ciągnie się ta przełęcz 7 km wzdłuż potoku Rafajłowca aż do Rafajłowej.

Jak doszło do postawienia Krzyża Legionów? Jak podaje Cz. Skonka, pod wpływem ogólnego nastroju, który opanował żołnierzy, postanowiono zbudować krzyż. Na krzyżu tym legionista Adam Szania wyrzył bagnetem prosty czterowiersz: „Młodzieży polska patrz na ten krzyż, Legiony polskie dźwignęły go wzwyż, Przechodząc góry, doliny i wały, Dla Ciebie Polsko i dla Twej Chwały”. Należy domniemywać, że krzyż zbudowano z drewna, które było wówczas pod ręką.

W czasie naszej wycieczki spożyliśmy pod Krzyżem posiłek. Pamiętam, że krzyż był wówczas wykonany z metalowych rur, otoczony na podmurówce wykonanej z

kamienia w kształcie stożka ściętego, mógł mieć około 180 cm wysokości, a dwuwiersz wyrzyty był na tablicy wbetonowanej w stożek. Odrestaurowanie Krzyża mogło mieć zatem miejsce już za czasów II Rzeczypospolitej. Wróciliśmy Przełęczą Legionów aż do wieczora wzdłuż potoku Rafajłowca aż do Rafajłowej, a podróż do obozu odbyliśmy kolejką siedząc okrakiem na dłużycach.

Na kanwie tej mojej opowieści przytoczę epizod jaki miał miejsce w grudniu 1944 roku. Mianowicie w czasie okupacji byłem przymusowo wywieziony na roboty rolne do gospodarstwa rolnego Anny Kranz we wsi Będkowo (dawn. Bentkau) w powiecie Trzebnica, oddalonej od tego miasta o półtora kilometra, a położonej na trasie Poznań-Leszno-Wrocław. Pewnej niedzieli wracałem z Trzebnicy do wsi brnąć w śniegu. Poprzedzał mnie mężczyzna, jak się okazało również Polak, idący, właściwie brnący, odwiedzić swoich we wsi Hochkirch (obecnie Wysoki Kościół). Wdałem się z nim w rozmowę i okazało się, że góra z górą się nie zetknie, ale ... człowiek z człowiekiem. On mi mówi, że jest ze stanisławowskiego, ja mu na to, że w 1938 roku byłem na obozie w Nadwórnej. A on: toć ja od Nadwórnej. Ale chłopaku, ten obóz był koło Zielonej. Toć ja od Zielonej, odpowiada. Ja mu na to dokładnie określiam, że obóz był przy potoku Chrepełówka przy Chrepełowie. A on klepie mnie po plecach i mówi: człowieku, toć ja z samego Chrepełowa. Wspominałem mu, że rano przychodził ogień roznicać i pilnował go w kuchni cały dzień Wasylek, który mógł mieć około 14 lat. Okazało się, że mój koleś z Chrepełowa znał dobrze Wasylka, którego ruskie żołdaki „ubili”. Tak doszliśmy do Będkowa, on poszedł dalej do Hochkirch. W takich to okolicznościach spotkałem człowieka, który pochodził ze stron, w których spędziłem w 1938 roku kilkanaście dni. Góra z górą się nie zetknie, ale człowiek z człowiekiem tak. I jak tu nie wierzyć w te słowa. □

najmniej od 1768 r. W roku 1829, po zgonie Tomasza Dąbskiego, członka Stanów Galicyjskich, majątek przeszedł na wdowę po nim, Teklę z Peretiatkowiczów i jej syna Kazimierza (zm. w 1850 r.). W roku 1854 Tekla Dąbska wystawiła w Sienkowie, obok cerkwi, rzymskokatolicką murowaną kaplicę. W 1867 r., na trzy lata przed zgonem, zapisała sienkowskie dobra swemu dalekiemu powinowatemu Tadeuszowi Wasilewskiemu jr., działaczowi niepodległościowemu w okresie powstania styczniowego (znany później literat Stanisław Wasylewski był jego cioteczynym wnukiem). Kiedy Tekla Dąbska zmarła pochowano ją w krypcie grobowej nad kaplicą, a później chowano również członków rodziny Wasilewskich (m.in. spoczywa tam Felicja z Wasilewskich Boberska, znana we Lwowie wychowawczyni dziewcząt i literatka).

Druga wojna światowa zakłóciła spokój spoczywającym w kaplicy; w roku 1944 komuś w sowieckich oddziałach walczących w okolicy Sienkowa przyszedł do głowy obłądny pomysł użycia znajdujących się w krypcie trumien do pochówku poległych żołnierzy; trumny rozsypały się, a prochy zmarłych sprofanowano i później przysypano gruzem. Po wojnie na polecenie zarządu miejscowego kołchozu z kaplicy usunięto wyposażenie i używano jej do różnych celów gospodarczych; niereмонтowana – niszczała. Szczególnie dużemu zniszczeniu uległ prowadzący do krypty przedsionek: w jego murach były szerokie szczeliny pęknięć.

Wydawało się, że w obecnej sytuacji gospodarczej Republiki Ukrainy i przy znanym stosunku tamtejszych władz do polskich zabytków, kaplica sienkowska skazana jest na zagładę, tym bardziej, że w najbliższej okolicy mieszkają tylko pojedyncze osoby wyznania rzymskokatolickiego. Ale oto w styczniu 1998 r. niespodziewanie otrzymałem z Sienkowa list od p. Galiny Kostiuks, dyrektorki tamtejszej Szkoły Podstawowej, w którym m.in. napisała: „Przypadkowo trafił do mnie Pański artykuł „Śladami Wasylewskiego”*. To dla nas bardzo interesujący materiał, obecnie bowiem przygotowujemy się do obchodów pięćsetlecia naszej wsi (...) Zamierzamy urządzić w szkole Izbę Pamięci i liczymy na Pana pomoc. U nas prawie nikt nie wie, że w krypcie pod kaplicą pochowani są ludzie o historycznych nazwiskach. Uważam, że skoro oni żyli, działali i zmarli na tej ziemi, stanowią część naszej wspólnej historii i powinni o nich wiedzieć przyszłe pokolenia.”.

W następnym liście Pani Kostiuks informowała, że jej starania spowodowały, iż „Rada gromadzka postanowiła wspólnym wysiłkiem choć trochę odremontować kaplicę, bo na całkowite jej odnowienie brak środków”. Wśród mieszkańców wsi przeprowadzono zbiórki pieniędzy na ten cel i wielu z nich pomagało w pracach remontowych. Znaczący, choć cichy udział w tym dziele miała p. Anna Gonczarek, o której pisałem we wspomnianym artykule.

Kiedy 18 lipca 1999 r. odbywały się uroczystości pięćsetlecia Sienkowa (byłem na nie zaproszony, ale nie mogłem pojechać), kaplica była już z zewnątrz odno-

wiona i zwieńczona nowym łacińskim krzyżem. Prezentuje się znakomicie! Szkoda jednak, że z braku środków odstąpiono od odbudowy prowadzącego do krypty przedsionka i że zamurowano prześwity w tzw. latarni. Na razie przeznaczenie kaplicy nie zostało ustalone.

W miejscowej szkole urządzono Izbę Pamięci, w której znalazły się m.in. reprodukcje z publikacji dokumentujących dzieje dawnych polskich mieszkańców Sienkowa i ich udział w walkach o niepodległość Polski.

Inną zachowaną rzymskokatolicką budowlą sakralną w powiecie radziechowskim jest drewniana kaplica, wystawiona w latach 1923-1928 w Batyjiowie koło Łopatyna. Kiedy w roku 1413 erygowano w Łopatynie parafię, ksiądz mazowiecko-bełski Siemowit IV uposażył ją właśnie dobrami batyjiowskimi (jeszcze w okresie międzywojennym nieznaczna część tych dóbr należała do parafii).

Kaplicę wystawił łopatynski proboszcz ks. Bernard Szafrzyński; na jej budowę zużyto około 80 metrów sześciennych drzewa ze 120 sosen wyrąbanych w gminnym lesie, a przetarto je (porznięto) w tartaku, należącym do właściciela łopatynskich dóbr Henryka Suchestowa. W zachowanej kronice parafialnej znaleźć można taki oto zapis: „Właściciel tartaku, choć sam Żyd, kazał materiał ten przetrzeć bezpłatnie”. Cieśli i jego pomocnikom zapłacono 700 zł, a blacha na pokrycie dachu kosztowała 400 zł. W roku 1928 ks. Szafrzyński kaplicę poświęcił i do czasu wysiedlenia służyła okolicznym Polakom.



Fot. T. Kukiz

Dawna rzymskokatolicka kaplica z Batyjiowa na cmentarzu w Haranówce (stan w 1994 r.)

Po wojnie miejscowi Ukraińcy-grekokatolicy, pragnąc uchronić kaplicę przed zniszczeniem, rozebrali ją i ponownie postawili na starym cmentarzu koło przysiółka Haranówka, kilka kilometrów od Batyjiowa. Zachowano pierwotny kształt budowli, prawdopodobnie jednak zmieniono hełm sygnaturki nadając mu typową dla cerkwi cebulastą formę, a wewnątrz ustawiono ikonostas. Kaplicę nadal wieńczy krzyż łaciński. Usytuowana w miejscu zacisznym, wśród cmentarnych drzew, skłania do refleksji i zadumy.

Habent sua fata... Capellae

* „Spotkania z Zabytkami” 1996, nr 10

KRESOWE KOŚCIOŁY

Tadeusz Kukiz

Ocalone kaplice

Przed paroma laty na tych łamach (SF 1996, nr 6) w artykule „Sienków – śladami Stanisława Wasylewskie-

go” (koło Radziechowa) pisałem m.in. o znajdującej się tam kaplicy Dąbskich; Sienków należał do nich co



Fot. T. Kukiz

Sienków. Rzymskokatolicka kaplica Dąbskich-Wasilewskich (stan w 1994 r.)



Fot. G. Kostiuks

Sienków. Rzymskokatolicka kaplica Dąbskich-Wasilewskich po odnowieniu (stan w 1999 r.)

Okruchy historii parafii, kościoła i cmentarza w Siemianówce koło Lwowa

„In principio erat Verbum”

Parafia rzymsko-katolicka pod wezwaniem św. Marcina została założona w 1460 r. dla śląskich osadników, osiedlonych w latach 1382-1397 w wyludnionej przez najazdy tatarskie wsi świętego Siemiona, porośniętej lasem. Osadnicy przeorganizowali ją w system łańców leśnych i w 1480 r. wybudowali pierwszy drewniany kościół pod tym samym wezwaniem. W XVI wieku, w czasie kolejnych najazdów tatarskich i wołoskich, wieś mocno ucierpiała i wówczas król polski, będący jej właścicielem, funduje drugi kościół drewniany (1556 r.), wybudowany u rozstajnych dróg, który po połączeniu Siemianówki z parafią w Szczercu w 1592 r., staje się kościołem filialnym. 15 marca 1618 r. Zygmunt III Waza przekazuje ją sufraganom lwowskim z zapewnieniem stałej opieki duszpasterskiej przez księży wikariuszy wieczystych, zwanych komendariuszami. Proboszczem połączonych parafii został 27 maja 1618 r. sufragan lwowski ks. Tomasz Pirawski, dr teologii, sekretarz arcybiskupa Solikowskiego i króla polskiego.

Obecny kościół fundacji Teresy z Tarłów ze Szczekarzewic Potockiej konsekrował 11 października 1722 roku sufragan lwowski ks. biskup Jan Feliks Szaniawski. W 1782 r. jako proboszcza wznowionej parafii w Siemianówce odnotowano ks. Skarżyńskiego.

Proboszcz parafii ks. Aleksander Hofman był dobrym administratorem, pozostawił inwentarz kościoła i probostwa sporządzony w języku niemieckim, dowód praktyki germanizacyjnej zaborczej Austrii. Kolejnymi proboszczami w drugiej połowie XIX wieku byli: ks. Leopold Iżycki, ks. dr Kazimierz Loga – uczestnicy powstania styczniowego. Ks. Loga był jednocześnie przewodniczącym Miejskiej Rady Szkolnej, radnym Powiatowej Rady we Lwowie, ofiarnym obrońcą ludu polskiego i ukraińskiego przed samowolą państwowej administracji austriackiej. W latach 1911-1918 parafię obsługiwali: ks. Eustachy Jełowicki, ks. Jan Biliński, ks. dr Mieczysław Tarnawski – prof. Uniwersytetu Lwowskiego (zmarł 21 stycznia 1928 r. pochowany na cmentarzu Janowskim we Lwowie).

Po odzyskaniu niepodległości pierwszym proboszczem był ks. Henryk Zawada, a gdy został dziekanem w Szczercu, parafią administrował ks. Władysław Potrzebnicki. W latach 1932-1944 proboszczem był ks. kanonik Jan Bałys, absolwent gimnazjum w Wadowicach, organizator tajnego nauczania w czasie okupacji i systematycznej aprowizacji Wyższego Seminarium Duchownego we Lwowie (zmarł po wojnie w Pasierbcu koło Limanowej).

W tym czasie mieszkał w Siemianówce i pracował w kościele ks. Wojciech Ślęzak, emerytowany kapelan Wojska Polskiego; nie wyjechał po zamknięciu kościoła w 1946 r., pozostał z tymi co trwali na ojcowiznie, organizując dla nich kaplicę na „Sędziówce”.

Wśród miejscowych parafian znalazł schronienie uciekinier ze Śląska w 1939 roku, syn Ziemi Rybnickiej ks. Franciszek Adamczak, zasłużony katecheta i nauczyciel tajnego nauczania. Zmarł po wojnie na Śląsku w Tarnowcu Starym koło Tarnowskich Gór.

Ks. Adam Habrat został administratorem parafii latem 1944 r., gdy miejscowy proboszcz ks. Jan Bałys zmuszony był opuścić swoją placówkę, ścigany przez Gestapo za działalność konspiracyjną i pomoc udzielaną Żydom. Księża Adam Habrat i Wojciech Ślęzak byli wśród zakładników w czasie akcji SS-Galizien, zatrzymani na „Sędziówce”. Byli oni obecni również przy zamknięciu kościoła przez Sowie- tów w maju 1946 roku. Część urządzeń kościoła, jak szaty, naczynia i sprzęt liturgiczny oraz obraz Matki Boskiej – fundacji Józefa Balickiego – została przewieziona na Dolny Śląsk do Doboszowic, gdzie ks. Adam Habrat przekazał ją ks. Antoniemu Kamińskiemu, o czym informował z Przemkowa Kurę w Lubaczowie.

W okresie wojującego ateizmu kościół i cmentarz w Siemianówce profanowano i dewastowano, a po zrujnowaniu i opuszczeniu przez użytkowników, przekazano formalnie 28 czerwca 1989 roku miejscowym Polakom, którzy umiłow- ną świątynię odbudowali, wyposażyli w konieczny sprzęt, szaty i naczynia liturgiczne przy pomocy rodaków rozproszonych od Przemyśla po Szczecin, a także niektórych Ukraińców oraz dzięki życzliwości miejscowych władz. Zabytkową świątynię, ozdobę całej okolicy, przekazał w opiekę Bogu Ojcu Wszechmogącemu po dokonanej rekonsolidacji 20 lipca 1991 roku ksiądz biskup Władysław Kiernicki (o. Rafał), sufragan lwowski. Na prośbę zainteresowanych do posługi wiernych przybyli: o. Lucjan Szymański, franciszkanin z piastowskiego Wrocławia i o. Władysław Ząbkowski, dominikanin z Krakowa.

Bractwo różańcowe założone w 1741 r. było bardzo ży- wotne, należeli do niego niektórzy mieszkańcy obrządku grecko-katolickiego, bo śpiew różańca między prymarią a sumą brzmiał melodią bizantyjską, która jednoczyła ludzi w wielką rodzinę chrześcijańską. Tak kształtowana praktyka wyprzedziła o kilka pokoleń idee rozwijającego się obecnie ekumenizmu.

Chór organizował i prowadził od 1934 roku organista Jan Bieda, swoją pracą dźwigał ludzkie serca i umysły do Stwórcy, utwierdzał w wierze, kulturze osobistej, w czym pomagali grą na organach Stanisław Bednarski i Antoni Wójcik.

Cmentarz – to miejsce szczególne, tu każdy szanujący swą godność chyli czoło, swą postawą zapewnia porządek i spokój. Cmentarz siemianowski położony przy kościele jest bardzo stary, grzebano tu ludzi wszystkich obrządków. Gdy wybudowano cerkiew pod wezwaniem św. Michała na dru- gim końcu wsi z materiału rozebranego kościoła drewniane- go, wówczas nieliczni wierni wschodniego obrządku poczęli grzebać swych zmarłych na własnym cmentarzu, a byli i tacy co trzymali się starego miejsca.

Każda rodzina-ród ma na nim swoich przodków zna- nych z imienia od 1711 roku. Na tym cmentarzu w drugiej połowie XVIII wieku spoczęło 11 konfederatów barskich, tu złożono ks. Franciszka Bartościeka, czterech powstańców styczniowych, ks. Leopolda Iżyckiego, ks. dr. Kazimierza Logę, Czarkowskiego i Mendychowskiego. Zapisła się na nim rodzina Karola Szajnochy, którego ojciec był sędzią-ju-

stycjariuszem na „Sędziówce”, a Wacław Szajnocha, brat lub może sam ojciec, złożył na nim swoje kości. W roku 1910 spoczął tam Tadeusz Kijankowski, kierownik miejsco- wej szkoły, a na drugim cmentarzu wyznaczył dla siebie miejsce w 1928 roku fundator tego cmentarza i nowej wieży kościelnej Kazimierz Sulatycki (strąconej w 1986 przy po- mocy lin i traktora; krzyż z tej wieży ustawiono na środku cmentarza w sąsiedztwie kaplicy).

W czasie pierwszej wojny światowej pochowano na pierwszym cmentarzu wyznawców Mahometa z Bośni, jeń- ców austriackich oraz ofiary walki w Głębokiej Dolinie – żołnierzy rosyjskich i austriackich. W czerwcu 1941 roku drugi cmentarz przysparzał żołnierzom Armii Czerwonej, za- strzelonych przez NKWD, a w 1942 r. ciała Żydów, zabi- tych w czasie ucieczki z transportu.

Rok 1944 to czas kainowych zbrodni; złożono wówczas naszych braci: Piotra i Pawła Majewskich z Chrusna, Stani-

slawa Derenia s. Franciszka, Ludwika Pleczystego z Łanów, Bronisława Humeniuka z Ostrowa, Jana Dereniowskiego z Miłoszowic oraz ofiary akcji SS-Galizien: Agnieszkę o nie- znanym nazwisku, Stefana Bilskiego z Derżowa, Franciszka i Stanisława Dereniów, Jana Dukiewicza, Anielę Dziedzic, Stanisława i Szczepana Dżugajów, Marię Fedyniak, An- drzeja, Józefa i Zbigniewa Horaków oraz Bronisława i Jana Kubajewskich z Łanów, Wiktorię Lisik, Władysława Mazu- ra ze Szczerca, Annę Mendychowską, Józefa Merskiego, Józefa Migę z Łanów, Joannę Pfeifer z dziećmi – Bronisła- wem i Zofią, Marię Tuła, Władysława Szachnowskiego, Michała Wojciechowskiego, Kazimierza Zychowicza.

Wierny Kościołowi i wyznawcom Chrystusa ks. Woj- ciech Ślęzak złożył utrudzone ciało u wrót pierwszego cmentarza, a duch Jego pyta każdego, co uczyniłeś, by to miejsce było otoczone opieką i uszanowaniem całego środo- wiska społecznego Siemianówki i obecnej Semenivki.

O. Piotr Wiśniewski CSsR

23 grudnia 1999 rok

X-lecie odzyskania kościoła św. Bartłomieja w Drohobyczu

Dnia 23 grudnia 1999 roku przypadła dziesiąta roczni- ca odzyskania i ponownego poświęcenia kościoła rzymsko- katolickiego św. Bartłomieja w Drohobyczu. Jest to świątynia, którą ufundował Władysław Jagiełło. Jej budowę rozpo- częto w 1392 roku. Potężny, trzynawowy budynek kościoła, z prezbiterium w przedłużeniu nawy środkowej, służył jed- nocześnie jako forteca do obrony mieszczan przed najeźdź- cami. Przez kolejne wieki kościół przechodził różnorodne wydarzenia. Wielokrotnie w czasie najazdów Tatarów i Tur- ków niszczone, następnie był odbudowywany, aby służyć wspólnocie rzymskokatolickiej. W okresie rozbiorów Polski Drohobycz, a wraz z nim i kościół św. Bartłomieja, znajdo- wał się pod rządami autriackimi. Jest to czas przebudowy i odnowienia świątyni, która została odrestaurowana ostatecz- nie już w okresie II Rzeczypospolitej. Również czas wojen- ny nie naruszył w sposób szczególny piękna i bogactwa tej- że świątyni.

Tragedia rozpoczęła się w 1946 roku kiedy ks. pro- boszcz Stanisław Banaś i ks. Leon Telesz zostali zmuszeni pod naciskiem władz Drohobycza do opuszczenia miasta i wyjazdu do Polski. Klucze od kościoła zostały przekazane Radzie Kościelnej. W niedzielę i święta do kościoła do- jeżdżał ksiądz z oddalonego około 30 kilometrów Stryja. Taka sytuacja trwała do 29 czerwca 1949 roku. W tym dniu przedstawiciele władz miejskich, milicja i KGB wtargnęli do kościoła i zakazali jakiegokolwiek kultu. Zabrali klucze i powoli, pod osłoną nocy, zaczęli wywozić najcenniejsze przedmioty liturgiczne, obrazy, figury, żyrandole i wiele in- nych rzeczy. Książki, które znajdowały się w bibliotece na piętrze, nad prawą nawą kościoła, służyły do podpalania w piecykach ogrzewających pomieszczenia Urzędu Ochrony Zdrowia, mieszczącego się w zakrystii. Jako materiał do palenia używano ławki kościelne, konfesjonały i częściowo ołtarze. Zostały również sprzedane organy do konserwato- rium w stolicy Gruzji Tbilisi. Kościół służył jako magazyn drohobyckiego teatru, później jako skład papieru dla drukar- ni oraz magazyn dla przyrządów z placu zabaw dla dzieci, także jako skład i sklep mebli. Na koniec Rada Wojewódzka

zdecydowała, że w kościele powstanie „Muzeum historii religii i ateizmu”.

W czasie kiedy kościół był zamknięty życie religijne zostało przeniesione do prywatnych domów. Było wiele osób, które użyczyły swoje mieszkania na nielegalne nabo- żeństwa, modlitwy, naukę religii i języka polskiego. Ryzy- kowały nie tylko osoby świeckie, ale również i księża, któ- rym władza zabroniła wyjeżdżać do innych miejscowości. Jeden z nich, ks. Bernard Mickiewicz ze Stryja, za działal- ność religijną musiał spędzić trzy i pół roku w więzieniu w Drohobyczu.

Czterdzieści lat czekali wierni kościoła św. Bartłomieja na chwilę, w której mogli ponownie wejść do swojej świątyni, aby uczestniczyć w nabożeństwie. Ten czas oczekiwania to okres wielu udręczeń, niepokoju, lęku i strachu. Zanim jednak mogli na nowo wejść do swojej świątyni musieli sto- czyć walkę o kościół, która trwała szczególnie w latach 1988-1989. Ta walka rozpoczęła się od zarejestrowania wspólnoty wyznaniowej. Odpowiednie dokumenty podpisa- ne przez grupę najbardziej odważnych wiernych, zostały 9 marca 1988 roku złożone w sekretariacie Rady Miejskiej Drohobycza przez Marię Stańczyszyn i jej córkę Agniesz-



kę Fornalik, natomiast do Urzędu do Spraw Religii przy Radzie Ministrów w Moskwie odpowiednie dokumenty zawiadła **Halina Bulkiewicz i Wilhelm Lasowy**.

Złożenie dokumentów jeszcze nie rozwiązywało sprawy do końca. Przez prawie cały rok trwały nieustanne rozmowy i interwencje w Moskwie, Kijowie, Lwowie, Drohobyczu pomiędzy odpowiednimi urzędami a tymi, którzy walczyli o zwrot kościoła i zarejestrowanie rzymskokatolickiej wspólnoty wyznaniowej. Były to trudne rozmowy, które w czasach niepewności i trwającego jeszcze komunizmu mogły – tak myśleli ci, którzy brali udział w odzyskaniu świątyni – zakończyć się uwięzieniem lub też zesłaniem na Sybir. W tych bardzo trudnych rozmowach brali udział m.in.: **Czesław Bulkiewicz, Halina Bulkiewicz, Zofia Tomaszewska, Michał Zleśny, Michał Mitek, P. Derdziak**. Opiekę duchową i różnego rodzaju porad udzielali obecni na tamtym terenie księża: **ks. Kazimierz Mączyński, proboszcz z Sambora, ks. Ludwik Kamilewski z Katedry we Lwowie, ks. Józef Legowicz z Mościsk**.

Po długotrwałych rozmowach, po dziesiątkach listów wysyłanych do różnych instytucji państwowych, nadszedł wreszcie dzień, w którym została zarejestrowana wspólnota rzymskokatolicka w Drohobyczu, dla której Rada Miejska Drohobycza miała wyznaczyć miejsce do modlitwy.

Od samego początku wspólnota rzymskokatolicka Drohobycza, którą w rozmowach z władzami państwowymi i miejskimi reprezentował **Czesław Bulkiewicz**, żądała zwrotu kościoła św. Bartłomieja. Władze miejskie Drohobycza początkowo proponowały inne miejsce nieadekwatne do istniejących potrzeb lub takie miejsca, do których trzeba byłoby dojeżdżać ok. 8 km (np. kościół w Rychcicach). Ciągłe rozmowy i nieustanne interwencje przez pewien czas nie dawały żadnego rezultatu. Rada Miejska w Drohobyczu była nieustępliwa. Nie chciała oddać gotyckiego kościoła, w którym 28 maja 1979 roku nastąpiło uroczyste otwarcie muzeum religii i ateizmu.

Ponownie przewodniczący wspólnoty rzymskokatolickiej **Cz. Bulkiewicz** zaczyna pisać listy do różnych instytucji z prośbą o pomoc w odzyskaniu świątyni. Pisz przy pomocy **ks. K. Mączyńskiego** również list do **Ojca Świętego Jana Pawła II**, który z początkiem **grudnia 1989 roku** miał mieć spotkanie z **M. Gorbaczowem**, do którego przesłano również kopię tegoż listu. Nastąpiły kolejne tygodnie i miesiące interwencji w urzędach. Odpowiedź tych władz była ciągle taka sama, że nie zgadzają się na przeniesienie istniejącego już muzeum w inne miejsce. Sytuacja wyglądała na beznadziejną. Upór władz trwał aż do **6 grudnia 1989 roku**. W tym dniu Rada Miejska Drohobycza zaprosiła reprezentantów wspólnoty rzymskokatolickiej na rozmowę, w czasie której niespodziewanie zostali Oni poinformowani o zwrocie kościoła św. Bartłomieja. **14 grudnia 1989 roku** została podpisana umowa o oddaniu kościoła przez Radę Miejską

wspólnocie rzymskokatolickiej z Drohobycza. Nastąpiły przygotowania do ponownego poświęcenia kościoła. Było widoczne bardzo wielkie zaangażowanie wielu ludzi. Sprzątano i dekorowano kościół, przygotowywano prowizoryczny ołtarz, aby **23 grudnia 1989** w obecności **ks. bp. Stefana Moskwy** z Przemyśla uroczystie konsekrować odzyskaną świątynię, w której pierwszym proboszczem został **ks. Kazimierz Mączyński**.

Od dnia poświęcenia kościoła św. Bartłomieja rozpoczęła się legalna praca duszpasterska wśród katolików Drohobycza. Od **24 sierpnia 1990 roku** proboszczem został **ks. S. Misiak**, który po kilku miesiącach, tj. w grudniu 1990 roku, przekazał opiekę duszpasterską Redemptorystom. W przeciągu 9 lat pracy Redemptorystów w Drohobyczu byli następujący proboszczowie: **O. Krzysztof Szczygło, O. Ryszard Kowalczyk, O. Zbigniew Pieńkos, O. Piotr Wiśniewski**. Współpracowali z nimi **O. Władysław Bodziony, O. Kazimierz Piotrowski, O. Tomasz Mular, O. Ryszard Niziolek, O. Jerzy Nowicki, Br. Marek**.

W okresie dziesięciu lat ukształtowała się wspólnota ludzi, która czuje się odpowiedzialna za kościół. Przejawia się ta odpowiedzialność w uczestnictwie w liturgii Mszy św. i innych sakramentach, angażowaniu się w prace remontowe przy kościele, posyłaniu dzieci i młodzieży na katechizację, organizowaniu wypoczynku dla dzieci, dbanie o biednych i chorych na terenie parafii. Wśród tych, którzy uczestniczą w nabożeństwach w kościele św. Bartłomieja w Drohobyczu są zarówno Polacy jak i Ukraińcy, i Rosjanie. Tworzą jedną wspólnotę, która jest bogata swoją różnorodnością, chociaż wielu ludzi nazywa kościół św. Bartłomieja „kościółem polskim”.

Do parafii św. Bartłomieja w Drohobyczu, którą obsługują Redemptoryści, dochodziły stopniowo parafie w Truskawcu, Borysławiu, Wołoszczy i Słońsku. Również w tych kościołach potrzeba było włożyć wiele wysiłku, aby uzyskać pozwolenie na założenie wspólnot, następnie na remont lub zbudowanie od nowa świątyni, które służą obecnie do kultu Bożego.

Praca przy kształtowaniu wspólnot ludzi wierzących w Boga w Trójcy Jedynej, nieustanne remonty kościołów, praca misyjna w parafiach dekanatu oraz w Archidiecezji Lwowskiej jest tym czym pragną dzielić się Redemptoryści Polscy ze wspólnotą katolików na Ukrainie. Warto dodać, że ten apostolat jest kontynuacją dzieła rozpoczętego w 1883 r. w Mościskach (Ukraina) przez Sługę Bożego **O. Bernarda Łubieńskiego**.

23 grudnia 1999 roku o godzinie 12.00 została odprawiona uroczysta Eucharystia w kościele św. Bartłomieja w Drohobyczu jako **dziękczynienie Bogu za dar ponownego istnienia parafii**. Zapraszamy również wszystkich tych, którym jest bliski kościół w Drohobyczu do włączenia się w sposób duchowy do tej modlitwy dziękczynnej. □

jakoś wyłgać argumentami o nieznamości niemieckiego, kiepskim tłumaczeniem tekstu itp. Zostaje więc zwolniony (w początkowym okresie okupacji to się jeszcze zdarzało) i wkrótce potem znowu pojawia się na scenie ze swymi świnkami. Ponownie zaczyna je liczyć: – eins, zwei, drei ... a ciebie cholerna świnię już nie nazwę, bom przez ciebie w kryminale siedział!

I drugi, również teatrykowy numer:

Widownia była już podzielona na dwie części: jedna dla Niemców, druga dla Polaków (jeszcze wówczas okupantom to nie przeszkadzało). Na scenę wchodzi aktor, który rozpoczyna swój występ monologiem w mieszaninie językowej polsko-niemieckiej, gdy nagle na scenie pojawia się pies, paskudny, wielorasowy kundel.

Zdziwiony aktor zwraca się do Niemców: – sehr geehrten Dammen und Herren, ist das Ihr Hund? – Aber nein, wieso! – padają okrzyki protestu. Aktor zwraca się więc do polskiej części widowni: – czy to Państwa pies? Podobne okrzyki protestu (kundel był ponoć rzeczywiście paskudny). Na to aktor uchwyciwszy psa za obroź, udaje, że wywala go kopniakiem za kulisy, dodając równocześnie komentarz: – no to wynoś się stąd parszywy Volksdeutschu! Gromki śmiech obu części widowni świadczył, że dowcip „chwyci!” i znalazł uznanie także u Niemców!

Z tym nowym narodem Volksdeutschami, podgatunkiem jakby, usytuowanym tak w drabinie hierarchicznej przez Reichsdeutschów (Niemców urodzonych i żyjących w III Rzeszy) to była dziwna historia. Przez Polaków, a szczególnie warszawiaków byli skrajnie znienawidzeni, a bardzo spektakularnym przypadkiem takich uczuć, było wykonanie wyroku śmierci na aktorze przedwojennych polskich teatrów, Igo Symie, który tak Bogiem, a prawdą zginął raczej za zdradę narodową niż za jakąś konkretną, poważną zbrodnię przeciwko narodowi polskiemu. O ile cięższe zbrodnie uchodzą dziś w naszym kraju płazem!

We Lwowie podzielano te uczucia, lecz nigdy nie doszło do tak skrajnej nienawiści. Niemcy byli traktowani jak najeźdźcy, otwarci wrogowie, których należy „przeczekać”, natomiast Volksdeutsche byli zdrajcami, którzy opuścili tonący okręt jak szczury. Takimi bardziej się pogardało w naszym Mieście niż nienawdziło. Dziwne, że większość prawdziwych, przybyłych z Reichu, Niemców podzielało te uczucia! Służę dość typowym przykładem. Rozmawiam w biurze z Niemcem, szefem.

– Właściwie czemu ty nie jesteś Volksdeutchem? – spytał.

– Bo ja nie jestem świnią dla kawałka kiełbasy i białego chleba – odpowiedziałem odruchowo.

– Ty jesteś bezczelny! – stwierdził spokojnie mój rozmówca. – Nie, ja jestem tylko szczery – odpowiedziałem. Obecni przy tej rozmowie Polacy orzekli potem, że miałem dużo szczęścia, nie „zarobiwszy” po gębie. Ta zagadka wyjaśniła się w jakiś czas potem. W biurze zjawia się dość pospolita kobieta o wizualnych cechach lumpenproletariuszki. Rozmawia z tymże samym Niemcem, z pomocą tłumacza usiłuje wyjaśnić, że jest Niemką. Rzeczywiście, ma jakąś daleką (chyba końcową) kategorię Volkslisty.

– Ty nie jesteś żadną Niemką, tylko zasraną świnią dla kawałka kiełbasy i białego chleba – stwierdza zimno Niemiec. A więc nie tylko nie zapomniał mojej szczeciackiej uwagi (miałem wówczas 15 lat), ale „kupił” ją, jako swój pogląd i jeszcze go wzbogacił!! Takie rozróżnienia trafiały jak widać i do nich, i chyba woleli – jak każdy – otwartych przeciwników od fałszywych przyjaciół, których niejedno-

krotnie oceniali krótkim słowem: „Koniunkturschweine”! Ten „gatunek” niebywale rozplenił się w Polsce dopiero po wojnie, znajdując dla siebie jakże odpowiednią glebę i klimat!

Problem Volksdeutschów, tak charakterystyczny dla Lwowa i innych miast rdzennej Polski, w żadnym wypadku nie odnosił się do Śląska czy Poznania uważanych przez okupantów za terytoria niemieckie, gdzie mieszkańców nie pytano o zgodę, tylko wpisywano na Volkslistę z przynależnym numerem i fertig! Odmowa prowadziła prosto do Oświęcimia lub podobnych miejsc „reedukacji narodowościowej”.

Zjawisko ostracyzmu, odrzucenia przez Lwowian tej wyobcowanej części mieszkańców Miasta nie miało nic z szowinizmu. To po prostu odruch obronny na nielojalność współmieszkańcy Lwowa, który zawsze, bez względu na dźwięk czy pisownię swego nazwiska, był traktowany jak rodak, nawet jeżeli deklarował się jako Niemiec. Gdy jednak nagle zmienił skórę okazując się farbowanym lisem, stawał się obcym lub gorzej: swoim, który zawiódł, nie sprawdził się, a nawet Judaszem, który się zaprzedał. Na pewno wyżej od nich ceniono autentyzm Niemców, którzy nierzadko zresztą okazywali się całkiem porządnymi ludźmi, dalekimi od zachwytów nad Führerem! Każdy, kto przeżył tamte czasy we Lwowie mógłby zacytować takie przypadki, a także przykłady zupełnie innego podejścia do problemu Volksdeutschów niż to, które dotąd opisałem. Jakże dziwny wydać się może dziś następujący obrazek:

Jest lato, chyba 1940 roku. W jednej z reprezentacyjnych willi na ulicy Liskego (boczna ulic: Gipsowej i Zadwórzeńskiej) urzęduje niemiecka misja łączenia rodzin. Niemcy – wówczas jeszcze sojusznicy Sowietów, wystali tu swych przedstawicieli (przeważnie oficerów) dla zarejestrowania Lwowian pochodzenia niemieckiego i wyrwania ich spod „sowieckoj władzy”. Willa stoi na spornym wzniesieniu, ale dość blisko ulicy. Z jej tarasu kilku niemieckich oficerów przygląda się tłumom Lwowian spacerujących po ulicy i czekających na ...? Nie wiem! A może tylko gapiom żądnym widzenia Europejczyków? Trudno powiedzieć. Niemcy na tarasie są niesłychanie eleganccy, jakże różni od obszarpanych czubaryków, którzy w dodatku tak szcycili się swoimi „cyckami” na czapkach budienowkach³⁾. Tłum porządnie ubrany, zachowujący się o dziwo! – spokojnie i kulturalnie. Wyraźnie wyczuwa się, że każdy myśli o tym samym: jak udowodnić to niemieckie pochodzenie, by wreszcie uciec z „sowieckiego raju”? Dokonywano cudów pomysłowości i sporej liczbie się to udało. A więc ucieczka od „wyzwolicie-li” – do wrogów? Ano właśnie tak. Szanowny Czytelniku, jeżeli jesteś w wieku zbliżonym do mojego przypomnij sobie: było tak właśnie, jak to opisuję! Większość (lub wszyscy) uznawali diabła za mniejsze zło od Moskale! Tych, którym ta sztuka się udała – nie tylko nie potępiono, ale zazdrośczone im, choć formalnie rzecz biorąc, to też byli Volksdeutsche! Oni jednak (jak zresztą wszyscy) nie mogli już znieść tych najeźdźców ze wschodu i szukali przed nimi ucieczki bez szkody dla współbraci czy kogokolwiek! I nikt im wówczas nie zarzucał odszczepieństwa!

Lwów własnych dowcipów dorobił się wkrótce potem. Najpierw pojawiły się oczywiście przysłówki, lecz chyba równocześnie z nimi wierszyk o Volksdeutschu (pastisz wiersza W. Bełzy pt. „Katechizm polskiego dziecka” („Kto ty jesteś? Polak mały”), który przytaczam w tym miejscu dla zamknięcia tematu:

Stan Scheller

Lwowski śmiech czasów Apokalipsy

II. Okupacja niemiecka

Zmiana okupanta nie spowodowała automatycznej zmiany kierunku dowcipów, a więc szybkiego pojawienia się satyry antyniemieckiej. Lwowianie bawili się tylko okruciami humoru importowanego z Warszawy, a ten był naprawdę przedniej marki! A oto dwa przykłady:

Od samego początku okupacji powstawały w Warszawie teatryki rewiiowe z lekkim programem, w których występowali warszawscy aktorzy. W jednym z takich wariet⁴⁾ pojawił się aktor prowadzący na linkach cztery świnki. Zaczyna je głośno liczyć: – eins, zwei, drei, Führer⁵⁾. Wkrótce potem zostaje aresztowany przez Gestapo, ale udaje mu się

Kto ty jesteś?
Volksdeutsch mały.
Jaki znak twój?
Chlebuś biały.
Kto cię stworzył?
Zawierucha
Co cię czeka?
Gałąź sucha.
Jaki grób twój?
Ziemia równa.
Jaki pomnik?
Kupa g...⁴⁾

A przyspiewki? Oto one:
Pierwsza z nich, jaką usłyszałem, była śpiewana na melodii niemieckiej piosenki, która podbiła cały świat, stając się szlagierem zachodnich Aliantów, którzy tylko dopisali do niej swoje słowa. Tą piosenką była „Lili Marlen”.

Vor einer Kaserne, vor den grossen Tor,
Steht eine Laterne und steh ich davor!
(Przed koszarami, gdzie wielkiej bramy podwoje,
Stoi sobie latarnia, a ja pod nią stoję.)
A oto lwowska wersja Lili Marlen:
Francowaty furman, francowaty wóz,
Francowatych Szwabów do szpitala wiozł.

Ta dość głupawa, niezrozumiała dla postronnych, przyspiewka miała na pewno jakąś ukrytą treść, oddawała nastroj jakiegoś zdarzenia, które „wkurzyło” jej autora (musieli mu Niemcy dobrze nadebrać na odcisk!). Jestem tego pewien, bo właśnie taki początek miały one, te uliczne lwowskie przyspiewki, będące zwykłym opisem, czy komentarzem jakiegoś zdarzenia. Drugą zapamiętaną piosenką uliczną był również pastisz bardzo znanej i bardzo lubianej przez wszystkich (nie tylko Niemców) piosenki niosącej duży ładunek pogodnej, typowej dla Niemców melancholii. Jej refren brzmiał następująco:

Es geht alles vorüber, es geht alles vorbei,
Nach jedem Dezember, folgt wieder ein Mai.
(Wszystko przechodzi, wszystko przemija,
Po każdym grudniu, znowu jest maj.)
A oto lwowska przeróbka tej piosenki:
Es geht alles vorüber, es geht alles vorbei,
Im jedem Dezember, bekommt man ein Ei!
(Wszystko przechodzi, wszystko przemija,
A w każdym grudniu dostaje się jedno jajko!)
To była oczywista kpina z przydziałów na niemieckie kartki żywnościowe.

Kolejna piosenka lwowska powstała jako komentarz, czy ilustracja muzyczna do pewnego dość głośnego w owym czasie wydarzenia: pożaru fabryki butów, zlokalizowanej na jednym z lwowskich przedmieść. Mieszkańcy domyślali się sabotażu, bo po prostu zbyt wiele skradziono, by straty dały się ukryć, a więc pożar!

Natychmiast po tym wydarzeniu pojawiła się piosenka:
Moja ciocia ma buciki
Ze spalonej Schuhfabryki,⁵⁾
Niemcy noszą Bezugschein,⁶⁾
A Polacy buty fajne!
I jeszcze dwa zapamiętane wierszyki:
Chleba nie mają –
Ciastka jedzą.
Radia nie mają –
Wszystko wiedzą!
Broni nie mają –
Wojnę wygryają
Kto to tacy?⁷⁾
Polacy!

Tu pozwalam sobie zamieścić „ni w pięć ni w dziewięć” wierszyk z okupacji sowieckiej, który umknął mojej uwadze przy opisie „lwowskiego śmiechu” z czasów tegoż proletariackiego raj. Nie zdecydowałem się jednak by zostawić go tylko w moich papierzykach, gdzie na pewno uległby zapomnieniu, a szkoda. Nieźle bowiem oddaje błysk lwowskiego wisielczego humoru.

Wyzwoleni z pańskich futer,
z pańskich portek, pańskich butów
wraz z sowieckich ludzi kupą
już świecimy gołą d...
Były także zagadki. Oto próbka:
Nie robi tego ni ptak, ni zwierzyzna.
Na „o” się kończy, na „G” się zaczyna.
Gdy zobaczysz na drodze, omijaj z daleka i równo,
Choć to nie chleb z masłem, tylko ... co?
Źle się domyślasz, Drogi Czytelniku! Odpowiedź, rozwiązanie zagadki, brzmi: Gestapo!!

I jeszcze jedna, króciutka zagadka: która z wojujących stron, wyznających wiarę w różne ideologie, wygra wojnę:
rasa? (Niemcy)
masa? (Sowieci)
kasa? (Zachód, czyli USA + Anglia)

Lwowianie masowo optowali za trzecią alternatywą. Sprawdziła się, lecz – co nam z tego? Okupacja niemiecka nie była wdzięcznym okresem do uprawiania satyry, a na pewno dużo gorszym od okupacji bolszewickiej. Natężenia terroru i grozy były na pewno porównywalne, lecz nie było większych różnic kulturowych i cywilizacyjnych między Niemcami i Polakami, nie było więc punktu zaczepienia. Niemcy – mimo bestialstwa i popełnionych zbrodni byli jednak Europejczykami i nie dawali powodów do drwin i szyderstw. Byli groźni, ale nie śmieszni i żaden z dowcipów o czubarykach nie pasowałby do nich. Ponadto byli o tyle łatwiejsi do zniesienia od bolszewików na tej zasadzie, na jakiej większość ludzi łatwiej trawi cynika niż hipokrytę. Ich deklaracje były klarowne: są wrogami Polaków i schluss! To pozwalało pozbyć się złudzeń, bo oni nie kłamałi tak okropnie jak nasi „wyzwoliciele” ze wschodu. Ci osiągnęli w kłamstwie najwyższe szczyty mistrzostwa. To stało się ich prawdziwą naturą, do czego zostali wytrenowani od czasu rewolucji, mając zresztą ku temu wyraźne, genetyczne predyspozycje, co tak wnikliwie opisał już Astolphe de Custine w swej książce: „Rosja w roku 1839”. Dręcząc tak strasznie ludność państwa, z którym nie prowadzili wojny, a które uderzyli w plecy w momencie śmiertelnej walki z otwartym (!) najeźdźcą, głoszącymi hasłami o wyzwoleniu, szczęściu i dobrobycie („my wam przynieśli chleb i do chleba”, „my wam kulturę przynieśli” itd.) – wprowadzili chyba najgorszy element tortury: torturę szyderstwa, drwinę z cierpień swojej ofiary!

Myślę, że szyderstwo i kpina z silniejszego, zwycięskiego wroga jest ogólnie przyjętą i moralnie akceptowaną bronią zwyciężonych, natomiast radość i drwina z bólu leżącego, w dodatku powalonego ciosem w plecy, przeciwnika jest dowodem braku „poczucia moralnego”, co dyskwalifikuje takiego „zwycięzcę” zupełnie i bez reszty!

Tak więc w czasie niemieckiej okupacji Lwowa było mniej, znacząco mniej, dowcipów o nich, Niemcach, niż o czubarykach. Zapamiętałem tylko jeden, wart przytoczenia.

Urlopowany z frontu wschodniego oficer Werhmachtu postanawia się ostrzyć. W czasie strzyżenia fryzjer dostrzegł wesz we włosach, pokazuje ją więc oficerowi na grzebieniu: Herr Hauptmann – wesz! – To nie jest żadna wesz, to jest łupież zmotoryzowana⁸⁾ – odpowiada oficer.

Chyba tym dowcipem zamyka się bezpowrotnie rozdział, który można by nazwać: „humor polskiego Lwowa”. Rdzena ludność została wypędzona ze swojej Ojczyzny, a w kraju jej nowego osiedlenia – PRL-u, totalnie zakneblowana. Przez kilkadziesiąt lat usiłowano sprawę Lwowa i wypędzenia zamilczeć – na śmierć. O ile jednak ten wielopłaszczyznowy zabieg niewiele lub nic nie dał w sensie zatarcia pamięci o naszej Atlantydzie, a jeszcze mniej o zbiorowej, moralnej akceptacji tej zbrodni, o tyle humor i żart lwowski udało się zabić lub skutecznie okaleczyć i wykoławić. Do tego musiało dojść, a przyczyny są aż nazbyt jasne i zrozumiałe: Lwowian oderwano od podłoża i rozproszono po całym świecie, gdzie żyją w diasporze – od Przemysła do Sydney czy Permambuko. To polscy Lwowianie. A inni? Niemcy, Żydzi? Ukraińcy?

Okruczy humory żydowskiego pałętają mi się jeszcze gdzieś po (jeszcze drożnych) zakamarkach pamięci, także resztki (mniejsze!) humoru – zwykle sytuacyjnego – niemieckiego. Może uda mi się to zebrać w jakiejś nie dającej się określić przyszłości.

Przypisy:

1) Powinno być: „vier” czyli – cztery. Natomiast słowo: „Führer” oznaczało: „Wódz” i było zarezerwowane wyłącznie dla Hitlera.

Tadeusz Błażyński (Wetherby – Anglia)

Jerzy Stoszek (Warszawa)

Sąd Okręgowy II-giej Rzeczypospolitej w Czortkowie (c.d.)

Wspomnienie córki sędziego Franciszka Schäfernakera o ojcu



Franciszek Schäfernaker

Franciszek Schäfernaker urodził się w Stryju 22 stycznia 1887 r. Tamże się wychował i pobrał nauki. Tam skończył gimnazjum klasyczne (z łaciną i greką łącznie). Był uczniem bardzo zdolnym, wielokierunkowym, pracowitym, a nawet uznanym korepetytorem. Mając 18 lat wstąpił do Legionów. Z tego okresu pozostała mu na całe życie choroba ścianek nosowych, wskutek zatrucia gazem używanym przez Niemców w czasie I Wojny Światowej.

Po wojnie rozpoczął studia na Wydziale Prawa Uniwersytetu we Lwowie. „Niezawisłość sędziowska” była mu bliska i stąd wybrał swój zawód. Po skończonych studiach odbył praktykę aplikantką właśnie także w Stryju.

Pierwszą sędziowską posadę otrzymał w 1927 r. w Medenicach (miasteczko w pobliżu Drohobycza – bardzo stare). Już w roku 1929 przeniósł się do Sambora (woj. lwowski) gdzie pełnił funkcję sędziego grodzkiego. W roku 1934 jesienią objął stanowisko sędziego okręgowego w Czortkowie, które piastował aż do jesieni 1939 r. Tu prowadził wydział karny.

2) Szanowni państwo, czy to wasz pies? Ależ nie, skądże!

3) To były zimowe czapki z miękkiego materiału, które na czubku głowy miały uformowany z tegoż właśnie materiału – kilkucentymetrowy ok. 5-8 cm szpic. Te budienowki wzbudzały „zachwyty” Lwowian, którzy z miejsca rozszyfrowali ich funkcję: – „miejsce na mitingi dla wszy”, co było nietrafionym rozpoznaniem. Oni mieli wszystko („u nas w Sowietach Sojuszu wsio jest”), ale akurat wszy nie mieli, pozbywając się tej plagi dzięki już wspomnianym odwyszalnikom, które stanowiły dla nich powód do dumy i które wszędzie z sobą wozili.

4) Ten wiersz, niekompletny, zamieściłem w jednym z moich poprzednich atrykułów. Uprzejma pomoc pani W. Rutkowskiej-Rychter z Warszawy, która uzupełniła brakujące fragmenty (przysyłając mi równocześnie kilka innych), pozwala mi na zamieszczenie tego „wyznania wiary” w całości.

5) Schuhfabrik – fabryka butów.

6) Bezugsschein – kwit przydziałowy, odpowiednik „książeczki górniczej”, którą szczyciła się PRL jako swoim „wynalazkiem”.

7) zachowałem oryginalną pisownię.

8) We Lwowie łupież był rodzaju żeńskiego, a więc ta łupież.

Junaków w Bowbarze (Palestyna). Tam przebywał przez całą II Wojnę Światową i dopiero w latach 1946/47 przyjeżdża do Londynu, już poważnie chory na serce (skutki Rosji). Po wielu zawałach umiera w Londynie w szpitalu St. Mary's 2 listopada 1954 r. mając zaledwie 57 lat. Pochowany został na starym cmentarzu „Old Brompton” (Londyn).

Lubił i cenił pracę społeczną w tymże Czortkowie. Jako prezes TSL (Towarzystwo Szkoły Ludowej) założył gimnazjum kupieckie (handlowe), które istnieje po dziś dzień. Myślą przewodnią było wychowanie specjalistów-fachowców, którzy mogliby przejąć przemysł i handel w swoje, polskie ręce.

Był człowiekiem prawym, oddanym Bogu i Ojczyźnie, kochającym Rodzinę i szanującym każdego człowieka.

Córka – Zofia Ostoja-Ostaszewska
marzec 1999 r. w Londynie

Wspomnienie Jerzego – syna Mariana Stosza, sędziego Sądu Okręgowego – o Ojcu



Marian Stoszek

gdzie biegła linia demarkacyjna sowiecko-niemiecka z lokalnym mostem przez rzekę.

Staliśmy teraz zmęczeni, po nocnej jeździe, w wielotyśnym tłumie rodaków, którzy podobnie jak my mieli nadzieję przedostać się na zachód od Sanu, gdzie być może czekały na nich jeszcze domy lub mieszkania, porzucone w czasie wrześniowej tułaczki. Sytuacja wyglądała beznadziejnie. Do rzeki było około kilometra, tłum zajmował prawie całą szerokość drogi, a kolejka posuwała się w żółtym tempie. Zapowiadała się noc w błocie i deszczu, w letnich ubraniach, do tego, według pogłosek, granica miała być wkrótce zamknięta. W czasie kolejnego taplania w błocie zagadnął Ojca, na pozór nieznany, osobnik: – „Dzień dobry. Pan mnie skazał w Czortkowie, panie sędzio, ale nie mam do pana żalu – pomogę panu!”. Okazało się, że był to jedyny nasz ratunek, chociaż sytuacja była ryzykowna. W krótkim czasie znaleźliśmy się w innej kolejce, znacznie krótszej, składającej się z miejscowych chłopów na furmankach, którzy przemieszczali się w ramach lokalnego ruchu przygranicznego. Ulokowani na wozie (jednak bez Ojca) w krótkim czasie byliśmy na „moście przyjaźni niemiecko-sowieckiej”. Kontrolę dokumentów prowadził niejaki Schmidt, miejscowy Niemiec w ubraniu gestapowca, który zapytał mamę, po przejrzeniu jej dokumentów, „gdzie jest pani mąż?”. Gdy otrzymał odpowiedź – „nie wiem”, stwierdził: „On jest na pewno oficerem, my go i tak znajdziemy”, po czym przepuścił nas na stronę „niemiecką”. Znaleźliśmy się wkrótce w domku na przedmieściach, gdzie gospodarze udostępni

zmemczonym własną sypialnię. Jak się okazało rano, ku przerażeniu Mamę, która w żadnej sytuacji nie potrafiła zapomnieć o higienie, pościel była brudna i chyba nie zmieniana od czasów przedwojennych.

Nad ranem dołączył do nas Ojciec po przekroczeniu Sanu „na zielono”, dzięki wcześniej wspomnianemu przewodnikowi i Austriakom z Wermachtu, którzy „pilnowali” granicy. Obserwując konne patrole sowieckie po drugiej stronie rzeki dawali znaki okrzykami „komm, komm”, że droga dla furmanki przez bród jest wolna. Najtrudniejszy etap naszej wędrówki był pokonany.

Po dwóch dniach dotarliśmy koleją do Częstochowy. Okazało się, że siostra Ojca, która opiekowała się naszym mieszkaniem, przerażona rewizją niemiecką, zaraz po zajęciu Częstochowy przez Wermacht, „przeprowadziła” nas do innego, skromniejszego lokalu. W czasie niemieckiej rewizji nic nie zginęło, za wyjątkiem oficerskiej szabli Ojca, z okresu jego służby wojskowej 1920-1922, którą Niemcy, podobno tryumfalnie, skonfiskowali.

Tak zakończyła się nasza tułaczka wojenna w 1939 r. Początek jej nastąpił znacznie wcześniej, bo 28 sierpnia, kiedy to rozstaliśmy się z Ojcem i wyjechaliśmy z Częstochowy do Lwowa.

Lwów był miastem rodzinnym mojej matki, z którym wiązały ją liczne, rodzinne koligacje. Tu także poznali się moi rodzice w czasie wojny polsko-ukraińskiej, gdy na odsiecz do Lwowa przybył, po walkach pod Rawą Ruską, 36 pp Legii Akademickiej z Warszawy, do którego wstąpił Ojciec, przerywając studia na Wydziale Prawa Uniwersytetu Warszawskiego. Właśnie pod Rawą Ruską studenci z Legii odbyli swój chrzest bojowy. Jak opowiadał mi Ojciec, Ukraińcy przyjęli oddziały polskie silnym ogniem artyleryjskim. O wyniku walki zdecydowała jednak determinacja studentów, świeżo upieczonych żołnierzy, którzy ruszyli do ataku na bagnety i przed którymi, wdrożony już do wojaczki żołnierz ukraiński z byłej armii austriackiej, musiał ustąpić pola.

To także stąd, ze Lwowa, wyruszył Ojciec, jako młody oficer, na wojnę z bolszewikami w 1920 r., a wkrótce po wojnie, już jako młody żonkoś, kontynuował studia prawnicze, tym razem na Uniwersytecie im. Jana Kazimierza. Było to jeszcze przed demobilizacją i trzeba było godzić ze sobą obowiązki służby wojskowej z obowiązkową obecnością na wykładach.

To tu, we Lwowie, przyszedłem na świat. Brat Andrzej urodził się już w Czortkowie, dokąd w 1930 roku Ojciec uzyskał nominację na Sędziego Sądu Okręgowego.

Te liczne związki naszej rodziny ze Lwowem zdecydowały, że wobec zbliżającego się wybuchu wojny z Niemcami, w ostatnich dniach sierpnia rodzice podjęli decyzję o „zakotwiczeniu się” tam, aby przeczekać burzę wojenną, która, jak wszyscy uważali, nie potrwa długo. We Lwowie zastaliśmy szczególną atmosferę. Obsypane kwiatami wojsko opuszczało miasto w pełnym, bojowym rynsztunku. Nastroj był podniosły i optymistyczny.

Od pierwszych dni wojny wiadomości z frontu nie były jednak pomyślne. Dużym zaskoczeniem było bezpośrednie zagrożenie Lwowa ze strony niemieckiego zagonu pancernego, który nadciągał od Słowacji już po dziesięciu dniach działań wojennych.

Jedynym szczęśliwym przeżyciem dla nas, w tym czasie, było przybycie Ojca z Częstochowy „via” Warszawa-Lublin, tak bowiem prowadziła droga ewakuacji.

Tymczasem Niemcy coraz mocniej naciskali na Lwów, gdyż był on oparciem dla dywizji polskich cofających się z kierunku zachodniego i północnego. W dzień trwały alarmy i bombardowania lotnicze, w nocy – ostrzał artyleryjski.

Siedemnastego września pojawiły się bardzo nisko lecące samoloty, z czerwonymi gwiazdami, zrzucające na miasto ulotki wzywające naszych żołnierzy do zaprzestania walk.

W następnych dniach intensywność działań niemieckich osłabła. Sowietci nadchodzący ze wschodu coraz bardziej zaciskali pięści wokół miasta. Obrona zakończyła się kapitulacją wobec armii sowieckiej w dniu 22 września.

Był to dla nas koniec iluzji, że odwróci się karta w przebiegu działań wojennych. Po wejściu Sowietów wybraliśmy się z Ojcem do centrum miasta kupić coś do jedzenia. Widok był przygnębiający: okaleczone przez bombardowanie domy, jakby przecięte od góry do dołu, wszędzie wystraszeni i załamani ludzie, na ulicach pełno samochodów ciężarowych z czerwonymi gwiazdami, przed gmachami publicznymi chodniki zatarasowane kozłami z drutem kolczastym i wartownicy z bagnetami nasadzonymi „na sztorc”. Dotąd zachował się w mojej pamięci ten obraz i napięty wyraz twarzy Ojca, który nie odpowiadał mi na pytania, jakimi go zasypywałem. Sowietci rozpoczęli swą działalność we Lwowie od ulicznej agitacji osiągnięć komunizmu oraz apeli o podporządkowanie się ich zarządzeniom o zdaniu broni i rejestracji oficerów. Okazało się wkrótce, że nie zamierzają dotrzymywać warunków kapitulacji, gwarantujących swobodę poruszania się i nietykalność osobistą żołnierzy i oficerów W.P. Około 2000 oficerów i 8000 żołnierzy, którzy opuszczali miasto, otoczono na rogatce Łyczakowskiej kordonem wojska i wywieziono do obozów w głąb ZSRR.

Ojciec postanowił nie rejestrować się jako oficer rezerwy. Obawiał się też, że może zostać rozpoznany jako były sędzia Sądu Okręgowego w Czortkowie w latach 1930-37.

Gdy wracam obecnie pamięcią do okresu pracy Ojca w Czortkowie widzę jak bardzo był wtedy zapracowany. W dni powszednie widywaliśmy go w domu tylko przy śniadaniu i obiedzie, po którym wracał do sądu, aby pracować do wieczora. Często były zamiejscowe sesje i komisje. Utkwiły mi w pamięci wyjazdy w zimie ze względu na ich malowniczą scenerię, ponieważ uczestnicy ich zasiadali w saniach, w tzw. „baranicach”, które imponowały mi swymi rozmiarami.

Z późniejszych opowiadań Ojca wiem, że Sąd Okręgowy w Czortkowie był przeciążony sprawami kryminalnymi. Obszarem jego działania było pogranicze z ZSRR. Na tym terenie działały nielegalne, antypaństwowe organizacje komunistyczne i nacjonalistyczne, występowały przestępstwa kryminalne, typowe dla pogranicza, występowało zjawisko załatwiania porachunków osobistych na wsi z użyciem tzw. „obryznów” – broni, która pozostała po niedawnych działaniach wojennych lat 1914-1920.

Po siedmiu latach intensywnej pracy Ojca na tym terenie władze zwierzchnie uznały, że istnieje realne niebezpieczeństwo zamachu na Jego życie, ze strony elementów antypaństwowych i zdecydowały o Jego przeniesieniu do Sądu Okręgowego w Częstochowie.

Z żalem opuszczaliśmy Czortków i jego środowisko, mieszkanie na Kościuszki w willi p. Krzaklewskiego, położonej wśród ogrodów, skąd tak blisko było na „ściankę” jaru Seretu, z pięknymi widokami najbliższej okolicy, do przystani z kajakami na „wyspie”, do pięknie położonego parku, a za nim wspaniałej trasy, po której zimą zjeżdżało się na sankach w stronę Białej, a czasem podziwiali żołnierzy KOP-u, ćwiczących na nartach, w białych kombinizonach. Żał było uroku krajobrazów i klimatu ciepłego Podola, bliskości Zaleszczyk i malowniczych brzegów Dniestru, atmosfery samego Czortkowa, który, oprócz tego, że był miejscem postoju znacznego garnizonu Korpusu Ochrony Pogranicza, był także miejscem wielu inicjatyw społecznych, przynoszących rozwój licznych dziedzin życia.

Na pożegnanie Ojciec otrzymał pięknie oprawiony album ze zdjęciami i podpisami sędziów, prokuratorów i aplikantów, do którego później rodzice często zaglądali wspominając czasy spędzone na Podolu. Wspomnienia te miały gorzki smak, w miarę gdy napływały wiadomości o tragicznym losie wielu kolegów Ojca, którego on zdołał uniknąć opuszczając w porę obszar okupacji sowieckiej.

Dziś trudno powiedzieć czy zdecydował o tym przypadek, czy ludzki odruch człowieka, skazanego za przestępstwo, który wtedy, w krytycznym momencie nad Sanem, odrzucił zemstę i zaproponował pomoc w przekroczeniu granicy. Może w swoim sumieniu uznał, że kara, wymierzona mu przez ostatni Sąd Rzeczypospolitej na Podolu, była sprawiedliwa? □

WSPOMNIENIA

Honorata Horoszczak

Wspomnienie

Wyszliśmy z domu w sobotę wieczór to jest 19-go maja 1945 roku, bo mąż Józio dał nam znać, że są wagony. Poszliśmy z krową na Czerniowiecki dworzec towarowy, a tu wagonów nie ma i tak przesiedzieliśmy całą noc na stacji pod gołym niebem – deszcz lał i zimno bardzo dokuczało. Rano ja z dziećmi i Baranowskimi poszłam do ich krewnych. Tam osuszyliśmy się, przespali, ugotowali obiad dla wszystkich i zanieśliśmy go na dworzec dla babci oraz dla mężczyzn. Dzieci i ja byliśmy tam dokąd nie dali wagonów. Z wtorku na środę to jest z 22 na 23 maja dostaliśmy wagony i całą noc ładowaliśmy się – do naszego wagonu przydzielono osiem rodzin z dobytkiem, łącznie było nas 42 osoby. Miejsca było tak mało, że nie było gdzie usiąść lub

postawić kuchenkę aby coś ugotować. Wagony były odkryte – tak zwane lory, po węglu – wszyscy i wszystko tak się wysmarowało, byliśmy brudni, zmęczeni, słońce w dzień paliło, a w nocy zimno. Bydło podróżowało jeszcze gorzej, było tak ciasno, że krowa była prawie jedna na drugiej, trudno było je nakarmić, wydoić, napoić. Ciocia Hania nas odwiedziła i podała list dla Janka. Wyszybowali nas na dworzec Kleparowski i tak nas szybowali¹⁾ dwa dni. Wreszcie 25-go maja o godzinie 14-tej wyjechaliśmy ze Lwowa. Około godziny ósmej wieczorem dotarliśmy do Medyki, tu kontrolowali dokumenty, bo to granica, na noc przyjechaliśmy do Przemyśla-Żurawicy. Od Przemyśla mieliśmy więcej miejsca, bo dwie rodziny z Zimnej Wody wylądowały się w tym mieście. Dzieci zapomniały o jedzeniu i wygodach, posiadały sobie na samą górę na pakunki i zachwycaly się pięknymi widokami. A taki był skwar, żeśmy się tak poopalali, że skóra z rąk i twarzy nam zlażyła. Brud z wagonu

oraz sadza z parowozu spowodowały żeśmy do siebie nie byli podobni – tak wysmarowani, zmęczeni, noce bezsenne, jednym słowem prawdziwi męczennicy. Spać nie było można, trzeba było bagaży pilnować, bo strasznie kradli, a szczególnie nasi „przyjaciele”. My mieliśmy szczęście, bo innym pokradli walizki – ludzie rozpaczali. Z Żurawicy wyjechaliśmy około dziewiątej rano, jechaliśmy cały dzień i widzieliśmy straszne zniszczenia – szczególnie przed i za Dębicą. Pola leżały odłogami, pełno jam od bomb – mosty powalone, wsie całe w gruzach i popiele – jednym słowem straszny obraz jak pobojuwisko. Później widzieliśmy znów piękne okolice i zachwycaliśmy się jaką nasza Polska jest piękna. Wieczorem 26 maja dotarliśmy do Krakowa-Płaszowa, tu nocowaliśmy na deszczu, bo lał, a nie było gdzie się skryć, wszystko nam przemokło. Rano następnego dnia przyjechaliśmy do Krakowa, gdzie staliśmy do 4-tej po południu. Syn Wojtuś z Józkiem poszli zwiedzać miasto, a my gotowaliśmy obiad na kuchence i suszyli ubrania. Córka Lusia zachorowała na żołądek – bardzo ją czyściło. Po południu przypiechali nas do długiego transportu i mieli nas zawieźć do Katowic. Tymczasem zawieźli nas do Mikulczyc, bo tu była stacja zborna węzłowo-przeładunkowa. W Mikulczycach zobaczyliśmy setki rodzin pomiędzy torami czekających po kilka dni na dalszy transport. Był to straszny obraz, ludzie, było i dobytek pomiędzy torami na spiekocie pod gołym niebem, bo wiosna była wyjątkowo upalna. Po bokach stacji widzieliśmy duże ilości złożonej amunicji i pełno Ruskich pilnujących. Nasz długi transport też się tu wyładował pomiędzy tory, gdyż stąd szły tory wąskie i nasz pociąg już dalej jechać nie mógł. Ogarnęła nas rozpacz i rozczarowanie, gdzie wysiadać – tak mało miejsca pomiędzy szynami – niebezpiecznie z bytłem i bagażem. Pociągi ciągle szubują; tu komuś rozrzuściło bagaż, połamało kufry, tam cielę wleciało pod pociąg, tu dziecku piętę urwało. Po drugie, my chcieliśmy osiąść na ziemi rdzennie polskiej, a zawieźli nas na ziemię poniemieckie. Ale co było robić, znaleźliśmy jakiś wolny kącik i złożyliśmy bagaże. Spać chodziłam z dziećmi na poczekalni, ale to nie było bezpieczne, bo Ruscy śpiącym ściągali pierścionki i kolczyki. Mnie to też spotkało, bo w czasie snu ściągali mi Ruski z uszu kolczyki, ale mu się nie udało, bo ja się obudziłam. Tu na stacji była kuchnia, gdzie gotowali dla nas śniadania, obiady i kolacje. Chętnie korzystaliśmy z tych posiłków, bo chleb, który z domu zabraliśmy, dawno już się nam skończył i już w Medyce i Krakowie kupowaliśmy chleb. Gdy nie było gdzie kupić chleba to pani Baranowska nam pożyczła i całą drogę nas karmiła mlekiem od swojej krowy, bo nasza nie doła się. W tych stronach chleba kupić nie było można, bo tu o żywność strasznie trudno. Chleb kosztował – gdy było można go kupić – 40 złotych za kilogram, mleko też tyle za litr. Niemki przychodziły do nas zamieniać rozmaite drogie rzeczy za żywność. Kto miał co zamieniać np. kaszę, fasolę, mąkę czy masło, to dostawał rozmaite ładne rzeczy. Często chodziłam do kuchni obierać ziemniaki, aby dać łupy krowie, ponadto paśliśmy ją na pobliskim pastwisku. Tu zobaczyłam się z Kasią Lechowicz, która się już osiedliła w Strzelcach Wielkich i zajmowała się handlem. Nasz transport lwowski 3 czerwca pojechał dalej. Osiem dni przesiadaliśmy w tych Mikulczycach – Baranowski z Józkiem naradzali się, gdzie się mamy osiedlić. Chcieliśmy się wracać do Polski, ale po rodzinnej naradzie zdecydowaliśmy się jechać na Śląsk w okolice Rybnika. Po ponownym załadunku do wagonu wyruszyliśmy w dalszą drogę.

Na stacji Chebzie był postój, tu nocowaliśmy. Tam była sądna noc, wieczorem przyszła burza, deszcz lał całą noc jak z cebra. Dzieci i my przemokliśmy do suchej nitki, bagaż przemokł zupełnie – mąka w pakach i ubrania były zalane wodą. Jechaliśmy znowu w wagonie odkrytym, dzieci się poprzeciebiały, bo tu nie było gdzie się skryć. My kłękali i płakali razem z dziećmi – rano deszcz przestał padać, ale pogody nie było, zrobiło się strasznie zimno i dżdżysto. Nie wiem co byśmy zrobili gdyby nie ta kuchenka, a tak ugotowaliśmy zupy, osuszyli odzież i rano pojechaliśmy dalej. I tak z przegodami dotarliśmy koło południa do Niedobrzyc koło Rybnika. Tu wyładowaliśmy się razem z Baranowskimi i poszli do wsi szukać jakiegoś przytułku. Józio z Baranowskim postanowili osiedlić się w pobliskiej wiosce Popielów, wieczorem przyjechali z furą i wozili bagaże do północy. W Popielowie dostaliśmy dom piętrowy częściowo umeblowany – my mieszkaliśmy na górze, a Baranowscy na dole. Tu nie było co z krowami robić, pola nie było, tylko mały ogródek – nocą chodziliśmy kraść wykę aby nakarmić bydło. Popielów to wioska bardzo ładna, domy bogate, ale bieda z żywnością. Tu nie można było nic kupić prócz sałaty i cebuli. Miejscowi nam zazdrościli, że mamy trochę maki, kaszy i fasoli. Ze Ślązakami trudno było nam się porozumieć – tak dziwnie mówią, ale ładnie się ubierają, porządnie mieszkają, trzymają kozy i gęsi. W domu nie ma pieca piekarskiego, tylko chodzi się piec do piekarni. Do kościoła mamy blisko – chodzimy codziennie, nie mamy co robić, więc śpimy, cerujemy, codziennie chodzimy z dziećmi do lasu na borówki, z którymi robimy pierogi. Wszyscy mamy wilcze apetyty, że trudno nastarczyć jedzenia. Wojtuś tęskni za Zimną Wodą, kolegami i Cesiem. W niedzielę Wojtuś z Jasiem z nudów wyrwali się i poszli do oddalonego o 5 km Rybnika – z powrotem Jasio mówił do Wojtka ... chodźmy do Babci z Zimnej Wody. Janek inną łyżką nie chce jeść, tylko tą od Babci z Zimnej Wody. Ja trzymałam się całą drogę dobrze, głowa mnie nie bolała. Proszki, które zabrałam z sobą rozdawałam innym. Jednak na trzeci dzień zemdlalam, ledwo mnie odratowali i już od tej pory nie jestem taka zdrowa jak dawniej. Józio z Baranowskim, po długich staraniach, dostali jakieś gospodarstwo w Wilchwach na terenie powiatu rybnickiego. Po kilkudniowym pobycie w Popielowie 26 czerwca wyruszyliśmy pieszo do tych Wilchw. Tu zastaliśmy Niemkę, ale po zorientowaniu się, że gospodarce nam przydzielono, zaraz się wyniosła. Po dokonaniu uciążliwej przeprawki znaleźliśmy się wreszcie na swoim. Dom zastaliśmy w okropnym stanie, do połowy rozbity granatem, pełno gnoj, szkła, szmat i innego świństwa. Zakasaliśmy rękawy i może tydzień harowaliśmy nim dom i obejście do jakiegoś stanu doprowadziliśmy. Do gospodarstwa naszej należało pole około 10 jutrzyn, koło domu był ogród obsadzony drzewami owocowymi, były dwie grusze, kilkanaście śliw węgerek, morele i jabłonie. Na jednej ścianie domu rosły winogrona, a obok krzewy agrestu i porzeczki. Pole częściowo było obsiane żytem, a reszta stała odłogiem. I w taki oto sposób zakończyła się nasza podróż z ZSRR do Polski w pamiętnym powojennym roku 1945-tym. W Wilchwach gospodarowaliśmy do roku 1948-go, a potem po zbiorach jesienią 2 listopada oddaliśmy gospodarstwo i wyjechaliśmy do Bytomia. Józio postanowił powrócić do swego zawodu na poczcie w Katowicach, dzięki czemu zamieszkaliśmy w mieście Bytomiu.

1) przetaczali wagon □

Franciszka Grodecka Wspomnienia (c.d.) VII

Szczęśliwie dobiliśmy do Pahlewi, portu wolności w Persji.

Witaj Pahlewi, ty porcie naszej wolności, witaj... A więc spełnił się cud nad nami...

Stanęliśmy na kotwicy. Nigdy nie zapomnę tej chwili, gdy orkiestra naszego wojska zagrała nasz hymn narodowy: JESZCZE POLSKA NIE ZGINĘŁA...

Płacz ogólny wzniosł się aż pod niebo. Poklekaliśmy, by w gorącej modlitwie podziękować Bogu za wyprowadzenie nas z domu niewoli. Płakaliśmy długo ze szczęścia.

Ponieważ przy porcie była mielizna, przeładowywano nas na mały statek. Z siedzenia w kuczki na okręcie, z ogromnego jak na biedne serce wrażenia nie mogłam się ruszyć z miejsca.

Dostaliśmy się na wolną ziemię... o Boże dzięki Ci stokrotnie.

Do portu przyjechały autobusy i te zawiozły nas do obozu na tzw. „brudne”.

Przejęcie i wzruszenie było tak wielkie po wyładowaniu. Rozpierała nas radość. Bagaże nasze zostały zdezynfekowane, zostaliśmy skierowani do łazienek pod prysznic. Rozkosz... Plaża była czysta, piękny piasek, a woda ciepła, toteż morze głów było w morzu. Na terenie obozu były kantyny, można było dostać kawę, herbatę, ciastka, drobiazgi, przybory toaletowe, przybory do pisania itp. Ale cóż, pieniądze poszły z dymem... Bieda była, gdy padał deszcz, dach przykryty słomianymi matami przeciekał, siedziało się dosłownie w wodzie. Najgorzej było w nocy, toteż starsi czuwali, zbierali płynący z góry deszcz do misek. Dzieci były dożywiane sokami, świeżymi owocami, masłem, mlekiem i były pod opieką lekarską. Po obozie uwijali się Persowie, wykrzykując głośno: „kuricy warone, jajca warony”. Ruch był ożywiony.

W Teheranie zaczął wychodzić dziennik polski i w pierwszym numerze był taki artykuł: „Wyjazd z ZSRR do Iranu – byłby dla nas wszystkich, opuszczających to państwo, w którym tyle doznaliśmy krzywdy – największą radością, gdyby nie świadomość, że tyle Polaków, a wśród nich najbliżsi sercu, pozostawało skazanych na niewiadomy byt.”

Spotkałam tu wielu znajomych ze Lwowa. Odwiedził mnie w szafasie radca magistratu lwowskiego p. Antoni Pakosz, z którym pracowałam w wodociągach. Nie poznałabym go nigdy. Mówi do mnie: nie poznaje mnie pani? Antos jestem. Ale ja już dzisiaj dobrze wyglądam, bo od miesiąca jem, ale przedtem? Wyobrażam sobie, jak musiał wyglądać, jak kościotrup. Popłakaliśmy i naopowiadali.

Rzucili się wszyscy na smażenie ryb, nad brzegiem morza, na rozpalanych ogniskach. Łowili Persowie. Przychodzi raz Jurek i mówi: Mamo, tam wszyscy smażą ryby, ja bym tak zjadł. Nie mogłam jednak dać dzieciom tych tłustych ryb na tak wygłodniałe żołądki, nawet zupy ryżowe, które nam dawano z kotła, dawałam po odlaniu tłuszczu. Miałam rację, bo zaczęli wszyscy bardzo chorować na biegunkę, a nawet umierać.

Przeniesiono nas na tzw. „czyste”. Nad brzegiem morza stały niezliczone namioty wojskowe. Wszyscy byli uśmiechnięci, szczęśliwi, a tak niedawno jeszcze smutni i zgnębieni. Otrzymaliśmy po sześć tumanów¹⁾ na dziesięć dni. Wielu z naszych wyjeżdżało do Afryki. Żołnierze do Iraku. Gdy noc

zapadała, słyszało się wycie szakali, które całkiem blisko podchodziły do naszych szafasów, znajdując w odpadkach kuchennych smakowity żer. Siedziałam wtedy bojąc się o dzieci.

Wyjeżdżamy autobusami do Teheranu, stolicy Iranu. Pogoda piękna. Jechaliśmy nad rzeką, na brzegu której wylegiwało się tysiące żółwi. Przy drodze piękne drzewa akacjowe, olbrzymie paprocie, palmy i kaktusy. Ogrody oliwne. Teren coraz wyższy. Wjechaliśmy w góry lesiste, dzikie i malownicze. Drogi wykute w skałach, szerokie i asfaltowane. Zaczęły się serpentyny, zakręty, zjazd z zawrotnych pochyłości. Droga wspaniała, ale grozę budząca, ciarki przechodziły człowieka. I tak jeden samochód stoczył się w dół pełen naszych Junaków. Nie zginęli w Rosji, zginęli tu.

Komunikacja w Iranie przeważnie autobusem, małe dystanse odbywają na osłach. Nieraz na jednym małym kłopuszku podróżuje cała rodzina. W górach osiedla ludzkie tzw. smolarnie z wielkimi składami węgla drzewnego. Po drodze spotykaliśmy ruiny, zabudowania i znowu droga prowadziła coraz wyżej. Zatrzymaliśmy się w jakiejś wiosce dla wypicia herbaty. Dzieciom jakiś podróżujący Pers zafundował pieczoną kurę. Tu kupiliśmy winogrona, orzechy i granaty.

Ludność odnosiła się do nas bardzo życzliwie.

Pod wieczór przyjechaliśmy do Kazwinu na noc. Otrzymaliśmy gorący posiłek i herbatę. Spaliśmy na kamiennej podłodze, zimno spać nie dało. Wstałam. Przez uchylone drzwi wpadało jasne bardzo światło księżyca, w którym odbijał się minaret meczetu, a z wieży jęklący głos wołał: Allah, Allah. A ja mówiłam: o wielki, o potężny Boże, dzięki za łaskę wyzwolenia...

Ach, te serpentyny, przerażające przepaście. Podziwiam szoferów tych autobusów, znają każdy zakręt, załom skały, jechali po mistrzowsku. Nie mogąc patrzeć, modlili się głośno. Widoki niezapomniane, całe pola turkusów.

Za Kazwinem już zmieniona droga, równa, piasek i drobny żwir. Żar słoneczny – brak wody. Wreszcie ukazał się nam upragniony Teheran. Okolice pełna zieleni, precudne ogrody, a w nich pałace otoczone murami koronkowej roboty z pięknymi bramami, palmy, kwiaty i sadzawki. Wjechaliśmy na peryferie miasta, szofer objaśniał nam w języku rosyjskim. Wreszcie szeroka aleja, która prowadzi na szeroki plac, na którym stoi olbrzymi posąg Rezy Pahlawi²⁾. Miasto bogate, czyste, przed sklepami wspaniałe perskie dywany. Persowie podawali nam, a przeważnie dzieciom, owoce, cukierki, pieniądze, uśmiechali się i patrzyli bardzo życzliwie. Byliśmy nimi zachwyceni. Dojechaliśmy do przygotowanego obozu nr 3. Mieszkaliśmy w namiotach, nasz był blisko kuchni. Namioty stały wśród drzew, w środkowej alei stoły i ławki, przy których odbywała się nauka pod gołym niebem. Otrzymujemy suchy prowiant i obiady z kotła.

Zaraz po przyjeździe rozpoczęło się przygotowanie dzieci do I-szej Komunii Świętej. Przystępował Jurek. Dano nam materiał, ale musiałyśmy same uszyć w rękach. Uszyłam bardzo niezgrabne spodniczki, ale mówi się trudno, grunt, że przystąpił. Odwiedziła nas w tym dniu żona kolegi męża, p. Eugenia Radon, która była w PSK, zabrała nas do miasta na obiad, opłaciła zdjęcie Jurka.

Zaczęła się nauka, zorganizowano harcerstwo. Komentantem obozu był lwowianin, p. Kazimierz Ossoliński. Była tu też Janka Dziedzic z córkami.

Gdy rozpoczęły się deszcze, słoty, zimno było bardzo w namiotach, przeniesiono rodziny z małymi dziećmi do obozu nr 1. do rejonu „Lwów”, pod szafasy. Tu prawdziwą pla-

gą były pluskwy. Długo nie pracowałam, wreszcie otrzymałam pracę biurową w rejonie. Miałam już parę groszy na owoce dla dzieci. Obiady, kolacje i śniadania otrzymywaliśmy ze wspólnej kuchni. Spaliśmy na pryzkach, które służyły i za stoły. Odbywały się wszystkie uroczystości religijne i narodowe. Wspaniale rozwinęło się harcerstwo, były drużyny zuchów i zuszek. Naturalnie zaraz wstąpili oboje, biorąc czynny udział w zbiórkach i obozach. Jurek szybko awansował, był komendantem obozu zuchów. Obozy harcerskie odbywały się na 3-im obozie. Otrzymaliśmy rzeczy z darów amerykańskich. Wyżywienie było bardzo dobre i obfite, toteż dość prędko nabraliśmy sił. Na święta Bożego Narodzenia 1942 i Wielkanoc roku 1943 była bułka i ciasta. Mogliśmy brać po dwie, trzy porcje. Jedzenie przynosiłiśmy do szafasu i tu komendantka rozdawała. Towarzystwo w szafasie bardzo miłe. Często jeździmy do miasta. Była tu szkoła powszechna i gimnazjum, szpital, pracownia krawiecka.

Gościliśmy córkę gen. Sikorskiego p. Leśniowską. Na fotografii Irma stoi obok niej. Codziennie odbywały się Msze św. przy stałym ołtarzu polowym. Zaczęły się wyjazdy do Afryki itp. W obozie był sklepik, prowadzony przez Persa. Odbywały się zloty harcerskie. 2 maja odbyła się wspólna uroczystość harcerska, w rocznicę śmierci marszałka Józefa Piłsudskiego. Dnia 3 maja wielka uroczystość Konstytucji 3 Maja, na uroczystość tę przybyli ministrowie, biskup Marina, liczny kler. Kazanie w języku francuskim i polskim wygłosił ks. Słapa, przemawiali min. Bader i Stańczyk. Na placu Gdańskim odbyła się defilada. Uroczystości obchodzono imieniny gen. Władysława Sikorskiego 27 czerwca. Bardzo uroczyste, jak w Polsce, były uroczystości kościelne, jak Boże Ciało, Rezurekcja. Boży Grób urządzone przez artystów. Praca w biurze bardzo miła.

Zaczęto zwijać obozy, transporty do Afryki i Indii. Wyjechała też Janka. Mnie wyznaczono również. Dowiedziałam się o tym późnym wieczorem po powrocie z Teheranu, gdzie suflowałam na przedstawieniu urządzonym przez Polaków dla dzieci perskich pt. „Królewna Śnieżka”. Całą noc z płaczem pakowałam się, a wczesnym rankiem załadowano nas na auta i zawieziono na dworzec kolejowy, celem wyjazdu do Ahwazu¹⁾. PP. Ossolińscy wyjeżdżali również, zobowiązali się solennie zająć się nami w Nairobi w Afryce. Bałam się panicznie Afryki. Było to 19 grudnia 1943 r. Do Ahwazu przyjechalśmy 21 grudnia, przed Bożym Narodzeniem, aby 15 stycznia 1944 r. wyjechać do Afryki. Na nasze szczęście transport nie odpłynął. Pozostaliśmy w tym najgorętszym zakątku ziemi. Położone w piasku jajo zagotowane było w przeciągu paru sekund. Mieszkaliśmy w olbrzymich, murowanych stajniach konnicy perskiej, a żłoby na owies i siano służyły nam za szafy. Spaliśmy na pryzkach. Upał szalony, od godziny 1-szej do 5-tej po południu musiało się leżeć. Była tu szkoła powszechna i gimnazjum. Jurek zdał egzamin wstępny do gimnazjum. Pracowałam w delegaturze jako komendantka takiej jednej stajni Bloku nr XIII (zawsze trzynastka). Była to raczej praca biurowa. Wyżywienie z kotła. Dzięki temu, że pracowałam, otrzymałam mieszkanie w normalnym bloku. Tu plaga na odmianę były skorpiony i tarantule.

Irma zachorowała ciężko na tropikalną malarię. Stan był groźny, bardzo długo leżała w szpitalu. Lekarzami byli tu Hindusi. Powiedział mi lekarz, że muszę zdecydować się na wyjazd albo do Afryki, albo do Teheranu, bo Ahwaz Irnę zabije. Chciałam wrócić do Teheranu, ale tam już zlikwidowano wszystko, a do Afryki – bałam się. Choroba Armii uchroniła nas od Afryki, bo jednak transport odszedł.

Ktoregoś dnia przyjechał do Ahwazu druh Kazimierz Sylwanowicz. Na obozie spotkał Jurka i pyta, dlaczego tak źle wygląda? A Jurek na to, żeby druh zobaczył mamę i siostrę. Przyszedł do mnie, bardzo się zdziwił, że tu jestem. Opowiedziałam wszystko. Gdy po dwóch tygodniach wrócił do Teheranu, opowiedział to wszystko p. Łuszczyńskiej, urzędniczce naszej Delegatury i dosłownie w trzy dni nadeszła depesza do kierownika, p. Galusińskiego, aby mnie natychmiast odesłał do Teheranu. Irma na tyle wydobrzała, że mogła odbyć podróż. Urządzono mi bardzo miłe pożegnanie. Odbyliśmy znowu ciekawą podróż pociągiem do Teheranu. Zamieszkaliśmy w jedynym już wówczas obozie nr 2. Niedługo i ten obóz zlikwidowano, a mnie z dziećmi przeniesiono do Isfahanu (1 maja 1944 r.), gdzie był ośrodek dla dzieci. Było tu siedem dużych zakładów, dosłownie miasto sierot polskich. Byłam wychowawczynią w gimnazjum żeńskim, mieszkalam na miejscu z Irmą, a Jurek w zakładzie dla chłopców. Wyżywienie wspólne, bardzo dobre. Tu werbowano młodzież do marynarki wojennej.⁴⁾ Jurek zapisał się. Pytałam profesora, p. Krzewińskiego, co mam robić? Czy pozwolić na wyjazd? Odpowiedział mi: jeżeli ma pani dwóch, to jednego może pani utopić. Dowcipniś, co? A że nie miałam dwóch, zaczęłam usilnie błagać tego jednego, aby zrezygnował, jednak nie ustępował.

Przeniesiono mnie na pracę do Inspektoratu Szkolnego, w mieście. Otrzymałam mieszkanie, dwa pokoje i kuchnię, w tym samym budynku. To zadecydowało, że zrezygnował, okazało się, że nie chciał być w zakładzie.

Było nam bardzo dobrze, dostawałam pensję, wikt zakładowy, ale bardzo dobry.

Wizytatorem był p. Dominik Pytel, inspektorem p. Marian Pudło, urzędniczką p. Sława Deręgowska.

Robiłam listy płac nauczycielstwa i wychowawczyń, pisałam na maszynie. Czułam się jak w lwowskich wodociągach, nareszcie po tylu latach. To mój żywioł. Raj dla Jurka, moc książek do czytania, które nadchodziły z Palestyny dla szkół i świetlic. Bardzo przyjazne i miłe stosunki. Podczas tej pracy miałam też i nieprzyjemny wypadek, skradziono mi pięćset tumanów, które podjęłam w Delegaturze na wydatki administracyjne Inspektoratu.

Niestety, mówi się o zlikwidowaniu całego ośrodka polskiego w Isfahanie. Wyjechali wizytator, inspektor i p. Deręgowska, a biura Inspektoratu i mnie przeniesiono do gimnazjum na Dżulfie. Zarządza nim dyrektorka, p. Maria Krzyżanowska, pracuję jako sekretarka. Mieszkamy na miejscu.

Wszystkie sieroty wyjechały do Nowej Zelandii. Proponowano mnie również, zapewniano pracę w szkolnictwie, ale nie miałam odwagi.

Zupełnie niespodziewanie, nagle, nastąpił nasz wyjazd. Musieliśmy wszystko pakować na gwałt. W niedzielę, 10 września 1945 r. byliśmy na ostatniej Mszy św. w naszym ormiańskim kościółku. Jurek służył do Mszy św.

Z nieklamany prawdziwym żalem opuszczamy Isfahan, przyzwyczailiśmy się do jego życia i uroku. Ormianie i Persowie byli nam bardzo życzliwi. Młodzież nasza żyła się bardzo z sobą w dobrze rozwiniętym harcerstwie.

Przypisy:

- 1) Tuman – perska waluta
- 2) Szacha Persji w 1942 r.
- 3) Miasto blisko Zatoki Perskiej (port)
- 4) Polska Szkoła Marynarki Wojennej w Anglii

Regina Szablowska-Lutynska

Lot w nieznane – z lotniska Skniłów we Lwowie (c.d. z notatnika kpt. pilota, Sqd. Ldr. Stanisława Szablowskiego)*

Rumunia-Libia-Francja-Anglia

Znaleźli się w tragicznej sytuacji, musieli opuścić Polskę. Od zachodu nacierała armia niemiecka, a wschodnią granicę Polski 17 września 1939 r., niespodziewanie i z nieprzychylnymi zamiarami, przekroczyły wojska bolszewickie posuwając się w głąb kraju. Około południa przyjechał Wołodia Bierzacki mówiąc, że jedna bolszewicka jednostka pancerna zbliża się do Siemiankowie.

Zgodnie z rozkazem ruszyli ku granicy rumuńskiej. Antoś Waltoś, Józef Broda i Autor wspomnień jechali razem starym fordem, którego ogumienie sprawiało wiele kłopotów w czasie drogi. Późną nocą dojechali do Śniatyna szukając swojej eskadry z 6-go pułku ze Skniłowa.

W dniu 18 września 1939 roku, o godzinie 3.15, przekroczyli graniczną rzekę. Samolotów z Anglii nie było, tylko dziwnie wyglądający rumuńscy żołnierze – zupełnie jakby przypadkowo poprzebierali się w czyjeś mundury.

Z żalem musieli rozstać się z „błękitną strzałą” (niebieskim, stale psującym się ffordem), gdyż nie można było kupić nowych opon. Waltoś i Autor wspomnień pojechali dalej fiatem 508 z Kuleszą i Chciukiem, dojeżdżając do miejscowości Radauti. Miejscowe władze stosunkowo sprawnie rozmieściły ich w domach prywatnych. Autor wspomnień zamieszkał przy Strada-Stefan cel Mare 46. Jak się okazało gospodarzami mieszkania byli Żydzi, uciekinierzy z Austrii. W okresie trzydniowego pobytu okazali Oni trudną do opisanego serdeczność i bezinteresowną gościnność.

Dalsza droga wiodła w kierunku Tulcea. Jechali przez ładne miasteczka: Roman, Bacau, Focsani, ale w tym czasie świat wydawał się szary i smutny. 23 września jechali dalej, przez R. Sarat, Braila, gdzie przeprawili się promem przez Dunaj, do Isacei, gdzie nocowali. 24 września około południa dotarli do miejscowości Tulcea. Miasteczko było przepełnione wojskiem i trudno było znaleźć mieszkanie na nocleg.

Podczas robienia zakupów na kolację, Autor wspomnień spotkał niespodziewanie Kazika Raczyńskiego, który przekazał, że w domu wszyscy żyją. Do ponownego spotkania nie doszło, prawdopodobnie wyjechał wcześniej.

W Tulcea, razem z Antonim Waltośiem, zamieszkali u miejscowego popa, zrobili sobie fotografie i rozpoczęli starania o paszport, by wyjechać z Rumunii.

27 września, z kraju dochodzą coraz smutniejsze wieści. Warszawa nie może już się bronić, brak żywności i wody, miasto zniszczone. Oczekując dalszych instrukcji, wybrali się z Tadzikiem Biegańskim na małą wycieczkę.

30 września otrzymali wiadomość, o godzinie 22-giej odjazd z dworca.

1 października – niedziela – mieli w planie pójście do kościoła, a tu znowu wędrowanie.

2 października, około godziny 11-tej przyjechali do Calafat, małego miasteczka na południu Rumunii. Okolice malownicze, a po drugiej stronie Dunaju widoczne były mury miejscowości Vidin w Bułgarii. Dunaj kusił, ale ucieczka była niemożliwa, bo Bułgarzy zatrzymanych Polaków oddawali w ręce rumuńskich władz.

Był to okres bardzo trudny, a życie w obozie układało się podle. Komendant garnizonu rumuńskiego i jednocześnie dowódca obozu major Grigilicu dążył, wszystkimi sposobami, do utworzenia przepaści pomiędzy szeregowymi żołnierzami a ofi-

cerami. W okresie ogólnego rozgoryczenia warunki ku temu miały dobre.

Zamknięto bramy obozu jak za przestępcami, wartownicy pilnowali, by nikt nie zbliżył się do płotu. Dwa murowane budynki miały pomieścić 1500 osób. Brak wyposażenia – łóżek i pościeli. Były jedynie sienniki (około 400 szt.) i trochę słomy, potem zdobyto nieco mat do przykrycia słomy. Komendant swoim zachowaniem przyczyniał się do częstych buntów wojska. Chciał traktować naszych żołnierzy według zwyczaju rumuńskiego, ale gdy kiedyś uderzył w twarz polskiego kaprała dostał mocnego kopniaka. Komendant wyleciał za bramę jak z procy, ale niebawem zaczęto dawać żołnierzom podle i małe porcje polewki i sprządzono oddział marynarzy z kilkoma karabinami maszynowymi. Chłopcy się uspokoili, ale marynarzom towarzyszył wrogi pomruk.

Oficerom nie wiodło się lepiej (m.in. Wunche, Burszewski, Faliński, Szablowski), musieli spać na podłodze na porozkładanych gazetach. Na szczęście zjawiał się jakiś generał, który dał się przekonać i zezwolił oficerom na wychodzenie na posiłki i na spanie w mieście.

8 października – niedziela – nareszcie pierwszy raz od chwili wybuchu wojny mogli być w kościele. Ożyły pragnienia i tęsknoty. Nie mogli słuchać i śpiewać, bo przy słowach... „Ojczyznę, wolność racz nam zwrócić Panie” dostawali skurczu w gardle.

14 października, próba wyjazdu pociągiem z Calafat nie powiodła się. Po odstawieniu do obozu, pierwszy w życiu kryminał, razem z Władkiem Piotrowskim.

Przed drzwiami stała warta z bronią i dobry duch towarzyszył do umywalni i nie tylko..., by ktoś nie wpadł!

16 października około godziny 10-tej odwiedziła ich w obozie Pani Helena Gajewska, starała się przyjść z pomocą w czym mogła – „złoty człowiek”.

18 października, dowódca obozu zaproponował wolność za cenę podpisania deklaracji. Odrzucili propozycję i zostali aresztowani. Wszystkich aresztowanych oficerów lotnictwa ulokowano w kasynie.

26 października, dowództwo obozu zaczął przejmować pułkownik Pawłow. Był to człowiek energiczny i interesował się nawet potrzebami wojska. W międzyczasie major Grigilicu starał się nawiązać z oficerami łączność proponując ułatwienie ucieczki. Wysłana jednak na próbę jedna osoba została aresztowana z jego rozkazu.

Około 20 listopada z ambasady polskiej nadszedł rozkaz „podpisać deklarację jeśli pomoże to w ucieczce”. Po podpisaniu otrzymali należne pieniądze i otwarte zostały bramy obozu, ale tylko obozu. Na ulicach Calafatu każdemu towarzyszył „anioł stróż”.

W ostatnich dniach listopada Autor wspomnień zamieszkał poza obozem (Calafat, Rada Negru 7 u Mme Guside) i otrzymał rozkaz organizowania wyjazdów. Niebawem udało się znaleźć osobę, która podjęła się przemycania ludzi do Bukaresztu. Odjeżdżali ukryci w przedziale maszynisty pociągu motorowego. Za 6 osób płacono się 7000 lei. Kolejne grupy wyjeżdżały co 3 dni.

7 grudnia przeniesiono obóz do innej miejscowości, ale wcześniej udało się ukryć 250 osób w opuszczonych domach! Tegoż dnia Autor pamiętnika, mimo przebrania się w cudze ubranie, został rozpoznany gdy wracał z dworca po odprawieniu ko-

lejných odjeżdżających. Zameldował o tym natychmiast i 10 grudnia opuścił Califat. Razem z nim do Bukaresztu wyjechali: por. Faliński, Liber, Bujak, Paradysz, Bucior, Kelan.

18 grudnia opuścili Bukareszt jadąc do Konstanty, a 21 grudnia odpłynęli na okręcie Transilvania. Droga wiodła przez Morze Czarne, Konstantynopol, Pireus. 24 grudnia w Aleksandrii obchodzili na statku Wigilię Bożego Narodzenia. W imieniu komendanta transportu (ppor. B. Kuziana, który z powodu morskiej choroby był niedysponowany) Autor wspomnień złożył życzenia zebranych w jadalni przy choince. Wszyscy życzyli sobie, by następne święta były już w domu, w gronie najbliższych. Popłynęli dalej przez Tel-Aviv, Haifę, do Bejrutu dotarli 27 grudnia. Było to bardzo piękne, malownicze miasto. Część personelu oficerskiego zamieszkała w hotelu Europa, oczekując na dalszy transport do Francji. Zadziwiające było ustosunkowanie się ludności do przybyszów z Polski. Czyniono przeróżne uprzejmości, w niektórych kinach były bezpłatne seanse dla polskich żołnierzy. Miejscowe władze zapewniły mieszkania i jedzenie, a na własne potrzeby można było wymienić jeszcze polskie złotówki (za 100 zł 40 franków). Bardzo często zapraszano na kolacje do domów prywatnych. W czasie tych wizyt dużą przyjemność sprawiały wieczory spędzane na zabawach z czarnoookimi arabskimi dziećmi. Potrafiły one świetnie się bawić, a jednocześnie były bardzo miłe i posłuszne.

16 stycznia 1940 roku odpłynęli w dalszą drogę na S/S „Explorateur Grandier” i po pięciu dniach dotarli do portu w Marsylii. 22 stycznia przyjechali do miejscowości Caussade w południowo-zachodniej części Francji. Nieopodal w Septfont były baraki, po hiszpańskim obozie koncentracyjnym, tam zamieszkał żołnierz. Oficerowie zostali ulokowani w domach prywatnych w Caussade.

„Tak tęskno za najbliższymi, pisałem przez Czerwony Krzyż, ale nie ma odpowiedzi. Parę razy śniła mi się Mama, co z Renią. Boże co bym dał by być znowu z Wami”.

23 stycznia do 11 marca w Caussade. Stałe przebywanie pomiędzy żołnierzami dało podstawę, by stwierdzić, że polscy żołnierze mimo przeciwności losu potrafili zachować lojalność i dyscyplinę. Była to tzw. „cicha dyscyplina”, tam gdzie nie było żadnych sankcji karnych. W zamian wymagali „serca” i umieli docenić okazywaną im uwagę.

W społeczeństwie francuskim dominowało natomiast dążenie do wygody i przyjemności życia. Słyszeli często „wmieszalście nas w to wojnę, co teraz będzie jeżeli Niemcy uderzą... po co tu przyjechalście ciągnąć za sobą widmo nieszczęścia”. Naturalnie nie wszyscy Francuzi tak myśleli. Autor wspomnień zaprzyjaźnił się z rodziną państwa Mouissot mieszkającą w Caussade. Przebywając już w Paryżu (od 12 marca do 7 kwietnia) pojechał do nich na parę dni w okresie Świąt Wielkanocnych.

7 kwietnia 1940 roku, w nocy, opuścili Paryż, a na drugi dzień w południe port Le Havre. Do potężnego portu angielskiego Southampton dotarli 8 kwietnia i pierwszą noc spędzili na statku. Do końca lipca przebywali w Blackpool na szkoleniu i szlifowaniu języka angielskiego. Przeglądając się Anglikom doszli do wniosku, że są oni znacznie lepiej wychowani społecznie. W międzyczasie doszły wiadomości, że Włochy wypowiedziały wojnę (10.VI.) Francji i W. Brytanii, że wojska niemieckie weszły (14.VI.) do Paryża.

W sierpniu, przez dwa tygodnie, byli na „Greading course” w miejscowości Carlisle. Autor wspomnień mieszkał u bardzo miłych Szkotów, państwa Ferguson.

Od 20 sierpnia przebywali w Hucknoll, gdzie razem z K. Markiewiczem i J. Orzechowskim ukończyli O.T.U. Bombowe. Nadchodziły smutne wiadomości. Na wyciętej z „Wiadomości ze świata” (Nr 15 z dn. 10.IX.40) kartce widnieją nazwiska ofice-

rów i podoficerów Lotnictwa Polskiego, którzy w czasie działań bojowych nie powrócili do swych baz na terenie Anglii: kpt. Pankratz Wilhelm, por. Grusza Franciszek, por. Łukaszewicz Kazimierz, por. Ostowicz Antoni, por. Stęborowski Michał, ppor. Łukaszewicz Stanisław, Rozwadowski Mieczysław, Żurkowski Janusz, Zenker Paweł i sierż. Kwieciński J. Byli oni jednymi z pierwszych, którzy zginęli z dala od kraju.

23 października Autor wspomnień został przydzielony do 307 lwowskiego dywizjonu myśliwców nocnych, który w tym czasie stacjonował na lotnisku Kirton in Lindsey – dowódcą był mjr pilot K. Benz.

8 listopada 1940 roku Dywizjon przeniósł się na wyspę Man, lotnisko Jourby, był to piękny zakątek świata. Latali w tym czasie na Defiantach. Na początku grudnia Autor wspomnień latał z S/L Tomlinsonem, z sierż. Wisthałem oraz ze strzelcami: J. Starostą, Cz. Pelikiem, Karasiem, ale najczęściej z sierż. J. Brodą. W czasie nocnego lotu, 23 grudnia 1940 roku, mieli pierwszy w życiu wypadek. Wylądowali na lotnisku, ale pilot z kawałkiem przełącznika do wskaźnika podwozia w głowie, a J. Broda ze znacznymi potłuczeniami. Samolot w proszku i w płomieniach. Obaj wylądowali w szpitalu w Ramsey, gdzie mieli wspaniałą opiekę. Po trzech tygodniach wrócili do Dywizjonu. Było to już jednak inne olbrzymie lotnisko – Squires Gate koło Blackpool, na które przeniósł się Dywizjon na początku 1941 roku. 3 maja 1941 roku Autor wspomnień został skierowany na kurs instruktorski (C.F.S. 23 War course) i po jego ukończeniu został wysłany do Hucknoll jako instruktor.

W wyniku starań uzyskał zezwolenie na powrót do Dywizjonu 307. W tym czasie (28 czerwiec 1941 rok, parę dni po inwazji Niemców na Rosję) Dywizjon stacjonował na lotnisku Clyst Honiton w pobliżu Exeter. Miasto Exeter miało w swoim herbie takie samo motto jak Lwów „Semper Fidelis”. Może dlatego nawiązała się szczególna przyjaźń pomiędzy mieszkańcami tego miasta a przybyszami z dalekiej Polski.

1 sierpnia 1941 roku dotarła do Autora wspomnień pierwsza wiadomość o rodzinie, że Matka, Rodzice Matki i siostra 13 kwietnia 1940 roku zostali wywiezieni z Wołynia na Syberię.

W drugiej połowie sierpnia otrzymali samoloty Beaufightery i mogli rozstać się z Defiantami. 10 września odbyło się święto Dywizjonu – w pierwszą rocznicę jego utworzenia. Dowódcą Dywizjonu był w tym czasie S/L pilot Jerzy Antonowicz (zginął 23 października).

11 listopada odwiedził Dywizjon Prezydent Wł. Raczkiewicz. Od 22 grudnia odbywali liczne loty na Beaufighters. Autor wspomnień latał z obserwatorami: H. Łepkowskim, J. Mika, J. Skorouba, T. Sliwak, ale najwięcej lotów odbył z radioobserwatorem Henrykiem Gajewskim. Latali w nocy i w związku z tym przyjęła się nazwa „Lwowskie Puchacze”. Por. pilot Antoni Waltoś (zginął nad Francją w 1942 roku) zaprojektował metalową odznakę Dywizjonu, był to puchacz na tle półksiężyca niszczący szponami samolot nieprzyjacielski. Rozpoczął się rok 1942, kontynuacja lotów nocnych. 4 maja Niemcy bombardowali Exeter, zniszczyli centrum, ale jakimś cudem ocalała katedra. W lipcu odbył się w Oxfordzie Międzynarodowy Zlot Harcerski (Autor wspomnień był bardzo zaangażowanym harcerzem jeszcze od czasów gimnazjalnych).

5 sierpnia, kolejny lot nocny. Lecieli w kierunku Zatoki Lyme, noc była czarna, 6.VIII pomiędzy godz. 2 a 3.55. Wysoko nad nimi około 22.000 stóp pojawił się niemiecki samolot. Podeszli do niego blisko i ostrzelali. Pociśki przesunęły się po płacie w kierunku prawego silnika zapalając zbiornik paliwa. W blasku płomieni rozpoznali (bombowiec) Ju 88. Otrzymali gratulacje z ziemi zanim zdążyli zameldować.



Gen. Wł. Sikorski, 10. IX. 1942 r. na lotnisku Clyst Honiton koło Exeter, 1-szy od lewej Autor wspomnień, 2-gi Jerzy Damsz, 3-ci Beda Antoni, 4-ty ?, 5-ty Boleśław Turzański, 6-ty i 7-my ?, 8-my Henryk Gajewski

10 września 1942 roku, w dniu święta Dywizjonu, obecny był generał Wł. Sikorski, odbyła się dekoracja personelu.

11 listopada Autor wspomnień objął po odchodzącym kpt. W. Różyckim dowództwo Eskadry A w Dywizjonie 307.



Personel Eskadry, w środku siedzi Autor wspomnień

Rozpoczął się rok 1943, kolejny rok z dala od kraju i bliskich. Otrzymali nowy typ samolotów – Mosquito. Stwierdzili, że są to piękne i prawidłowo skonstruowane samoloty, ale i one kryły niespodzianki.

15 luty – 13 marca obecność na kursie informacyjnym oficerów lotnictwa w Londynie. W tym czasie ogromny niepokój budziły pojawiające się w prasie informacje o sowieckich atakach na polski rząd. 15. kwietnia Dywizjon pożegnał Exeter przenosząc się na lotnisko Fairwood Common w pobliżu Swansea. W Exeter na cmentarzu pozostały groby „Puchaczy” m.in. Dowódcy Dywizjonu maj. pil. J. Michałowskiego.

25 kwietnia do Exeter poleciała jeszcze delegacja na otwarcie wystawy rysunków i fotografii Dywizjonu 307 – otwarcia dokonała Contessa of Devon. Pieniądze uzyskane z wystawy były przeznaczone na pomoc Polakom w Rosji. Wręczono też honorową odznakę Dywizjonu i dyplom. Z lotniska Fairwood Common rozpoczęli nocne loty nad kontynent europejski. Pierwszy lot rangerowski (Ranger = samodzielne szukanie i atakowanie nieprzyjacielskich celów naziemnych) dokonał Autor wspomnień z H. Gajewskim 17/18 maja 1943 roku nad terenem Francji. Niestety w dniu 18/19 maja 1943 druga załoga, która wystartowała razem z nimi z przylądka Lizard i leciała nad terenem Francji (okolice Tierce) nie wróciła do bazy. Zginął pilot A. Dziegielewski oraz radioobserwator Adam Węgiel, który był bardzo zdolnym rysownikiem, m.in. rysunek na okładce hymnu Lwowskich Puchaczy był wykonany przez niego. Natomiast Dziegielewski był pilotem z 6-go pułku we Lwowie. Dobrze rysował też sierż.

Czesław Sanok z 6-go pułku we Lwowie. 25 maja lot nad Belgią (St. Tront) z radio-obs. S. Tabaczyńskim był bardzo trudny. Noc była ciemna, zła pogoda i ostry ostrzał nieprzyjaciela.

4 czerwca wizyta Air Marshalla, księcia Cloucestera na Lotnisku Fairwood Common. Autor wspomnień przedstawił swoją Eskadrę A, natomiast M. Lewandowski przedstawił Eskadrę B.

5 czerwca polecili na lotnisko Predannack (w pobliżu Lizard) skąd wykonywali loty nad Zatokę Biskajską. W czasie jednego z lotów 14 czerwca natknęli się na 5 niemieckich łodzi podwodnych (U-booty), które miały za zadanie niszczenie brytyjskich statków z zaopatrzeniem. W rezultacie ataku dwie niemieckie łodzie zostały poważnie uszkodzone, ale Niemcy też strzelali i samolot Autora wspomnień został trafiony w lewy silnik. Lecący za swoim dowódcą por. pilot Jerzy Pełka, aby rozproszyć uwagę nieprzyjaciela, zaatakował jedną z łodzi ściągając ogień na siebie. Należy podkreślić, że pozorował atak, bo jego działka zepsuły się i nie mógł strzelać. „Był to wspaniały człowiek, bo prawdziwych przyjaciół poznajemy w biedzie”. Natomiast Autor wspomnień musiał pokonać 476 mil na jednym silniku, ale wszyscy wylądowali pomyślnie na lotnisku Predannack otrzymując podziękowanie ze Sztabu Polskich Sił Zbrojnych i z Dowództwa Royal Navy.

19 czerwca będąc nad Zatoką Biskajską natknęli się na niemiecką latającą łódź Blohm Voss 138. W ataku udział wzięły cztery samoloty: Autor wspomnień z obserwatorem H. Gajewskim, pil. J. Pełka z obs. M. Zakrockim, pil. J. Bieńkowski i obs. Cz. Borzemski oraz załoga samolotu kanadyjskiego. W powietrzu zakotłowało się i po chwili latająca łódź zatonała.

21 czerwca, nieco na północ od granicy wód terytorialnych Hiszpanii trzy samoloty pod dowództwem Autora wspomnień (Szablowski-Gajewski, Pełka-Zakrocki, Bieńkowski-Borzemski) natrafiły na dwa transportowce niemieckie kierujące się na północ, po krótkim ataku jeden transportowiec przykryła chmura dymu. Do końca lipca kontynuowano loty nad Zatoką Biskajską.

3 sierpnia 1943 roku Autor wspomnień odszedł z Dywizjonu, pożegnał się ze swoją Eskadrą A. Po Jego odejściu dowódcą Eskadry został Jerzy Damsz. S/L Stanisław Szablowski został przeniesiony do O.T.U 54 w Charter Holl na stanowisko seniora i instruktora (OTU = Operation Training Unit – Ośrodek Szkolenia Bojowego).

Zarządzeniem, z dnia 27 października 1943 roku, L.dz.1336, Naczelnego Wodza Generała Broni Sosnkowskiego, odznaczony został Krzyżem Srebrnym Orderu Wojennego „Virtuti Militari”, a wcześniej dwukrotnie Krzyżem Walecznych.

21 grudnia został przeniesiony do O.T.U. 51 w Cranfield na takie samo stanowisko.

1944 rok Cranfield – życzenia noworoczne z malowanym obrazkiem od F. Thompsona – RAF Cranfield, ale historia sprzed roku się powtarza: „Rosja prowadzi nagonkę na nasz Rząd i na Polskę”. Z notatek widać smutek.

Wklejone wycinki z gazet angielskich dotyczące spraw polskich. Fotografia wnętrza biblioteki w Abbotsford, wklejona do notatnika i to koniec wspomnień! 6 kwietnia 1944 roku zginął w wypadku lotniczym nad hrabstwem Surrey niedaleko Weybridge, pochowany na angielskim cmentarzu wojskowym Brookwood.

Pozostał notatnik ze wspomnieniami, trochę fotografii, rysunki, trochę drobiazgów i paczka listów od przyjaciół z Dywizjonu 307, przyjaciół z lat dawnych i od znajomych angielskich, niektórych listów już nie mógł przeczytać.

Świadczą one o kontakcie z kolegami z Dywizjonu 307 oraz z przyjaciółmi z lat przedwojennych, którzy też znaleźli się w Anglii.

Wydaje się, że stanowią one interesujące odzwierciedlenie tamtych czasów i sytuacji w jakiej znalazły się poszczególne



Cmentarz Wojskowy w Brookwood

osoby. Może też ktoś jeszcze zdoła natrafić na list kogoś bliskiego. Naturalnie podam jedynie fragmenty, które wydały mi się najbardziej charakterystyczne.

– list z 24 stycznia 1944 r. z lotniska Drem od W/O pilota Jana Wisthala, donosi w nim o locie do Norwegii i o zniszczeniu na wodzie latającej łodzi niemieckiej B.V.138, pisze, że lecieli za por. pil. Zwolińskim w znacznym oddaleniu ponieważ mieli uszkodzone kółko ogonowe, jednak dzięki dobrej obserwacji Jana Woźnego dawali sobie radę. Nad morzem ponownie spotkali por. Zwolińskiego i razem pomyślnie wrócili. Moc pozdrowień od kolegów dla Pana kapitana, najserdeczniejsze pozdrowienia.

– 24 lutego 1944, Hucknall, Drogi Staszku ... zawsze to samo życie, te same zmartwienia ... wierzę, że Cię szybko spotkam w Hucknall, Cześć Dziunek

– 7 marca 1944, Skegness, Lincs, Kochany Stasiu ... jak Ci wiadomo dyon przeniósł się z Drem do Coleby. Dużo jest tutaj nowych rzeczy. Jestem tutaj sam, ale ma przyjść Mika ... Lecz to już nie ten sam dyon co był dawniej ... wojna się bardzo przeciąga ... co za wędrówka nas czeka to Bóg jeden wie ... cześć, Marian

Winicjusz Gurecki

Okruchy wspomnień Jurka Miętusa

(Przedruk z „Kuriera” nr 20, 21 1999 r. – Toronto)

Aby znaleźć się we Lwowie nie musiałem kupować biletu na samolot, odbywać długiej, męczącej podróży. Wystarczyło umówić się telefonicznie z panem Jurkiem. Dokładnie wytłumaczył mi jak dojadę najkrótszą drogą do farmy, której jest właścicielem. To zaraz za Hamilton, siedemdziesiąt kilometrów od Missis-

– 10 marzec 1944, West Mall, Kent, Drogi Staszku ... Ciekaw jestem jak Ci idzie ... Nam z Bachledą leci wszystko doskonale ... trudność polega na tym, że szkopy przestali operować. Mam nadzieję, że to się zmieni gdy łobuz księżyc przestanie tak jasno świecić ... Życzenia wszelkiej pomyślności ode mnie i od Bachledy, Twój Piotr – Piotr Ostoja-Ostaszewski

– 14 marca 1944, Polish Air Staff College, Eddleston, Scotland, Mój kochany ... wielką przyjemność zrobili mi Michalski i Zieliński, którzy dobrze się przygotowali i doskonale obaj zdali. Najlepiej udało się kandydatom z łączności, bo było cztery miejsca i czterech kandydatów ... Łączę serdeczny uścisk dłoni i pozdrowienia dla kolegów, J. Orzechowski

– 16 marzec 1944, R.A.F. Station, Uxbridge, Drogi Stachu, Nareszcie mogę Ci przesłać część długu tj. 17 funtów ... jak znacznie lżej oddycham teraz, gdy sumienie moje jest obciążone tylko pięcioma funtami ... Jestem od tygodnia u Amerykańców ... robię sobie notatki ze sprzętu radiowego używanego w Am. Air. For. ... Wpadnij kiedyś do mnie ... ściskam Cię serdecznie, Twój Witek

– marzec 1944, R.A.F. Henlow B., Kochany Stachu, Nie ciesz się, że otrzymujesz list, ale i płakać nie ma czego ... Prosiłbym o pożyczkę 6 funtów – kwestia oddawania jak następuje po dwa funty miesięcznie, wystawię czek na 1.VI., 1.V., 1.VI.1944 ... Nie gniewaj się ... Nie myśl, bardzo Cię proszę, że chcę wyzyskać Twoje dobre serce i Twoją prawdziwą przyjaźń dla mnie. Rozumiem doskonale, że proszę Ciebie o dużo ... I wiesz, że nie ryzykowałbym Twojej przyjaźni nawet dla 6 funtów ... Uściski i wybac, Leo

(Leo Kuźmicki, prawdziwy przyjaciel i wspaniały człowiek, zmarł już po wojnie w Anglii)

– 1 kwietnia 1944, Dowódca 10 Pułku Strzelców Konnych, Stasiu kochany ... Czuję się doskonale fizycznie i nawet psychicznie, gdyż nie dopuszczam do siebie wiadomości ze świata, które nie są zbyt wesołe. Pracy dużo. Tutaj długo już nie będę my. Przesyłam Ci F.5 jako ratę. Napisz o Twoich zamiarach. Ściskam Cię serdecznie, Maciej

(Major Jan Maciejowski – zginął we Francji 20.VIII.1944)

– 2 kwietnia 1944, Szrathmiglo, Kochany Staszku, Już dawno nie miałem od Ciebie wiadomości ... wkrótce żegnamy gościnnych Szkotów. Z okazji Świąt Wielkanocnych zasyłam Ci moc pozdrowień, szczęścia i zdrowia. Fotografia podpisana „Przyjacielowi z dzieciennych lat zawsze ten sam, Janusz”

– 4 kwietnia 1944, R.A.F. Heston, Serdecznie dziękuję za zaopiekowanie się moją sprawą. Paczkę na szczęście otrzymałem z czego się bardzo ucieszyłem ... doktor się kłania ... moc najlepszych życzeń, wesołych świąt – z Bogiem, Józek (Józef Szablik).

* – c.d.z Semper Fidelis wrzesień-październik 5 (52) 1999

– Sqd. Ldr. lub S/L = Squadron Leader, brytyjski wojskowy stopień RAF = major

sauga. Piękny dom, nieco w bok od drogi, otoczony bujną zieleńią drzew i krzewów. A tuż obok ogromny sad. Zastanawiałem się w opowieść o drodze, długiej i trudnej, jaką przeżył nim tutaj trafił.

Urodził się we Lwowie w roku 1930 i tam spędził szczęśliwe lata dzieciństwa. Mieszkał wraz z rodzicami przy ul. Nabelaka



Jurek Miętus z matką w Afryce

41, w dużym, ładnym, murowanym domu, którego zdjęcia oglądałem. Kamienica była własnością rodziców, ludzi na owe czasy zamożnych. Zajmowali jeden z apartamentów na piętrze, a reszta mieszkań była wynajmowana. Ojciec, Stanisław Miętus, był wicedyrektorem Banku Polskiego we Lwowie. Powodowało im się świetnie. Rodzice zabierali syna na urlopy do Krakowa i Zakopanego. Często bywał też u dziadka Maksymiliana w jego posiadłości ziemskiej Mostki niedaleko od Lwowa. Mógł tam wyhasać się do woli, jeździć konno, a także własnym małym powozikiem. Rodzice i dziadkowie nie mieli uprzedzeń społecznych. Biegał więc po całej wsi z czeredą chłopskich dzieci, a przywoływany na posiłek zapraszał ich wszystkich ku utrapieniu kucharki. Ręce załamywała ze zgrozy na widok takiej ilości umorusanych głodomorów – ale cóż było robić, gdy dziadek z dobrotliwym uśmiechem mówił „Jego koledzy, jego goście”.

W takiej atmosferze dorósł do wieku szkolnego i rozpoczął naukę w szkole im. Św. Józefa we Lwowie. W dalszym planie było wstąpienie do szkoły kadetów. Marzył by zostać lotnikiem. Miał bowiem zamiłowania techniczne, interesowały go maszyny i urządzenia mechaniczne. Gdy pewnego razu nie potrafił uruchomić sprowadzonej przez dziadka z Francji nowej maszyny rolniczej – Jurek obejrzał ją, wkręcił właściwe śruby w swoje miejsce i ruszyła!

Pani Leona, mama Jurka, była kobietą piękną i mądrą, wielkiej szlachetności i dobroci serca. Niezamożni lokatorzy ich domu często korzystali z pomocy materialnej z jej strony i odpłacali szacunkiem i miłością.

Ale nadszedł rok 1939 i wiadomo już było, że wojna jest nieunikniona. Dziadek postarał się o takie zaopatrzenie ich domowej spizarni we wszystkie artykuły spożywcze, że wystarczyłoby tego na bardzo długo. Mądry i przewidujący był pan Maksymilian. Jakże mu byli wdzięczni gdy przyszła wojenna bieda.

Pan Stanisław, ojciec Jurka, jako oficer rezerwy został zmobilizowany i wyruszył na front. Żegnając się z najbliższymi nie wiedział, że nigdy już się nie zobaczy. Wiele czasu upłynie nim dowiedzą się, że leży gdzieś tam, we wspólnej mogile w katyńskim lesie, zamordowany tak jak tysiące innych, strzałem w tył głowy.

A front był coraz bliżej, aż pewnego dnia Jurek idąc z mamą ulicami Lwowa dostrzegł niemiecki samolot, a za chwilę bomby spadły na dworzec kolejowy. Nie ze strony Niemców spaść miały jednak na nich wszystkie nieszczęścia tej wojny, lecz Sowietów, którzy niedługo po tym weszli do Lwowa. Dziadek został aresztowany i osadzony w więzieniu „Brygidki”. W strasznych warunkach jakie tam panowały zmarł wkrótce, jeszcze tej zimy. A nim przyszła wiosna, zaraz w marcu 1940 r., któregoś dnia pod ich dom zajeżdżała ciężarówka. Kilku żołnierzy, oficer i enkawudzysta, który dał im kwadrans na spakowanie się. Oficer bardziej ludzki, sprzeciwił się. „Tam gdzie oni jadą będzie im potrzebne wszystko od igły poczwąwszy” – powiedział. Dał żołnierzom rozkaz by wynosili na ciężarówkę wszystko – pościel, odzież, żywność. Dzięki temu nie cierpieli głodu ani chłodu w czasie całej podróży, która trwała miesiąc. Tak dojechali do stacji Jangestobe na Syberii – Jurek, mama i babcia. Dwieście kilometrów od stacji znajdowało się ich miejsce przeznaczenia – posesiadło Bukoń. Gdy dowiedziano ich tam, okazało się, że jest to niewielka osada i kolchoz z dużą hodowlą bydła. Zamieszkali w jednej z glinianych chat, z których składała się osada. Wiosna i lato na Syberii trwa krótko i jest okresem gorączkowych przygotowań do przetrwania kolejnej zimy. Jurek trafił do produkcji kiziatu. Nawóz bydła, sieczkę i wodę miesza się dokładnie brodząc w tym bosymi nogami. Następnie formowany w kostki schne na słońcu, a zimą stanowi podstawowy materiał opału do ogrzewania chat. Gdy szukano woźnicy, zgłosił się mówiąc, że umie powozić. Dostał olbrzymią belkę na dwóch kołach zaprzęzoną w dwa byki i polecenie dowożenia wody z rzeki. Już nad rzeką okazało się, że nie będzie to łatwe. Do nabierania wody miał duże drewniane ciężkie wiadro. Zbyt ciężkie dla dziesięcioletniego chłopca, by dźwigać w nim wodę po piaszczystej pochyłości brzegu na równy teren, na którym stał zaprzęg. Sprytny lwowski chłopak poradził sobie. Obejrawszy beczkę dokładnie znalazł w jej spodzie wbity szpunt. Wyjął go i wjechał zaprzęgiem do wody. Beczka powoli tonąc napelniała się wodą. Wystarczyło teraz dać pod nią nurka i zacząć opłakiwać. Byki, dźgnięte ostrym kijem w podogonie wyrwały z kopyta i w mgnieniu oka zaprzęg był na równej drodze. Zaskoczył wszystkich szybkim powrotem. Sam komendant za którymś razem poszedł nad rzekę podpatrzeć jak on to robi.

Lato się skończyło i przyszła ciężka syberyjska zima, śnieg, mróz i wiatr. Gdy wiał burian, światła widać nie było. Żeby wyjść kilkadziesiąt kroków na zewnątrz należało przywiązać do drzwi długi sznurek, a jego drugi koniec trzymać w ręku. Bez niego można byłoby zabłądzić i zamarznąć w zadyńce o krok od domu.

Aby przeżyć sprzedawali wszystko co można było ze swego dobytku. Mama słała listy do Lwowa i nawiązała kontakt z wujkiem Jurka, dr. Maksymilianem Seidlerem. Wujek przewidując, że wszystko co zostało wartościowego i tak przepadnie pod sowieckim panowaniem, wyprzedawał co się dało. Słał im paczki i pieniądze. Było teraz nieco lepiej.

Tak doczekali wybuchu wojny niemiecko-sowieckiej. Wojska Hitlera szybkim marszem posuwały się w głąb Rosji. Któregoś dnia oznajmiono im, że są wolni i mogą stąd wyjechać. Zabrali się ciężarówką odwożącą do stacji kolejowej skrzynię z masłem produkowanym w miejscowej mleczarni. W Jangestobe wykupili bilety do Alma-Aty. Wagon nr 6, do którego mieli wsiąść, znajdował się tak daleko od budynku stacyjnego, że nim tam dobiegli – pociąg już ruszył. A przejeżdżał wtedy tylko raz na dobę, zatrzymując się na chwilę. Po czterech dniach bezskutecznych prób zainteresował się nimi zawiadowca stacji. Właściwie to wprawdzie ciekawość jego wzbudził posiadany przez nich budzik. Tak mu się spodobał, że dali mu go w prezencie, a on obiecał, że wsadzi ich do najbliższego

pociagu, do tego nieuchwytnego wagonu nr 6. Słowa dotrzymał. Jeszcze tylko dwa tygodnie podróży i byli w Alma-Acie.

Do formującej się Armii Polskiej pod dowództwem gen. Andersa przyjmowano także kobiety do służb specjalnych. Mama Jurka nie miała problemu. Ale babcia nie nadawała się do wojska, a ostatnimi czasy miała kłopoty ze zdrowiem. Z Alma-Aty musieli wyjechać. Podróż do Czimkentu trwała półtora tygodnia. Tam stan zdrowia babci pogorszył się i zmarła. Mama zrozpaczona, dokonywała cudów by ją pochować w trumnie. Udało się jej zdobyć wreszcie jakieś deski, ktoś zbił trumnę. Babcię pochowano jak polski i katolicki obyczaj nakazuje. Zrobiło się jeszcze bardziej smutno i beznadziejnie.

Ale los sprawił, że spotkali kolegę ojca, który był już wcielony do Armii Polskiej i nosił mundur kapitana. Radość była ogromna, a to spotkanie zaważyło na dalszych ich losach. Kapitan ów poświadczył bowiem, że ojciec Jurka opuścił ZSRR poprzednim transportem, więc oni muszą zabrać się najbliższym by gdzieś tam dotrzeć do niego. I tak się stało. Pani Leona dostała przydział do służby sanitarnej. Wyruszyli pierw do Krasnowodska, a stamtąd statkiem do Persji, do Pahlawi, skąd do Teheranu przewieziono ich ciężarówkami. Znaleźli się w obozie nr 1. Tam Jurek wstąpił do harcerstwa i został junakiem. Jego mama pracowała jako pomoc medyczna. Prócz wojska dużo było rodzin polskich, kobiet z dziećmi, którym udało się opuścić ZSRR. Należało gdzieś ich umieścić, stworzyć warunki do przetrwania tej wojny z dala od pól bitewnych. Dlatego następnym etapem była podróż do Karaczi, długa i męcząca. Tam w porcie wsadzono ich na statek, którym popłynęli do afrykańskiego portu Mombasa na wschodnim wybrzeżu Afryki. Płynęli w towarzystwie kilku tysięcy takich samych jak oni tułaczy nie wiedząc gdzie tej wędrówki kres. Z Mombasy przewieziono ich do Kampali na zachodnim brzegu jeziora Wiktorii. Tutaj Jurek rozpoczął naukę w szkole ogólnokształcącej. Sam z własnej woli chodził prócz tego na kursy techniczne, gdyż zawsze miał do tego zamiłowanie. Tak dotrwali do końca wojny. Należało zdecydować co dalej. Do Lwowa wrócić nie można. Zabrali go Sowietci. Ojciec nie żyje. Wujek uciekając przed bolszewikami znalazł się w Krakowie i przetrwał wojnę. Ale teraz bolszewicy są także w Polsce. Zbyt wiele krzywd rodzina Miętusów doznała z ich strony, zbyt dobrze ich poznała by dobrowolnie wracać do zniewolonej Ojczyzny. W 1946 r. zaistniała możliwość wyjazdu do Australii, ale tylko dla Jurka. Mama skłonna była wracać do Polski i zamieszkać z krewnymi w Krakowie. Ale Jurek nie zgadza się na rozstanie, nie chce żeby Mama wracała pod bolszewicką okupację. Czekają dalej w Kampali. W 1949 r. jest nowa komisja, otwiera się nowa szansa wyjazdu. Tym razem do Kanady. Jurek zakwalifikował się bez problemu. Mama mogła pojechać dzięki temu, że

jej pełnoletni już teraz syn podpisuje zobowiązanie, że Mama pozostaje na jego utrzymaniu.

Wyruszają do Mombasy, a stamtąd statkiem „General Black” przez Port Said, Bejrut, Neapol na Ocean Atlantycki. W Neapolu cumują obok statku handlowego, na którego maszcie powiewa polska bandera. Nawiązują z załogą rozmowy. Odpływają patrząc na tę polską banderę. Kilka tysięcy bezdomnych od kilku lat tułaczy szukających swego miejsca na ziemi. Mijając Gibraltar „General Black” salutuje flagą miejsce tragicznej śmierci generała Sikorskiego. A potem wejście do Halifaxu. Na statku jest dużo polskiej młodzieży. Okazuje się, że bezduszni alianci postanowili dziewczęta pozostawić w tym miejscu. Chłopcy jadą do Toronto. Rodzeństwa, którym los każe się rozstać na progu nowego życia w ziemi obiecanej. Jeszcze jedno bolesne przeżycie. Jurek z mamą trafiają do Ajax. Znajdują oboje pracę w dużym hotelu. Sprzątanie pokoi, palenie w kotłowni, pomoc w kuchni i restauracji. Pracy jest dużo. Jurek młody i zdrowy daje sobie radę i pomaga mamie, której jest nieco trudniej sprostać zbyt wielu narzucanym z czasem przez właściciela obowiązkom. Odcichają oboje, Jurek znajduje inną pracę. Przechodzą różne koleje losu, ale szczęście im sprzyja. W ciągu minionych, od chwili przyjazdu do Kanady, pięćdziesięciu lat Jurek zdążył się ożenić, wychować dzieci i doczekać wnuków. Dorobić się własnej farmy dającej spory dochód zapewniający dostatnie życie. Ale wymagającej także nieustannej pracy i troski. Niedziela na wsi nie jest dniem odpoczynku. Minęły lata znaczone radością, ale i smutkiem. Zmarła Mama, którą do końca darzył wielką miłością i szacunkiem. Zmarł także w Krakowie prof. dr Maksymilian Seidler, wujek, z którym Jurek zdążył się jeszcze tuż przed śmiercią zobaczyć. Zostały tylko te noszone w duszy przez lat dziesiątki wspomnienia, którymi się ze mną podzielił i album z fotografiami, rodzinny relikwiarz. Te robione jeszcze przed wojną na Kresach, a także w czasie kilkuletniej wędrówki od kraju do kraju, od obozu do obozu. Wędrówki znaczone grobami najbliższych i przyjaciół. Zdaję sobie sprawę, że nie potrafię oddać piórem właściwej atmosfery wydarzeń. Nie zmrozę czytelnika lodowatym podmuchem syberyjskiej zimy, nie buchnę nań gorącym oddechem Afryki. Nie da się w jednym artykule zamknąć bogatej w przeżycia księgi życia jaką jest biografia pana Jerzego Miętusa. Jednego z nas, polskiego emigranta. Pisząc o nim dotknąłem zaledwie tematu gehenny wszystkich kresowiaków, która zaczęła się 17-tego września 1939 r. napaścią Sowieckiej Armii Czerwonej na Polskę.

W sześćdziesiąt rocznicę tego wydarzenia, gdy MSZ Rosji oficjalnie oświadcza, że żadnej napaści nie było, że to oszczerstwo – chcąc znać prawdę zapytajcie o nią bohatera niniejszego opowiadania. On pamięta. □

czówny i zgodnie z przepisami odbyłem na przełomie czerwca-lipca obóz Przysposobienia Wojskowego w Pasiecznej. Była to wielka przygoda. Dojazd na miejsce następował koleją przez Stanisławów do Nadwórnej, skąd kolejką leśną dojeżdżało się do Pasiecznej. Była to wioska obok starej huty z licznymi kopalniami ropy naftowej nad Bystrzycą Naddworską. We wsi znajdował się cmentarz z masową mogiłą legionistów, poległych w I wojnie światowej. Mieszkaliśmy w kilkunastoosobowych namiotach wojskowych, a całe życie toczyło się na zewnątrz, bo cały czas panowała piękna pogoda. Wojskowe wyżywienie było dobre, tak że mogliśmy nadmiar produktów, przede wszystkim chleba, wymieniać na jagody i owoce przynoszone pod obóz przez dzieci huculskie, zabiedzone i niedożywione.

Na obozie przechodziliśmy normalne szkolenie wojskowe, z którego pamiętam kilka alarmów i marszów nocnych. Najbardziej lubiliśmy strzelanie, rzecz jasna ślepą amunicją. Jako młodzi i głupi wymyśliliśmy jednak niebezpieczną zabawę. Ponieważ teren ten był widownią ciężkich walk w I wojnie światowej, ziemia była pełna pocisków karabinowych. Zbieraliśmy metalowe końcówki pocisków i wymienialiśmy na nie nasze drewniane końcówki służbowej amunicji. Strzelanie taką amunicją było bardzo emocjonujące, ale niebezpieczne. Na szczęście nasza głupota nie spowodowała tragedii.

Jednej niedzieli cały obóz wziął udział w wycieczce kolejką leśną do Rafajłowej, a następnie pieszo do Przełęczy Rogodze, nazywanej błędnie Pantyrassem, a przemianowanej na Przełęcz Legionów. Tędy w czasie I wojny światowej 3 pułk piechoty Legionów zbudował drogę wozową dla stworzenia komunikacji Galicji z Węgrami, a praktycznie z całym światem. Na tym obniżeniu grzbietu Karpat umieszczono krzyż pamiątkowy z napisem, ułożonym przez „domorosłego” poetę:

*Młodzieży polska, patrz na ten krzyż,
Legiony polskie dźwignęły go wzwyż
Przechodząc góry, lasy i wały
Dla Ciebie Polsko i dla Twej chwały.*

W czasie szkolenia wspomniano już o ewentualnej wojnie, uczyliśmy się rozróżniania samolotów, swoich i niemieckich oraz odbywaliśmy służby obserwatorskie obrony przeciwlotniczej. Nastrojów junaków był wspaniały. Nikt nie dopuszczał myśli o polskiej klęsce, zgodnie z ówczesną propagandą rządu, ucieleśnioną w hasłach: „Silni, zwarci, gotowi” i „Nie oddamy ani guzika”.

Po powrocie z obozu wyjechałem z kolegą z klasy, Januszem Gutowskim, 12 lipca do Radomia na wakacyjną praktykę mechaniczną w Warsztatach PKP. Była to druga przygoda życiowa, gdyż poculiśmy się prawie dorosłymi, sami musieliśmy wynająć mieszkanie i zagospodarować się w obcym środowisku. Robotnicy miejscowi przyjęli nas przychylnie, a praca była bardzo ciekawa, bo obsługiwaliśmy maszyny do obróbki metali (tokarki, frezarki, szlifierki). Powoli nastrój wakacyjny zaczął się psuć, bo narastało niebezpieczeństwo wojny. Przez Radom przechodziły liczne transporty wojskowe, a najbardziej o wojnie z obawą mówili robotnicy posiadający własne domki. Bali się bombardowań, w czym celował nasz opiekun, stary tokarz Dudek. Mimo tych nastrojów, jak to młodzi, nie myśleliśmy o najgorszym, o czym świadczy fakt, że mając prawo, jako praktykanci, do bezpłatnego biletu kolejowego, wyrobiliśmy sobie 24 sierpnia bilet na trasie Radom-Kraków-Zakopane. Nie zaliśmy obaw Zakopanego, więc nas tam ciągnęło. Niestety w następnych dniach sytuacja się zaogniła, co zmusiło nas do rezygnacji z wycieczki i postanowiliśmy jak najszybciej wrócić do domu. Wyjechaliśmy z Radomia 30 sierpnia i po długich postojach 31 sierpnia wieczorem wysiedliśmy na Dworcu Głównym we Lwowie.

Rano 1 września zbudziły nas wybuchy bomb, zrzuconych na lotnisko w Skniłowie oraz najbliższą okolicę Al. Focha, ul. Gródeckiej, Krótkiej, Głowackiego. Mieszkaliśmy w Domach Kolejowych przy ul. Gródeckiej 135 naprzeciw Dworca Czerniowieckiego, a więc w samym centrum działań nieprzyjaciela. Gdy wyszedłem z domu widziałem trupy na Al. Focha, nakrywane przez przechodniów gałęziami. Na wezwanie władz, aby zgłaszać się do pracy na miejscach zmobilizowanych do wojska, zgłosiłem się jako począt-

kujący technik do Warsztatów Kolejowych. Biuro techniczne, w którym pracowałem znajdowało się blisko Dworca Głównego i cały czas odczuwało się bombardowania obiektów kolejowych. Dnia 9 września Niemcy przeprowadzili zmasowany atak lotniczy na Lwów. Szczególnie ucierpiały Dworzec Główny i towarowy Czerniowiecki, a także nasze warsztaty. Bombardowanie przetrwaliśmy w rowach przeciwlotniczych, wykopanych przed budynkiem dyrekcji, gdyż żadnych innych schronów nie było. Z kilkogodzinnego siedzenia w rowie pamiętam epizod dramatyczny. Otóż w pewnej chwili do rowu wskoczyło kilku polskich żołnierzy. Bardzo zbulwersowani opowiadali, że stanowili obsługę karabinu maszynowego na dachu Dworca i podmuchem wybuchającej bomby zostali zrzucony na ziemię, bez żadnych obrażeń. Zjechali jak na poduszcze powietrznej. Nie chcieliśmy w to wierzyć, ale naprawdę tak było.

Straty poniesione 9 września ograniczyły działalność warsztatów, a w następne dni 10 i 11 powtarzały się naloty. 12 września po południu kolumna niemiecka znalazła się pod Lwowem i rozpoczęła atak, dochodząc do rejonu Domów Kolejowych. Natarcie zostało odparte, ale ogarnęła nas groza bezpośredniego zagrożenia. Pojawiły się nawet głosy, aby mężczyźni opuścili miasto (podobnie jak w Warszawie), ale równocześnie usłyszeliśmy, że formują się ochotnicze oddziały obrony Lwowa. Po naradzie z ojcem zgłosiłem się z bratem Janem do punktu werbunkowego w szkole im. Marii Magdaleny. Wśród zgłaszających najwięcej było studentów w mundurkach Przysposobienia Wojskowego, kadeków, harcerzy i trochę starszych niepowołanych do armii. Pamiętam też podchorążego, akademika studiującego w Paryżu, który przyjechał na wakacje do Polski, a nie mając powołania do wojska zgłosił się na ochotnika.

Kilka dni przechodziliśmy podstawowe przeszkolenie z bronią, którą stanowiły zabytkowe karabiny z I wojny światowej typu Lebella. Cały czas przeżywaliśmy bombardowania lub ostrzał artyleryjski. Pociski dotknęły nawet samej szkoły i mieliśmy 3 zabitych oficerów i kilku rannych junaków. W bezpośrednim sąsiedztwie szkoły zginęło też kilku cywilów, mieszkańców okolicznych domów, którzy wyszli po wodę do studni. Ja z bratem zostałem wcielony do 6 kompanii II batalionu I Grupy Obrony Lwowa, którą przeniesiono na kwaterę do IV Gimnazjum przy ul. Nikorowicza 2. Moja drużyna zajęła gabinet fizyczny. Spaliśmy na stołach laboratoryjnych, co oprócz twardości miało tę niedogodność, że pewnej nocy bliskie bombardowanie spowodowało, że pospadaliśmy na podłogę. Nie dostaliśmy ani koców, ani żadnego wyposażenia wojskowego, poza wspomnianymi już karabinami. Dopiero przed wyjściem na front wymieniono nam je na nowiutkie polskie karabiny Mauser, a poza tym otrzymaliśmy kilka lekkich karabinów maszynowych z nakładanymi okrągłymi tarczami nabojowymi.

Na front wyruszyliśmy chyba w poniedziałek 18 września o godz. 11.00. W czasie marszu przekroczyliśmy kilka linii obronnych, obsadzonych przez wojsko. Pamiętam, jak żołnierze śmiali się i żartowali z nas gdyż wyglądaliśmy śmiesznie w różnych uniformach i czapkach. My z bratem mieliśmy granatowe maciejówki gimnazjalne. Doszliśmy na pierwszą linię obrony za rogatką Zamarstynowską wieczorem i pod ogniem artylerii niemieckiej okopaliśmy się przed budynkiem drożdżowni. Przeleżeliśmy na stanowiskach całą noc w ogromnym chłdzie i wodzie. Żeby nam szczekały jak karabin maszynowy, a głód doskwierał, bo nie dowieziono nam jedzenia. Zjadaliśmy jedynie pomidory, które jesz-

Konrad Sura

Mój lwowski rok 1939

Urodzony we Lwowie w r. 1921 dochodziłem w tym roku do wieku 18 lat, a więc byłem prawie dorosłym człowiekiem. Orientowałem się już w zawiłościach stosunków światowych, przeżuwałem narastające konflikty, ale wychowany w optymistycznej propagandzie polskiego rządu, prasy i szkoły, jak większość społeczeństwa nie przewidywałem katastrofy i sądziłem, że spokojnie przejdę przez ten rok.

Skończyłem akurat I klasę Liceum Mechanicznego przy ul. Snopkowskiej, przemianowanej wtedy na ul. J. Karłowic-

cze rosły w ogrodzie. Dopiero na drugi dzień pod wieczór dostarczono nam bańkę wojskowego gulaszu. Nie mieliśmy go jak jeść, bo nie mieliśmy ani menażek, ani sztućców. Byliśmy jednak tak głodni, że zjadaliśmy gulasz od spodu, czerpiąc go brudnymi rękami z bańki. Przez kilka lat potem opowiadałem w domu i wśród znajomych, że nigdy nie jadłem posiłku z większym apetytem i nigdy potem nic mi tak nie smakowało. I była to święta prawda.

Przed południem 20 lub 21 września nasza kompania otrzymała rozkaz natarcia na pozycje niemieckie, usytuowane przed nami na cmentarzu za nową pływalnią miejską. Atak przeprowadziliśmy dość chaotycznie, znając jego zasady tylko z obozu PW i krótkiego szkolenia. Posuwając się do przodu natrafiliśmy na silny ogień nieprzyjaciela z karabinów maszynowych dwóch czołgów. Ogień był tak zmasowany, że leżąc płasko na ziemi widziałem nad sobą zlocistą smugę pocisków. Atak nasz rzecz jasna nie odniósł powodzenia, bo trudno było z naszym uzbrojeniem zdobyć czołgi. Kompania między grobami cmentarza i przez pływalnię wycofała się na poprzednie pozycje. Wśród naszych junaków było kilku lekko rannych, w tym nasz kapral, niskiego wzrostu, starszy już wiekiem, ranny w pierś. Nazwiska niestety nie pamiętam.

Nie zaliśmy wówczas ogólnej sytuacji wojennej, chcieliśmy tylko bronić swe rodzinne miasto. Teraz na podstawie fachowych opracowań mogę zrozumieć sens naszego ówczesnego działania. Potwierdza to książka ppłk. dypl. Kazimierza Rzyńskiego (Ryś), szefa sztabu obrony Lwowa pt. „Obrona Lwowa w roku 1939” wydana w Palestynie w r. 1943 przez Sekcję Wydawniczą Armii Polskiej na Wschodzie, a także opracowanie Wojciecha Włodarkiewicza pt. „Obrona Lwowa 1939” wydana przez Bellonę w r. 1994 w serii Bitwy Polskie. Z tych relacji widać ogólną sytuację oblężonego miasta. W nocy z 18 na 19 września do wschodnich przedmieść Lwowa dotarły pierwsze sowieckie oddziały pancerne i zmotoryzowane. Mimo tego gen. Langner postanowił trwać w obronie, a nawet przeprowadzać akcje zaczepne. 19 września w mieście słychać było kanonadę artyleryjską z lasów Brzuchowickich, co świadczyło, że dywizje gen. Sosnkowskiego usiłują przebić się przez linie niemieckie do Lwowa. Gen. Langner zdecydował się na natarcie 15 dywizji piechoty płk. Szafrana na Zamarstynów i Hołosko Małe, aby utorować drogę przebijającym się dywi-

zjom. Natarcie nie przyniosło powodzenia, gdyż Niemcy posiadający czołgi byli silniejsi, a poza tym jeszcze konkurowali z Sowietami o zajęcie Lwowa. Sądzę więc, że nasza akcja zaczepna była elementem strategii gen. Langnera.

21 września kompania moja została wycofana z frontu do kwatery w IV gimnazjum. W trakcie marszu odwrotowego spotykaliśmy nadchodzące oddziały gen. Sosnkowskiego, który w tym czasie przełamał linie niemieckie. Nastroje w kompanii nie były najlepsze, a ja jeszcze dodatkowo byłem bardzo chory. Wspominałem już, że nie mieliśmy ciepłych mundurów ani kocy, a noce były już bardzo zimne. Przeziębilem się i dostałem wysokiej gorączki. Rano 22 września, wobec mego stanu, dostałem kartę urlopową na dwa dni tj. do 24 września godz. 12.00 z zezwoleniem udania się do domu. Kartę tę posiadam do dnia dzisiejszego i analizując ją, dziwię się, że decyzja o urlopie powołuje się na decyzję lekarza, a ja żadnego lekarza nie pamiętam. Podany w karcie okres urlopu świadczy o tym, że dowództwo batalionu nie знаło sytuacji w mieście i nie przypuszczało, że może nastąpić kapitulacja. Z kartą w ręku udałem się do domu. Koło południa gruchnęła wiadomość, że nastąpi kapitulacja, więc ja mimo gorączki pobiegłem do swego oddziału i zastałem tam rozpacz, bo mieli już rozkaz złożenia broni. Przystąpiliśmy natychmiast do niszczenia tych naszych nowiotkich karabinów przez wymontowanie zamków i wrzucenie ich do kanału. Wiedzieliśmy, że nie powinna dostać się w łapy bolszewików. Wracając do domu widzieliśmy wielu płaczących żołnierzy, a nawet oficerów.

Nie warto w tym miejscu opisywać naszych ówczesnych nastrojów, gdy zobaczyliśmy armię sowiecką, brudną, śmierdzącą, w szarych obszarpanych u dołu szynelach, dziwnych czapkach „budionówkach”, z karabinami na sznurkach, z cienkimi, długimi bagnietami „sztykami”. Mówiąc jednak prawdę nikt nie zdawał sobie sprawy z tego co zdarzy się wkrótce, że nastąpią tak brutalne eksterminacje Polaków, więzienia, zsyłki, łagry, Starobielsk, Charków i Katyń, a w końcu, za przyzwoleniem zachodnich aliantów, wyrzucenie pozostałej reszty z ich ziemi rodzinnej.

Czytelnicy „Semper Fidelis” znają to z własnych przeżyć i losów swoich rodzin. Pragnę tylko przypomnieć, że wspomnienia o pierwszych doświadczeniach młodzieży polskiej w zetknięciu z reżimem sowieckim ogłosiłem w „Semper Fidelis” nr 1 (30) z stycznia-lutego 1996. □

Władysław Kopacz

Wspomnienia z Obrony Lwowa Wrzesień 1939 r.

Dwadzieścia trzy dni w obronie miasta Lwowa i jego okolic w wojnie obronnej we Wrześniu 1939 roku, to okres bardzo krótki, ale i zarazem wystarczająco długi, by w tym czasie coś ciekawego się zdarzyło.

I w zależności od tego, kto z nas byłych uczniów ze Szkoły Podoficerskiej Piechoty nr 2 ze Śremu z drugiej kompanii szkolnej, na tamte dni dziś spojrzę, to każdy w swej jednostce wojskowej miał chwile – lęku, trwogi, zadumy – inaczej je przeżywał, zapamiętał i po swojemu opowie mimo, że razem w czwórce, drużynie, plutonie i kompanii szedł lub szli do boju, ataku, na zwiad, bądź bronili wyznaczonych stanowisk ogniowych, względnie cierpliwie wycze-

kiwali aż wróg bliżej podejdzie by z karabinu, granatnika, moździerza, armatki p.pancernej dać ognia lub poczęstować go granatem.

Chociaż byliśmy małą jednostką Wojska Polskiego w sile 126 słuchaczy zaliczeniem pierwszego roku nauki w SPP nr 2 ze Śremu, województwo poznańskie (Szkoła była podporządkowana Departamentowi Piechoty Wojska Polskiego) – to jednak w niektórych okresach czasu bywało różnie, albowiem nasza kompania, z dniem 1-go września 1939 roku, została wcielona – po ewakuacji ze Śremu – do Ośrodka Zapasowego 5-tej Dywizji Piechoty we Lwowie.

Wstęp:

W dniu 24-go sierpnia 1939 roku byliśmy jeszcze na urlopie wypoczynkowym i tego dnia około godziny pierwszej w południe – w domu rodzinnym Bochni-Dołuszcach, województwo krakowskie – moja Matka otrzymała od listonosza telegram. Krzyknęła do nas, chłopcy do obiadu, bo gotowy, a po obiedzie, który w tym dniu wyjątkowo nam smakował, podała nam telegram o treści:

Przerywam urlop – wracać natychmiast „Komendant Garnizonu p.płk. Wilh. Popelka”.

I matula dodała, ubierajcie się i pakujcie. Ojciec za kilka minut powinien przyjść z kopalni, to na stację PKP was odprowadzi. Niedaleko, tylko sześć kilometrów na piechotę ... to był taki maleńki spacer.

O tym fakcie, że urlop może nam być w każdej chwili przerywany, wiedzieliśmy z bratem Antonim z pierwszej kompanii, albowiem pan ppłk. Wilhelm Popelka Komendant SPP nr 2 – dziękując nam: pierwszej, drugiej i czwartej kompanii za żołnierską postawę na obozie ćwiczebno-bojowym w Nowosielskiej Wyższej powiat Dolina województwo stanisławowskie i dobre wyniki w szkoleniu, dodał jakby na zakończenie, że „spokojnego urlopu nam nie może zapewnić”. Że w każdej chwili możemy być wezwani do powrotu do koszar ... oraz, zalecił: by od swych miejsc zamieszkania nie oddalać się zbyt daleko, mieć ciąglą łączność z żandarmerią wojskową lub pocztą. I tak to na zmianę z moim starszym bratem chodziliśmy codziennie rano i wieczorem po wiadomości do miasta, te 8-9 km drogi tam i z powrotem.

Gdy tak trochę nerwowo na ojca wyczekiwaliśmy – z odległego o 20,5 kilometra Kobylca-Łapanowa, gościńcem już do nas szedł Kaziu Piechnik. Do odjazdu pociągu mieliśmy trochę czasu, więc Kaziu odpoczął. Jesteśmy już we trójkę. Na dworcu PKP Bochnia niecierpliwie na nas wyczekiwał Stefek Olszewski. My Bochniacy jesteśmy w komplecie. Po chwili, o tej popołudniowej porze dnia, wsiadamy do pociągu do Krakowa. Żegnamy się z Ojcem, kuzynkami, druhnami i druhami z Sokoła, Strzelca. Pociąg ruszył.

Kraków, tu z różnych okien wagonów poznajemy wyglądających swoich kolegów, zbieramy się do jednego. W Katowicach nie było już tak wesoło jak w Bochni i Krakowie. Tu wyczuwało się inną atmosferę, tu coś w powietrzu wisiało. Był taki niepokój, nerwowość, senna, zaduch ze spalin i dymów parowozów. Do odjazdu pociągu do Poznania mieliśmy trochę czasu, to na małą chwilę wpadliśmy do pobliskiego baru Okocim, nie na piwko, a na lody.

Do naszej grupki krakusów, ślązaków, rzeszowiaków czy też Podolan ze Lwowa, Tarnopola i Stanisławowa podeszła dostojna Dama i po krótkiej z nami pogawędce za te wszystkie porcje lodów zapłaciła, bo jak nam oświadczyła – wielce Jej do serca przypadliśmy – i tej przyjemności odmówić sobie nie mogła. Wszyscy po kolei ucałowaliśmy Ją w koniuszki palców prawej ręki, na znak, że dziękujemy za lody. Odprowadziła nas na peron dworca PKP do stojącego już pociągu do Poznania. I o dziwo, udzieliła nam pewnej żołnierskiej rady, co i jak mamy czynić, gdyby w momencie zbliżania się naszego „pośpiechu” do linii granicznej z Niemcami ktoś ostrzelał nasz pociąg. Dodała też, uważajcie panowie podchorążowie, nie tylko na siebie, ale i na dzieci i na każdego podejrzanego cywila.

Tu pełno przebranych żołnierzy niemieckich, chodzą po cywilnemu, są uzbrojeni. Pilnie też baczcie na perony i pola, mimo, że to już noc.

Po tych i innych słowach ze łzami w oczach pożegnała nas, przedstawiając się hrabina..., ale dokładnie nazwiska nie zapamiętaliśmy, gdyż płacz i lamenty żegnających się podróżnych oraz szum i sygnały przejeżdżających lokomotyw zagłuszyły te Jej ostatnie słowa.

Kiedy i mnie jako ostatniego żegnała przytulając do siebie, to ten przyjemny zapach perfum zawiozłem nie tylko do koszar w Śremie, ale i do Lwowa, i po dziś dzień po tylu latach czuję tę delikatność, tę wspaniałą kobiecość. Hej Górale i Krakowiacy, Lwowiacy i Podolanie, Ślązacy ... czy pamiętacie tę Panią?

Ale pociąg mknął jak szalony, a w głowie ten zawrót od perfum, łzy w oczach, niemal wszystko wirowało dokoła. Mimo tej przed chwilą czułości, pomni ostrzeżeń Pani Dobrodziejki, jak na żołnierzy ze Śremu przystało, podzieliliśmy się na kilka grup przy każdym wejściu do wagonu. A po minięciu najbliższego przejazdu, tuż obok granicy z Niemcami, wróciliśmy do swych przedziałów.

Świt dnia zastał nas na terenie Wielkopolski i do Śremu tylko jeszcze jedna przesiadka w Mieszkowie i koszary w Śremie. Zameldowaliśmy się kolejno wszyscy, we wszystkich trzech kompaniach: w pierwszej, drugiej i czwartej. Wielu uczniów już wcześniej przed nami przybyło, po czym zgłaszały się liczne grupy z dalszych stron Polski już wieczorem bądź w nocy, a niektórzy następnego dnia lub później.

Kapiel, śniadanie i różne czynności porządkowe, a po obiedzie pełne pogotowie, jakby wojenne. W pierwszym i następnym dniu zauważyliśmy, że wśród nas nie ma dowódców kompanii, plutonów i drużyn. Są tylko nieliczni, raczej z kierownictwa administracyjnego, i mało widoczni.

Na dziedzińcu koszarowym ognisko, z budynku dowództwa SPP nr 2 wynoszą jakieś papiery, dokumenty, dużo tego, i palą je. To potęguje atmosferę, zdziwienie. Trzeciej kompanii nie widać, w ich bloku pustka, tak chyba od kwietnia br. Domyślamy się, że nasza Szkoła Podoficerska jest w pośpiechu przygotowywana do likwidacji? ewakuacji? Każdego z nas ogarnia dziwna w uczuciu trwoga, czyżby strach? Ktoś nam mówi, że pan Komendant Szkoły ppłk. Popelka jest chory. W koszarach go nie widać.

Znów cichy alarm i pogotowie bojowe, wydano nam ostrą amunicję i – wymarsz kompaniami w kierunku Dołska, potem – Manieczek, jakby w stronę zachodnią i na Czempin, a następnie w kierunku Kórnik. Wieczorem powrót, zmiana warty i decyzji. Nasze przyszłe stanowisko zajmują inne jednostki pułkowe i z mobilizacji.

Na razie dowodzi i nadzor nad koszarą SPP nr 2 sprawuje żandarmeria wojskowa. Porucznika żandarmerii też słuchamy. Jutro skoro świt odjazd. W nocy załadunek skrzyń i jakiegoś wyposażenia z naszej SPP nr 2. Wagony maskować gałęziami. Pojedziecie na tyły. Tu na pierwszej linii pozostajemy my. Służba czynna i rezerwa. Armia Pożnań. A Wy?

Istotnie, część naszego szkolnego wyposażenia była nocą załadowana do wagonów towarowych, obok stoją wagony osobowe 3-iej klasy. Następnego dnia 28.VIII.1939 roku, dobrym świtem dnia, pobudka, śniadanie, wymarsz do kościoła na mszę świętą, spowiedź ogólna i komunია święta, krótkie kazanie kapelana wojskowego i błogosławieństwo na drogę wojenną. Małe ślubowanie: „Tobie Ojczyzno”, „Boże coś Polskę” i „Nie rzucim Ziemi skąd nasz ród”, śpiewamy. Niejedna łza w oczach. Nadchodzi wojna.

Żaładunek do wagonów jeszcze kilku drobiazgów i my kompaniami do wagonów osobowych 3-iej klasy. Jako ostat-

ni do tego pociągu wsiadł podobno Komendant Garnizonu p.płk. Wilhelm Popelka, a w sąsiednim wagonie jakieś osoby cywilne, z dziećmi.

Pociąg powoli ruszył na wschód, a my po chwili... „żegnaj nam nasza ukochana Szkoła Podoficerska Piechoty nr 2 w Śremie, która nam młodym miała dać podstawy nauki i sztuki wojskowej, by bronić granic umiłowanej Ojczyzny, Polski”.

Boże Jedyny, jak ciężko nam było opuszczać te bloki koszarowe wie tylko ten, kto tu się uczył, żył i ćwiczył, i ten kto jest w wagonie i patrzy na mijające i żegnające nas osoby cywilne, na budynki mieszkaniowe tak nam znajome, plac ćwiczeń i boisko sportowe „Sokoła” – niemal wszyscy przyglądaliśmy się już z dala temu drugiemu domowi ojczyźnianemu. Dla nas, pochodzących z ubogich rodzin, nieraz i bardzo biednych, czy sierot, był to DOM – dom jakby dalszej i zarazem bardzo bliskiej, kochanej rodziny.

Dokąd jedziemy? Nikt z nas nie wiedział, poza tym faktem, że na wschód. Ktoś informuje, że Komendant jest chory, a mimo to jedzie z nami, z żołnierzami, który swych podopiecznych elewów nie opuszcza. To dodawało nam otuchy.

Jesteśmy zgodni, bo nikt z nas nie wie, czy te koszary i to miasto Śrem kiedykolwiek w naszym przyszłym życiu zobaczymy? Ile tygodni lub miesięcy, albo i lat upłynie, nim nasze nogi tu wrócą. Nieśmiało i jakby proroczo ktoś z kolegów szepcze „ja tu już nigdy nie wrócę”. Dlaczego?

Przypominamy sobie i te słowa, może ostatnie, wypowiedziane przez kogoś z naszych opiekunów – oficerów i podoficerów – na poligonie Nohowo: ... trzymajcie się regulaminowo, głowa i tyłki tuż przy ziemi. Głowę macie na karku i tylko jedną. A mnie w uszach zadźwięczały jeszcze i te słowa pana kapitana Ślęzaka, dowódcy naszej drugiej kompanii: ... us...cie się, ale nie dajcie zwyciężyć.

Te słowa, czysto po wojskowemu wypowiedziane, pochodzą z wczesnego poranka, kiedy to w dniu 3-go maja 1939 roku, w bramie koszar, tuż przed wyjazdem do Książa Wielkopolskiego na słynny Marsz „Szlakiem Powstańców Wielkopolskich” z Książa Wlkp. do Śremu – pan kapitan Ślęzak naszemu patrolowi dał taki rozkaz: ...zdobyć dla naszej drugiej kompanii „Puchar przechodni” na własność. Rozkaz ten, taki sobie luźny, ale z honorem wykonaliśmy.

Pociąg pomału mknął na wschód, tą samą trasą kolejową, którą dwa miesiące temu wyjeżdżaliśmy na obóz, letni wojskowy poligon, do Nowosielicy Wyżnej, gmina Wygoda, powiat Dolina, województwo stanisławowskie, a na południe od Lwowa. Odczuwamy głębokie wewnętrzne i dziwne zarazem uczucie żalu i zmartwienia, że tę Wielkopolskę w tak groźnej chwili musimy opuścić uzbrojeni w pełni, po przysłowiowe zęby.

Wśród nas zapanowała jakaś dziwna trwoga, ostatnie budynki koszar strzelnicy, boiska sportowego, placu ćwiczeń już znikły nam z oczu, znikło i miasto Śrem, te pola niezmierzone i łany skoszonego zboża, tam i ówdzie sterta, tam gdzieś daleko maszerowało wojsko na zachód, a my mijamy stację PKP Mieszków i zbliżamy się do Jarocina. Szybko następuje zmiana parowozu. Potem kolejno Ostrów Wielkopolski, Kalisz i Łódź Fabryczna. Tu mały postój, odpoczynek, bo następuje ponowna zmiana parowozu-lokomotywy. Pytam się kolejjarza, sprawdzającego osie wagonów, dokąd biegnie dalej ten tor kolejowy – odpowiedział: dalej? nigdzie, bo to końcówka, nie ma przejazdu. Jak na miasto Łódź to ten dworzec kolejowy, z tymi czarnymi lite-

rami Łódź – Fabryczna, wydawał się nam jakoś bardzo biedny, skromny, ponury.

Po godzinie czasu, z tego dworca, chyba wracamy z powrotem? Nagle – napis: Kuluszki, a później już kolejno Opoczno, o zachodzie słońca stacja Końskie, a nocą mijamy Skarżysko-Kamienną, potem Wierzbik, Ostrowiec Świętokrzyski, Ćmielów i, o dobrym świetle dnia, ktoś z kolegów podaje nam, że mijamy Sandomierz, a gdy już na dobre wstał piękny i słoneczny dzień, około godziny dziesiątej rano dojeżdżamy do miasta Rozwadow. Tu znów postój, następna zmiana parowozu.

I nie tylko, tu jakiś ożywiony ruch. Podano nam gorącą kawę komiśną wojskową, możemy zjeść śniadanie – suchy prowiant ze Śremu. A ponadto skorzystać z własnych potrzeb. Myjemy się do pasa tuż przy parowozie pobierającym wodę, mała gimnastyka po tej uciążliwej nocy i drzemce na ławkach wagonów trzeciej klasy.

Tu w Rozwadowie postój około dwóch godzin, ciągłe bieganie, coś się w pośpiechu załatwia, wydaje polecenia, lecz my nie wiemy o co tu chodzi, nawet nie domyślamy się, że za kilkanaście chwil nastąpi podział naszego transportu i jakby naszej Szkoły SPP nr 2.

Nasza druga kompania otrzymuje rozkaz przesiadki do stojącego obok innego składu pociągu, a pierwsza? i czwarta? Wygląda na to, że tu w Rozwadowie pozostaną.

Żegnajmy się z moim starszym bratem Antonim z pierwszej kompanii i tak na pamiątkę i na szczęście wojenne wymieniamy sobie książeczki do modlitwy z pierwszej komunii świętej, jako najdroższe pamiątki rodzinne. Jest to dla nas braci i radosna, i bardzo ciężka chwila.

Życzymy sobie aby nie być rannymi, on i ja Pana Boga zawsze będziemy w każdej porannej i wieczornej modlitwie prosić. Przypominamy sobie opowiadania naszych ojców, matek i dziadków, że w ciężkich okresach na polach bitew pójdziemy do ataku z Litanią Loretańską na ustach – tak jak na młodzieńców z Bochni-Dołuszyce-Kolanów i Łapanowa-Kobyłka przystało, z Panem Bogiem – dodaje Kaziu Piechnik.

Uściskali się też bardzo serdecznie i Stefek Olszewski i Kaziu Piechnik, cała nasza czwórka bochniaków, żegnamy się ze wszystkimi bliżej zaprzyjaźnionymi kolegami z pierwszej i czwartej kompanii.

Żegnajmy się z kolegą Tadeuszem Hanusem z pierwszej kompanii, któremu soczyście z oczu lży ciekłą, chciał mi coś powiedzieć, lecz łkanie i płacz tłumi w sobie... nic mi nie powiedział z żalu... cześć Władek.

Dla naszej drugiej kompanii ponowny rozkaz: do wagonów wsiadać, a potem przetaczanie wagonów i doczepianie innych, wreszcie ruszamy w drogę. Po dobrej chwili jazdy, w sąsiednich przedziałach toczą się ożywione rozmowy na temat: kto i co tam w Rozwadowie zauważył. Czy p.płk. Popelka jedzie z nami? Czy czwarta kompania dołączyła do nas, czy tylko pierwsza tam pozostała i gdzie pojedzie? Nie wiemy.

W pełnym biegu pociągu mijamy miasto Nisko, tu jest wiele wyjaśnień, bo tu te „żółtki”, ale ich koszar nie widać, ktoś pokazuje ręką kierunek na niżańskie koszary. Podczas dalszej podróży i postojów na przystankach PKP lub przed semaforami spotykamy często transporty wojska zdążające na Zachód lub Północ Polski, wymieniamy z nimi nawzajem żołnierskie pozdrowienia, a czasem od rezerwy słyszymy małe uszczypliwe słówko... a gdzież to paniczki się wybieracie, na ruskich? Bywało i tak w naszej podróży,

że chcieliśmy się przesiąść do tych transportów udających się na front, nad niemiecką granicę. By bronić granic Śląska, Wielkopolski lub Pomorza. Ale nasze zapęły rozwiewał ostry rozkaz „do wagonów” i odjazd. I tak nam mijał już drugi dzień podróży, na witaniu i żegnaniu żołnierzy udających się na front.

W Przeworsku: alarm lotniczy. Kryć się. Lecz po kilku minutach odwołanie alarmu lotniczego, bo to alarm próbnym... fałszywym. Samolot na dużych wysokościach, swój czy obcy, wrogi? Trudno poznać, że to nasz dwumotorowy „Łoś”, tę sylwetkę, mimo wysokości, już dobrze znałem i z wykładów o lotnictwie zapamiętałem. To „Łoś”, ale kto miał wówczas słuszość, nie wiem.

I znów odjazd, mijamy Jarosław. Wieczorem o dobrym zmroku dojeżdżamy do Przemyśla. Kolejny postój i to dość długi. Bardzo znużeni tą wlokącą się podróżą nie zważamy na kolejne stacje, jest już ciemno, a pociąg wlecze się i co

rusz przystaje, przeciągle sygnalizuje, że stoi i czeka na wjazd, monotonia przechodzi w senność.

Bardzo późnym wieczorem, a raczej to już dochodziła północ, zbliżamy się do jakiegoś dużego miasta, sądząc po łunie światła. Pociąg na dobre zwolnił. Pada po wagonach komenda: przygotować się do wysiadki. Wreszcie perony. Opuszczamy wagony i od razu uderza nas świeże, chłodne, inne powietrze. Dworzec w mroku, słabutko oświetlony. Zbiórka. Dostrzegamy napis: Lwów.

Jest to noc z dnia 29 na 30 sierpnia 1939 roku, a my we Lwowie? Cel naszej podróży zakończony. Na tym peronie pozostały wagony osobowo-towarowe, czy z nami jechała czwarta kompania? Nie wiemy, a jednak ktoś tam pozostał, padają stwierdzenia, że nie wszyscy wysiedli.

Baczność, kolejno odlicz, nasza kompania w komplecie i odmarsz na miasto. To Lwów.

(c.d.n.)

Danuta Szwarc i Hanna Dobias Telesińska X-lecie Poznańskiego Oddziału Towarzystwa Miłośników Lwowa i Kresów Południowo-Wschodnich

„Z inicjatywy Lwowian zamieszkujących stolicę Wielkopolski – Poznań, a przede wszystkim z potrzeby ich serc, powołano poznański oddział Towarzystwa Miłośników Lwowa.”

Tak brzmią pierwsze słowa kroniki naszego Towarzystwa. Miesiąc po miesiącu i rok po roku wypełniały się strony opisujące życie oddziału poznańskiego TMLiKPW.

Na pierwsze założycielskie spotkanie, zorganizowane od początku do końca przez pana Tomasza Naganowskiego, w dniu 23 lutego 1989 r. do Sali Kominkowej w Zamku, przybyło 111 osób. W kwietniu oddział liczył już 350 członków. W najlepszych latach liczba wzrosła do 450 osób – obecnie ok. 250 osób. Niestety wiele osób od nas odeszło na zawsze.

Pierwszy zarząd TML składał się z następujących osób:

Prof. Andrzej Alexiewicz

Stanisław Łukasiewicz

Adam Taborski

Edmund Palmowski

Władysław Rulo

Hanna Dobias-Telesińska

Mieczysław Durański.

Pierwszy Prezes oddziału pan prof. Andrzej Alexiewicz pełnił swą funkcję aż do śmierci 11 lipca 1995 r. Był człowiekiem niezwykłym.

Później skład zarządu zmieniał się. Obecnie prezesem naszego oddziału jest pan dr Tomasz Naganowski, człowiek młody i energiczny, któremu zawdzięczamy powstanie poznańskiego oddziału Towarzystwa oraz wiele cennych inicjatyw.

Już we wrześniu 1989 r. pierwsza wycieczka do Lwowa zapoczątkowała regularne kontakty naszych członków ze Lwowem i Kresami. Każda wycieczka zabierała dary, które przekazywaliśmy naszym Rodakom w Buczaczu, Brzeżanach i we Lwowie. Nadto przed każdymi Świątami Bożego Narodzenia i Wielkanocnymi ruszał transport darów. Nieoceniony pan Stanisław Łukasiewicz wioził paczki sam lub z innymi osobami, także z harcerzami, zorganizowanym transportem lub czasami własnym samochodem, aby przed

Wigilią Rodacy, a szczególnie dzieci, otrzymały prezenty w różnej postaci (odzież, żywność, leki, zabawki, słodczyce, książki i pieniądze). Dary trafiały do polskiej szkoły we Lwowie, polskich oddziałów w przedszkolach we Lwowie, do ludzi starych i biednych, których wskazywało nam Towarzystwo Kultury Polskiej Ziemi Lwowskiej, poprzez parafie rzymsko-katolickie w Buczaczu i w Brzeżanach do Polaków tam mieszkających. Do akcji zbierania darów włączyła się drużyna harcerska „Orlęta”. Harcerze pomagali przy zbieraniu, sortowaniu i pakowaniu darów, a zbierając makulaturę w 1996 r. uzyskali kwotę na przygotowanie 100 paczek żywnościowych. Środowisko Drużyn Harcerskich Związku Harcerstwa Rzeczypospolitej „Orlęta” powstało 16 lat temu. Skupia instruktorów, harcerki i harcerzy oraz najmłodszych – zuchy (dziewczynki) i wilczki (chłopcy). Jest ich ok. 80 osób. Razem zuchy i harcerzy skupia nazwa i nasi bohaterowie – patroni szczeru „Orlęta” – właśnie te lwowskie. Od tych „Orlęt” – dzieciaków lwowskich ulic – uczą się jak być odważnymi, jak się poświęcać, jak z oddaniem pełnić służbę w harcerskich i zuchowych mundurkach. Ich harcerska służba w dużej mierze skierowana jest na Wschód. Starają się pamiętać o Lwowie, a szczególnie o Polakach żyjących na dawnych Wschodnich Kresach Polski.

W sortowaniu i pakowaniu odzieży, w robieniu paczek pomagała nam młodzież z V Liceum Ogólnokształcącego w Poznaniu, którą pani prof. Danuta Sziłajtis zaraziła swą społecznikowską postawą.

Dary zbierane były od ludności poznańskiej, która bardzo życzliwie odnosiła się do naszych komunikatów w prasie, radiu i telewizji. Także wiele poznańskich przedsiębiorstw jak Amino, Terravita, Bahja, Polfa, zakładów prywatnych, poznańskich szkół podstawowych i wielu innych sponsorów, także indywidualnych, przekazywało nam swoje wyroby, czy też wspomagało finansowo. Bez nich tych akcji nie można byłoby zorganizować.

Nie tylko my odwiedzaliśmy Rodaków na Kresach. W lipcu 1990 r. odwiedziły nas 2 autokary polskich dzieci ze Stanisławowa, Czerniowca i Drohobycza. We wrześniu

1990 r. gościliśmy studentów polskich z Kresów studiujących w Poznaniu. W 1993 r. była u nas pani Dora Kazner-son z Drohobycza opiekująca się starszymi ludźmi we Lwowie i Drohobyczu. We wrześniu 1993 r. przyjmowali przez dwa tygodnie pana Kazimierza Podhajckiego ze Stryja, AK-owca i łagienika (1946-1957). W styczniu 1995 r. odwiedził nas przejazdem Polski Teatr Ludowy ze Lwowa, dając przedstawienie „Szopki Lwowskiej”. W ubiegłym roku ten sam Teatr wystąpił w Teatrze Polskim z przedstawieniem słowno-muzycznym przedstawiając folklor Lwowa. We wrześniu 1995 r. gościliśmy lekarzy polskich ze Lwowa.

Chcąc przybliżyć naszym członkom i mieszkańcom Poznania problematykę Kresów, ich historię, kulturę i sztukę, zapraszaliśmy do nas znanych i cenionych Kresowiaków, tych z urodzenia i „adoptowanych”. Dwukrotnie o walce AK we Lwowie w czasie II wojny światowej mówił prof. Jerzy Wegierski. O sztuce Lwowa opowiadał Witold Szolginia, który recytował także swoje wiersze. Kilkakrotnie odwiedzał nas prof. Stanisław Niciejka, z odczytami o: Cmentarzach Łyczakowskim i Orłat, o Hemarzu oraz Polonii Kijowskiej. Wieczory autorskie miał A. J. Madera – dziennikarz z Rzeszowa i Janusz Ragankiewicz – prezes oddziału TMLiKPW z Leszna. Dr Kukla omówił obronę Lwowa 1918-1919 r. w falerystyce. No i jeszcze niezapomniane wieczory z Jerzym Michotkiem. We wrześniu 1996 r. w ramach Dni Lwowa zorganizowana została w Odwachu wystawa „Lwów, czas i ludzie”, która cieszyła się dużym zainteresowaniem wśród społeczności poznańskiej.

Wszystkie nasze spotkania z okazji Dni Lwowa we wrześniu, „opłatki” w grudniu, czy spotkania Wielkanocne, uświetniały recytacjami aktorki poznańskie, recitałem piosenki romantycznej – Benigna Jaskulska, chór „Coro da

Camera”, chór ekumeniczny, czy dzieci ze szkoły podstawowej nr 70 w Poznaniu. Z przyjemnością słuchaliśmy też recytacji i piosenek lwowskich dzieci z Leszna, laureatów dziecięcego Festiwalu Piosenki Lwowskiej w Lesznie.

Swoje 5-lecie obchodziliśmy w nowopowstałej restauracji „Kresowa”. Odtąd ten lokal, gdzie można zjeść potrawy charakterystyczne dla Ziemi Lwowskiej czy Wileńskiej, posłuchać lwowskich piosenek, stał się miejscem częstych spotkań kresowiaków. W ubiegłym roku Kresowa zaprosiła nas na uroczysty wieczór, który spędziliśmy przy pierogach lwowskich, barszczu, serniku i napojach, słuchając piosenek lwowskich. Wrażenia są niezapomniane.

Od 1990 r. spotykaliśmy się dwa razy w roku na trzydniowym „Pikniku Lwowskim”, początkowo w Mierzynie k/ Międzychodu, a ostatnio w Prusimiu. Na świeżym powietrzu wypoczywaliśmy jedząc lwowskie pierogi przygotowywane przez wszystkie panie pod wodzą Staszka Łukasiewicza, śpiewając lwowskie piosenki, smażąc kielbaski na ognisku i zbierając grzyby.

Za swą pracę na rzecz Polaków na Kresach i dla dobra Towarzystwa niektórzy z nas otrzymali Złotą Odznakę TMLiKPW. Tą odznaką wyróżnione zostały także panie: Krystyna Feldman – znana aktorka oraz Zofia Orlicz – więźniarka Fordonu za swą działalność w AK.

Dzisiaj, gdy obchodzimy 10-lecie naszego oddziału, patrzymy na wyniki naszej pracy. Chcielibyśmy jeszcze wiele lat działać dla dobra Rodaków na dawnych Kresach. Jest nas coraz mniej, ale przychodzą do nas także ludzie młodzi, nie związani z Kresami, którzy chcą pomagać ludziom w potrzebie, a także chcą poznawać historię, kulturę, zabytki tej części Polski, o której nie wolno było mówić prawie przez 50 lat, a która zajmowała tak ważne miejsce w dziejach Polski. □

Jarosław Tadeusz Leszczyński

Czy „Ogniem i mieczem” jest powieścią antyukraińską?

W ubiegłym roku na ekranach naszych kin oglądaliśmy film oparty na słynnej powieści „Ogniem i mieczem” Henryka Sienkiewicza w reżyserii Jerzego Hoffmana. Zanim jednak do tego doszło mnożyły się wielorakie przeszkody uniemożliwiające realizację filmu i jak na ironię powieść, która dopiero rozpoczyna cykl sienkiewiczowski „Trylogii” jako ostatnia spośród niej została sfilmowana. W okresie PRL-u uniemożliwiała realizację tego przedsięwzięcia cenzura. W wolnej już III Rzeczypospolitej hamowały ją dyskusje twierdzące, że film mógłby popsuć stosunki polsko-ukraińskie. Aż oburzeniem napawała myśl, że nawet w wolnym kraju pewnych rzeczy nie należy robić. Gdzie bowiem podziela się zasada, że każdy naród ma prawo do własnej interpretacji historii. Nikt przecież nie zabrania Ukraińcom nakręcenia filmu, w którym Chmielnicki i Kozacy Zaporoscy przedstawieni zostaną jako bohaterowie narodowi, a polska szlachta jako ciemniźnicy i krwio pijacy ludu ukraińskiego.

Zostawmy jednak ten problem i spróbujmy odpowiedzieć na pytanie, czy aby „Ogniem i mieczem” jest rzeczywiście powieścią antyukraińską. Pierwsza część „Trylogii” nie przedstawia bowiem z złym światłem całego narodu ukraińskiego, lecz jedynie B. Chmielnickiego i Kozaków. W woj-
sku księcia Jeremiego Wiśniowieckiego służyli bowiem nie

tylko sami Polacy wyznania rzymskokatolickiego czy unicy, ale także prawosławni Rusini (tak nazywano wtedy przodków dzisiejszych Ukraińców) ze starym chorążym Zaćwilichowskim na czele. Jako osoby wierne Rzeczypospolitej ukazani są stary kozak Barabas i wyznawca prawosławia, wojewoda braclawski Adam Kisiel. W dalszej części powieści widzimy dwóch księży prawosławnych z Połonnego przybyłych z poselstwem do kniazia Jaremy. Błagali oni go o pomoc w walce z kozactwem Chmielnickiego, które obległo to miasto za to, że nie chciało opowiedzieć się po jego stronie. W innym miejscu czytamy o Zagłobie, który będąc na chłopskim, ruskim weselu został pojmany przez watahę Bohuna. Nie wiadomo jak potoczyłby się los tej najbarwniejszej postaci „Trylogii”, gdyby nie Rusini – uczestnicy wesela, którzy powiadomili o wypadku Michała Wołodyjowskiego, umożliwiając mu tym samym przyjazd z odsieczą przyjacielowi.

Przypatrzmy się teraz dwóm wodzom walczących stron – Jeremiu Wiśniowieckiemu i Bohdanowi Chmielnickiemu. Pierwszy z nich – siostrzeniec wielkiego reformatora Cerkwi Prawosławnej w Rzeczypospolitej, św. Piotra Mohyły – choć porzucił wiarę ojców na rzecz katolicyzmu łacińskiego, doprowadził do rozkwitu cywilizacyjnego i gospodarczego lewobrzeżną Ukrainę, z których to dobrodziejstw czerpali owoce także liczni zamieszkujący ją Rusini.

A Chmielnicki? Owszem, pozostał wierny do śmierci prawosławiu, kreując się nawet jego obrońcą. Wzywając jednak na pomoc do walki z wojskami Rzeczypospolitej Tatarów z Krymu – dotychczasowych wrogów swego ludu – i zezwalając na branie przez nich jasyru, sprawił, że tysięczne rzesze jego ziomków – prawosławnych chrześcijan – oddał w niewolę wyznawców Proroka. Ponadto „pomoc” tego sojusznika zmieniła ten dotąd miodem i mlekiem płynący kraj w zgłiszcz i ruiny. Wreszcie zainicjowana przez niego Ugoda Perejastawska z 1654 r. stała się gwoździem do trumny sprawy ukraińskiej. Oczywiście stosunki z Rzeczpospolitą, a w szczególności z jej szlachtą, nie zawsze były różowe. Tu jednak można było pertraktować i niekiedy rozmawiać jak równy z równym, gdy tymczasem samodzielnymi caro-

wie wszech Rusi traktowali Zaporozców jak resztę – nic nie mających do powiedzenia – poddanych. Zresztą już w następnym stuleciu rosyjscy imperatorowie – Piotr I Wielki i Katarzyna II – rozgromili organizację Kozaków Zaporoskich. Akt Perejastawski uniemożliwił narodowi ukraińskiemu stworzenie własnego państwa na blisko trzy i pół wieku, a postać jego twórcy stała się narzędziem propagandy wielkomocarstwowej dla białych, a później czerwonych władców Kremla.

Czy więc Bohdan Chmielnicki w świetle przedstawionych faktów był z punktu widzenia ukraińskiego patriotą czy też zdrajcą? Czy treść „Ogniem i mieczem” ma zabarwienie antyukraińskie? Na oba te pytania niech sami sobie odpowiedzą czytelnicy niniejszego artykułu, także ci ukraińscy.

WCZORAJ, DZIŚ, JUTRO

Zbigniew Umański

Kronika Kresowa

Pamięci pomordowanych

5 marca 1940 roku Komisarz Spraw Wewnętrznych ZSRR L. Beria skierował do Biura Politycznego partii komunistycznej wniosek o rozstrzelanie bez sądu wszystkich polskich jeńców – oficerów, więzionych w obozach w Koziełsku, Starobielsku i Ostaszkowie – według listy NKWD – 14552 osoby. Wniosek został zatwierdzony podpisami J. Stalina, K. Woroszyłowa, W. Mołotowa, A. Nikojana, ze zgodą Kaganowicza i Kalinina, co było wyrokiem śmierci na Polakach. Objął także 7 305 jeńców wojennych w różnych obozach na Ukrainie i na Białorusi. Po 52 latach milczenia zostali ujawnieni sprawcy zagłady 21 857 polskich jeńców wojennych – Józef Stalin, jego współpracownicy i cały aparat wykonawczy NKWD, a tragedia ta przeszła do historii pod nazwą „ZBRODNI KATYŃSKA”.

3 marca br. konferencja naukowa poświęcona dokumentowaniu zbrodni NKWD w Archiwum Głównym Akt Dawnych w Warszawie zainaugurowała obchody 60 rocznicy mordu. Ich kulminacją będzie poświęcenie w czerwcu trzech cmentarzy wojskowych w Katyniu, Miednoje i Charkowie. Budowane są według takiego samego projektu – na centralnym miejscu stanie Ściana Pamięci z wbudowanym dzwonem oraz wysokim, widocznym z daleka krzyżem. Ściana ma pełnić rolę ołtarza i otwartej kaplicy. W ławach w Ostrowie koło Przemyśla odlano już trzy dzwony, które będą stanowić element zdobniczy Ściany Pamięci – ołtarzy, na których znajdą się też tablice z nazwiskami pomordowanych Polaków. Na trzech dzwonach, o wadze każdy 700 kg, wyryte zostaną stylizowanym liternictwem dwie zwrotki „Bogurodzicy”, jako najstarszej polskiej pieśni wojennej. Wkrótce dzwony z podprzemyskiej ludwisarni, wykonane na zamówienie Rady Ochrony Pamięci Walk i Męczeństwa, zostaną przewiezione do Warszawy, gdzie poświęci je Prymas Polski, a następnie przetransportowane do Katynia, Ostaszkowa i Miednoje.

Uroczystości upamiętnienia 60 rocznicy Zbrodni Katyńskiej będą się odbywały na całym świecie, głównie jednak w Polsce. Wezmą w nich udział przedstawiciele zainteresowanych organizacji społecznych, Kościołów, władz. Złożą się nań także konferencje naukowe i koncerty. Ostatnia impreza

– pod Pomnikiem Poległych i Pomordowanych na Wschodzie – odbędzie się 17 września w Warszawie.

Dolnośląska Rodzina Katyńska – dzieci i wnukowie pomordowanych oficerów, także uczczą ich pamięć niezwykłym monumentem. W parku im. J. Słowackiego we Wrocławiu, w pobliżu rotundy Panoramy Racławickiej trwa budowa Pomnika Ofiar Katynia według projektu warszawskiego artysty rzeźbiarza, Tadeusza Tchórzewskiego. Powstaje ze składek, darowizn, kwest, aukcji i zbiorów prowadzonych od kilku lat oraz dzięki pomocy sponsorów. W Gliwicach odlano już w brązie ponadtrzymetrową rzeźbę Anioła Śmierci, symbolizującą zbrodnię NKWD na rozkaz Stalina oraz Pięć Katyńską, która stanie w centrum monumentu grobowca-mogiły. Aleja parkowa prowadząca do pomnika zostanie wyłożona 22 tysiącami kostek kamiennych, symbolizującymi liczbę ofiar Zbrodni Katyńskiej.



Wrocławska Pieta Katyńska

Wrocławski Pomnik Ofiar Katynia będzie dramatycznym wyrazem bólu i hołdu pomordowanym, a także świadectwem prawdy historycznej – na jego postumencie znajdują się napisy, w kilku językach, informujące, co się zdarzyło 17 września 1939 r. i potem, wiosną 1940 r., w Katyniu, Miednoje i Charkowie. Nikt nie będzie mógł przejść obok niego obojętnie.

Katyńskie pamiątki

W Instytucie Jana Pawła II w Krakowie zaprezentowano po raz pierwszy cudem ocalałe nieznane dokumenty osobiste: legitymacje, listy, zdjęcia, odznaki i pamiątki osobiste, wydobyte w 1943 r. z grobów oficerów polskich w Katyniu. Pożółkłe dziś dokumenty to prawdopodobnie jedyne zachowane materiały wydobyte podczas ekshumacji w lasu katyńskim w 1943 r. Znalaziono je przy zwłokach 30 polskich oficerów, przewieziono do Krakowa i ukryto w krakowskiej kurii metropolitalnej. Skonfiskowane przez UB podczas rewizji w 1952 r. zostały zwrócone kurii w 1990 r. W drugiej części ekspozycji – której autorem scenariusza i kuratorem jest A. Rybicki z Instytutu Katyńskiego – znajdują się kopie dokumentów z tzw. Archiwum Robla, będące dokumentacją rzeczy znalezionych w czasie ekshumacji przy zwłokach kolejnych 266 oficerów. Dr Jan Zygmunt Robl kierował w Krakowie podczas wojny zespołem, który badał przedmioty znalezione podczas ekshumacji w Katyniu, ale Niemcy odsunęli polskich naukowców od tych prac, materiały katyńskie wywieźli i prawdopodobnie spalili. Część zbiorów dr. Roblowi udało się jednak ukryć i pomimo przesłuchań przez NKWD, zaraz po wyzwoleniu Krakowa, nie ujawnił zakonspirowanej skrytki. Na archiwum Robla natrafiono w 1991 r.

Bezcennymi pamiątkami zainteresowały się trzy krakowskie instytucje: Fundacja Dokumentacji Centrum Czynu Niepodległościowego, Instytut Katyński i Muzeum Historii Fotografii, które wraz z Instytutem Jana Pawła II podjęły się trudu zorganizowania wystawy. Szerszemu ogółowi będzie udostępniona od 8 kwietnia br. z okazji 60. rocznicy Zbrodni Katyńskiej. Organizatorzy wystawy liczą, że odnajdą się rodziny lub znajomi ofiar, zwłaszcza rodziny tych 30 zamordowanych oficerów, do których należały dokumenty ujawnione w archiwum krakowskiej kurii. Listę nazwisk z notatkami biograficznymi można znaleźć w Internecie pod hasłem: www.bj.uj.edu.pl/fundCDCN.

Czy uda się wypełnić, po przeszło pół wieku, białe plamy związane z dramatem, któremu na imię Golgota Wschodu? Spróbujemy, pomóżmy.

Żegnaj Andrzeju



Andrzej Hiolski

Że nie ma Go już wśród nas, że odszedł na zawsze – jeszcze nie dociera do świadomości wrocławskich lwowiaków. Może dlatego, że Tuniu Dzieduszycki, Jego serdeczny przyjaciel od przeszło pół wieku – od studiów w lwowskim konserwatorium, aż do wczoraj – po powrocie z Warszawy mówił nam, że spotkał go właśnie pełnego energii, mimo

78 lat, i optymizmu, że opowiadał mu o próbach „Króla Rogera”, o planach na przyszłość. Że miał niebawem zaśpiewać w Pałacu Prezydenckim pastorałki i koledy na spotkaniu podsumowującym Rok Chopinowski...

Andrzej Hiolski, lwowiak, wybitny śpiewak operowy – baryton, zmarł nagle z soboty na niedzielę 26/27 lutego w Krakowie. Tu pod Wawelem w 1944 r. debiutował na scenie operowej w roli Janusza w „Halce”. Śpiewał w pierwszym operowym przedstawieniu „Halki” w wyzwolonej od hitlerowskiego najeźdźcy Polsce, a podczas tournée po ZSRR – przed Stalinem. W Operze Bytomskiej, z którą związał się na wiele lat, występował w rolach Miecznika ze „Strasznego Dworu”, Marcelego w „Cyganerii”, Escamillo z „Carmen” i innych w towarzystwie najlepszych lwowskich śpiewaków: Paprockiego, Fincego. – Cóż to była za wspaniała opera! – wspomina z rozrzewnieniem Wojciech hrabia Dzieduszycki. W Warszawie A. Hiolski zadebiutował jako Eugeniusz Oniegin w operze Czajkowskiego, a w 1957 został solistą Opery Warszawskiej.

Łączył piękny śpiew z wielką muzykalnością i aktorstwem. W każdej z 50 partii operowych śpiewanych w Teatrze Wielkim – i gościnnie we wszystkich teatrach operowych w Polsce – tworzył niezwykle prawdziwe, niezapomniane kreacje. Był bez wątpienia najlepszym Miecznikiem ze „Strasznego Dworu” – szlachetny śpiew, pańskość postawy, wytworność gestu – wspominają miłośnicy opery i wielbicielki Andrzeja Hiolskiego. Był też wspaniały jako Król Roger w operze Szymanowskiego, brawurowy jako Toreador w „Carmen”. Mimo 78 lat, zadziwiał świeżością, piękną barwą i siłą głosu. Śpiewał do ostatnich dni. Często na imprezach organizowanych przez TMLiKPW, bo zawsze czuł się lwowiakiem. Na wielkim koncercie z okazji Tygodnia Kultury Kresowej w 1998 r. w Warszawie, a ubiegłej jesieni – na inauguracji Dni Lwowa w stolicy zaśpiewał przepięknie pieśni Moniuszki. Wspólnie z Tuniem Dzieduszyckim uczestniczyli także w wieczorach wspomnień lwowiaków i kresowian. Śpiewali piosenki lwowskie i Hemańskie, pełne tęsknoty za utraconym miastem ich młodości i te batiarskie z Łyczakowa i Zamarstynowa.

Dwa lata temu, na zaproszenie Klubu TMLiKPW „Leopolis”, gościliśmy Go we Wrocławiu. Jego występ podczas obchodów Dni Lwowa nad Odrą był wielkim przeżyciem dla wrocławskich lwowiaków i kresowian. Miałem zaszczyt opiekować się nim, oprowadzać po Wrocławiu. Na każdym kroku spotykał się z niezwykłą serdecznością. Był wzruszony i zwyczajnie zażenowany. Po prostu skromny. Ten Wielki Artysta mógł zrobić międzynarodową karierę – miał głos, talent i aparycję. Pozostał jednak w kraju. Bo kochał swoją ojczyznę, nas, miłością kresowianina. I takim pozostanie w mojej pamięci. Takim Go zapamiętamy.

Spoczął nie na cmentarzu Łyczakowskim, jak marzył, lecz na warszawskich Powązkach. Odchodzącego tam, za Styks, jak mawiano we Lwowie, pożegnał w imieniu warszawskich lwowiaków i wszystkich rozsianych po całej Polsce, Jego przyjaciel – Jerzy Janicki. Dał mu też na drogę garść ziemi lwowskiej, z Cmentarza Łyczakowskiego, którą przywieźli polscy aktorzy z Jego miasta. A Prezydent RP przyznał Mu Krzyż Kawalerski Orderu Odrodzenia Polski z Gwiazdą. Był godny takiego pożegnania.

Nagradzany i bojkotowany

Film Jerzego Hoffmana „Ogniem i mieczem”, wg powieści Henryka Sienkiewicza, został ostatnio uznany przez miesięcznik „Film” za najlepszy polski film 1999 roku i przyniósł jego twórcom prestiżową nagrodę „Złotą Kaczkę”. „Ogniem i mieczem”, choć obejrzało go już miliony widzów i pobił rekord oglądalności, nadal cieszy się powodzeniem.

Podobnie w Kijowie, gdzie ten film trafił w pierwszej kolejności na Ukrainie – bilety są wyprzedane na wiele dni naprzód. Reż. J. Hoffman ma niewątpliwie dodatkową satysfakcję.

Z niecierpliwością czekali na ten film Polacy zamieszkali we Lwowie i okolicy. Gdy wreszcie dotarł z opóźnieniem do tego miasta, nie mogli go od razu obejrzeć, bo miejscowi nacjonaliści UNSO „Zwolennicy nacjonalistycznej rewolucji”, jak siebie nazywają podopieczni Andrzeja Szkila, zorganizowali pikietę kina, w którym miał być film wyświetlany, uniemożliwiając nabycie biletów wstępu. Jednocześnie rozdawali ulotki w krwawym kolorze z prowokacyjnym tytułem: „Na kogo „z ogniem i mieczem””. Odpowiedź na to pytanie zawierała treść ulotki: „Z ogniem i mieczem przeciwko wojom książęcej Ukrainy, przeciwko Kozakom, przeciwko wojskom ukraińskiej armii galicyjskiej, przeciwko rycerzom OUN-UPA. Od tego „ognia i miecza” zginęło tysiące twych braci i sióstr – Ukraińców. I za co oni zginęli? Czy za to, aby ich wnukowie rozczulali się na polskim filmie, który mimo, że jest niskiej próby, w dodatku niesie jaskiniowy antyukraiński ładunek...”. Dalej w ulotce skrytkowano udział w polskim filmie ukraińskiego aktora Bohdana Stupki w roli B. Chmielnickiego i zamieszczono antypolskie wypowiedzi. Darujmy je sobie. Nacjonalistyczny bełkot nienawiści zakończono apelem: „Przyłączcie się do nas”.

Nie wiemy, ile sympatyków „nacjonalistycznej rewolucji” zgłosiło się do siedziby UNSO na podany w ulotce adres (ul. Gen. Czuprynki 5) (!). Jeżeli znaleźli się tacy, to organizacja nacjonalistów ukraińskich zawdzięcza to filmowi „Ogniem i mieczem”, którego ... nie obejrzeli. Tego reż. Hoffman chyba nie przewidział! Ale większość lwowiaków, Polaków i Ukraińców chciała jednak ten film zobaczyć i władza musiała im to umożliwić – pikietujących usunęła siłą milicja.

Tylko we Lwowie „Ogniem i mieczem” miał taką „promocję”...

Jubileusz daru odnowienia

16 stycznia br. minęło dziesięć lat od ponownego ustanowienia przez Ojca Świętego Jana Pawła II struktur kościoła katolickiego na Ukrainie. Za ten dar odnowienia życia kościelnego – rzymskokatolickiego i greckokatolickiego – Archidiecezja Lwowska podziękowała Bogu uroczystą Mszą św., w której uczestniczyło wielu kapłanów i liczne grono wiernych, przybyłych nawet z odległych miejscowości. Przemawiając do nich Arcybiskup Metropolita Marian Jaworski przypomniał o wyjątkowym wydarzeniu w 1991 r.: był tu święcony na biskupa długoletni duszpasterz tej katedry, całych terenów lwowskich śp. Ojciec Biskup Rafał Kiernicki. Obecnie na Ukrainie jest ośmiu biskupów rzymskokatolickich, pięć diecezji oraz trzy Wyższe Seminarium Duchowne – w Kamieńcu Podolskim, Kijowie i Lwowie-Brzechowicach. Archidiecezja Lwowska ma czterdziestu jeden kleryków, sześciu kleryków z diecezji łuckiej i czterech z zakonu księży pallotynów studiujących w lwowskim seminarium.

Od 1991 r. zostało wyświęconych dwudziestu trzech kapłanów, trzech zakonnych. Są jeszcze zakonnicy innych zgromadzeń, którzy pełnią posługę na tych ziemiach oraz siostry zakonne, które prowadzą katechizację wśród dzieci i młodzieży.

Metropolita poinformował też wiernych o procesach beatyfikacyjnych Sług Bożych, którzy żyli i pracowali w Ar-

chidiecezji Lwowskiej. Należą do nich: Arcybiskup Józef Bilczewski, którego pomnik jest w jednej z kaplic Archikatedry, „lwowski Brat Albert” – ks. prałat Zygmunt Goradowski, założyciel Zgromadzenia Sióstr Miłosierdzia św. Józefa, o. Serafin Alojzy Kaszuba oraz siostra Marta Wiecka, szarytka.

Z okazji jubileuszu odnowienia kościoła rzymskokatolickiego na Kresach przesyłamy jego kapłanom pełniącym posługę bożą, klerykom i siostram zakonnym – najlepsze życzenia.

O Kresach w Lipsku

W dniach 23-26 marca odbędą się Międzynarodowe Targi Książki LIPSK 2000, jedne z największych w Europie. Weźmie w nich udział także Polska. Nasza ekspozycja książkowa będzie urządzona w czterech blokach. Jeden z nich będzie miał nazwę: „Kresy i pogranicze” i zaprezentuje książki związane z dawnymi polskimi Kresami oraz teksty z pogranicza kultur. Pozostałe bloki to: „Wzorzec kultury” – pozycje, które wiążą się z działalnością Jerzego Giedroycia, „Kamień graniczny” – tu będą zgromadzone książki poświęcone historii Żydów w Polsce i ich zagładzie oraz „Koniec historii czyli hisotria nowa” – pozycje ostatniego X-lecia o najnowszej historii Polski i polskiej emigracji.

Sądząc z ilości tytułów książek o tematyce kresowej, które ukazały się w ostatnich latach – mamy co zaprezentować w ekspozycji „Kresy i pogranicze”.

Pro Memoriam Z. Herberta

„Gazeta Lwowska” wydała w lutym br. specjalny numer poświęcony niedawno zmarłemu, wielkiemu poecie polskiemu, lwowiakowi – Zbigniewowi Herbertowi. Oprócz wielu wierszy poety są w tym numerze piękne rysunki (można je oprawić) Walerego Batiakowa, scenografa Teatru Polskiego we Lwowie i Przemysława Zamojskiego oraz zdjęcia Beaty Bohdziewicz. O twórczości Z. Herberta i wspomnienia o nim napisali Adam Zagajewski, Jerzy Kuźmiński, Paweł Różyło i Marcin Ryzner-Feduniewicz.

Oryginalne w formie i ciekawe w treści wydanie specjalne „GL” (ukazało się dzięki wsparciu Fundacji Pomoc Polakom na Wschodzie) będzie towarzyszyć otwarciu wystawy poświęconej Zbigniewowi Herbertowi, której organizatorami są Oddział Literacki im. Jarosława Iwaszkiewicza i Muzeum Okręgowe w Sandomierzu. Jest to pierwsza w kraju muzealna próba prezentacji wielkiego poety.

Tańczący „Lwowiacy”

Zespół Taneczny „Lwowiacy” jest kolejnym – po Teatrze Polskim, Chórze „Echo” i zespołem „Wesoły Lwów” – polskim jubilatą artystycznym działającym w tym mieście już dziesięć lat. Na początku był Stanisław Durys i pięciu miłośników tańca folklorystycznego. Pojechali po naukę na warsztaty folklorystyczne do Rzeszowa i wrócili stamtąd już jako zespół „Lwowiacy”. Powiększono go o nowych członków, głównie uczniów szkół polskich we Lwowie, panie: Monika Adamska zebrała melodie podstawowych tańców ludowych i 14 polonezów Ogińskiego, Helena Niemira została akompaniatorem, a Irena Suchodolska choreografem zespołu. Ułożono układy choreograficzne, uczono się tańczyć poloneza, krakowiaka, mazura. Podczas kolejnych, corocznych wizyt w Rzeszowie nauczono się tam tańców polskich – kujawiaka, oberka, tańce regionów: wielkopolskiego, rzeszowskiego i lubelskiego. Ze „starego” zespołu wyod-

WŚRÓD KSIĄŻEK

„OKSANA” – najnowsza książka Włodzimierza Odojewskiego. Autor tak powiedział o swojej powieści:

„Ta powieść, poza warstwą sentymentalną, ma warstwę polityczno-historyczną. Ukraińską. Ukraińsko-polską. Sądzę, że gdybym odszedł od tego wątku, nie byłbym sobą. Zwłaszcza od tej części wątku, w której mieści się tragedia setek tysięcy ludzi z tzw. przedwojennych kresów i ślepa uliczka, na którą wkroczył nacjonalistyczny ruch ukraiński w byłej Galicji i na Wołyniu w połowie tego wieku, wiążąc się z niemieckimi nazistami i tworząc własną, zbrodniczą odmianę faszyzmu. Polską racją stanu (sądzę, że i ukraińską) jest unikanie zdrażnień i uregulowanie stosunków z sąsiadami. Nie można jednak przemilczeć tego, co się zdarzyło, zakłajstrować przeszłości. Żeby ten historyczny konflikt ukazać, bohaterką swej powieści zrobiłem Ukrainkę, córkę unickiego księdza, Oksanę.”

Gorąco polecam przeczytanie tej książki!

„PRZYSMAKI LWOWSKIE”, autorzy Krystyna i Tadeusz Krzyżewscy

– czyli: 200 przepisów kulinarnych uszeregowanych w 10 rozdziałach – od past i sosów poprzez sałatki, zupy, potrawy mączne i kasze oraz z mięsa, drobiu i ryb do tortów, legumin, sałatek owocowych do „grochu z kapustą”. Tylko czytać, przyrządzać i ... palce lizać zając się tymi przysmakami!

Wydawca: „W kolorach tęczy”. Oficyna Wydawnicza Jana Akielaszka, Wrocław 2000.

I jeszcze jedna pozycja o tematyce kresowej: „BRACIA ZZA BUGA. WSPOMNIENIA Z CZASU WOJNY”. Zebrał Jan Turnau, a wydrukowało Wydawnictwo Uniwersytetu Marii Curie-Skłodowskiej.

W zebranych przez autora opowieściach mowa o tym, jak na Ukrainie odbywają się rzezie, przychodzą to jedni, to drudzy okupanci, trwają niemieckie łapanki, to znów sowieckie wywózki na Sybir i do Kazachstanu. Znajdujemy w tej książce wspomnienia Polaków o tym, co dobrego zrobili dla nich Ukraińcy, Kazachowie, Rosjanie, Żydzi. Zdarzają się opowieści Ukraińców o życzliwych im Polakach. Ze wszystkich tych historii wynika, że dobro ma wymiar indywidualny, nie zbiorowy, pochodzi od człowieka, nie od plemienia.

Czytając te wspomnienia można się wiele dowiedzieć o człowieku, o jego zachowaniu się w nadzwyczajnych sytuacjach i zweryfikować opinie o nim.

U. Z.

Biblioteka „Wołania z Wołynia” t. 9. Biblioteka Podtatrzańska t. 1. **Ks. Witold Kowalów „Ks. Michał S. Głowacki „Świętopełk” (1804-1846). Folklorysta i współorganizator powstania”. Białe Dunajce – Ostróg 1999.**

Uwagę Szanownych Czytelników „Wołania z Wołynia” polecamy książkę **ks. Witolda Józefa Kowalowa pt. „Ks. Michał S. Głowacki „Świętopełk” (1804-1846). Folklorysta i współorganizator powstania”.** Jest to biografia jednego z kapłanów, który w latach trzydziestych i czterdziestych XIX wieku na terenie ówczesnej diecezji tarnowskiej podjął pracę nad odrodzeniem religijno-narodowym. Ks. Michał Głowacki przeszedł do historii jako autor pierwszego zapisu i interpretacji legendy o śpiących rycerzach. W wyniku kłeski powstania chochołowskiego zmarł tragicznie w nowosądeckim więzieniu.

Autor wykorzystał nieznane dotąd źródła, znajdujące się m.in. w archiwach i bibliotekach na terenie Ukrainy (Centralnym Państwowym Archiwum Historycznym Ukrainy we Lwowie i Lwowskiej Bibliotece Naukowej im. Wasyła Stefanyka, mieszczącej się w budynku dawnego Zakładu Narodowego im. Ossolińskich).

Niniejsza książka została napisana i obroniona w 1992 roku jako praca magisterska pod kierunkiem ks. prof. dra Jana Kracika na seminarium z historii Kościoła na Wydziale Teologicznym Papieskiej Akademii Teologicznej w Krakowie. Recenzentem pracy był ks. prof. dr hab. Jan Związek, a konsultantem ks. dr Ryszard Banach.

Chociaż wymieniona książka nie dotyczy Wołynia, kupując ją można wspomóc Katolickie Wydawnictwo na Ukrainie „Wołanie z Wołynia”.

Książkę „Ks. Michał S. Głowacki „Świętopełk” (1804-1846)” można nabyć (w cenie 17,- zł + porto) zamawiając pod adresem:

Ośrodek „Wołanie z Wołynia”, skr. poczt. 9, 34-520 Poronin

APEL

Ludwik Wawryszyn, 45-825 Opole, Miła 10, tel. 4745509

Dot.: Ratowania kultury polskiej na rubieżach RP

W imię naszej 1000 letniej historii i kultury na rubieżach I i II Rzeczypospolitej zwracam się do Państwa o wspomnienie wydania (wydrukowania) przewodnika historyczno-turystycznego po ziemi województwa Tarnopolskiego. Celem moim jest utrwalenie i ochrona od zapomnienia dorobku naszego narodu zgromadzonego i budowanego ponad 1000 lat na ziemi Tarnopolskiej przez naszych ojców.

Motyw, który mnie skłonił do opracowania tego przewodnika to:

1. Przeczytane przewodniki, wydane wcześniej przez ZSRR, a następnie przez Ukrainę, z których m.in. wynika

jakoby przez 1000 lat nie było na tych ziemiach państwa polskiego i jego kultury.

2. Znalezione w gruzach zgłiszcz wojennych bardzo zniszczone przez pleśń i wodę miesięczniki pt. „Wiadomości turystyczne województwa Tarnopolskiego” z 1932 r. i inne zdobyte materiały prasowe, przy których prowadziłem 4-letnie prace renowacyjne. Obecnie pragnę gorąco, aby z materiałów tych powstał jednolity przewodnik po ziemi Tarnopolskiej i był wydany dla potrzeb narodu polskiego. Zadania tego nie zdołano wykonać do 1939 r. i po wojnie.

Zawarte w nim będą informacje nt.: kultury duchowej i materialnej, historii, etnografii, geologii, geografii, gospo-

darki, życia społecznego i języka ojczystego wg stanu na 1939 r.

Całość opracowania nieodpłatnie przeznaczę dla wydawnictwa w celu wydania i rozprowadzenia dla bibliotek przy parafiach b. województwa tarnopolskiego, szkół oraz odbiorców wskazanych przez sponsora. Zawartość książki wynosi 185 stron druku komputerowego na formacie A-5 plus mapy zabytków.

Pierwszy wydruk komputerowy jest już wykonany i może być udostępniony na każde żądanie. Zwracając się o pomoc w zakresie pokrycia kosztów druku mogę zaoferować umieszczenie nazwy waszej firmy na liście sponsorów, na eksponowanym miejscu przewodnika.

Uwaga: nadmieniam, że wcześniejszy tytuł „Przewodnik po województwie Tarnopolskim” pod wpływem dyskusji, sugestii i rad naukowców z Uniwersytetu Opolskiego i Wrocławskiego został zmieniony na: „Województwo Tarnopolskie i jego zabytki do 1939 r.”. Pragnieniem moim jest przekazanie nieodpłatnie połowy nakładu dla odbudowywanych parafii katolickich byłego województwa tarnopolskiego, co

jest zgodne z sugestią pani P. Berg – Sekretarza Związku Kulturalnego Polaków im. A. Mickiewicza i księdza Jana Piątkowskiego z parafii Czortków. Drugą połowę proponuję przeznaczyć nieodpłatnie do bibliotek publicznych i szkolnych w kraju.

Wspomagające środki proszę przekazać do:

Wydawcy: BGŻ Opole nr 20301622-63526-2704-11

z zaznaczeniem „na przewodnik po woj. tarnopolskim”.

Errata do Nr. 1 (54) 2000

str. 3 lewa szpalta, 34 wiersz od góry: jest: Funduszu Organizacji Kresowych; ma być: Federacji Organizacji Kresowych
str. 40 prawa szpalta, 34 wiersz od góry: jest: Ziemi Włoskiej; ma być: Ziemi Lwowskiej

str. 42 podpis pod prawym zdjęciem: jest: trembelowskiej; ma być: trembowelskiej

Autorem wspomnienia o ks. prof. H. Mosingu jest Tadeusz Kardasz. Przepraszam Autora.

Contents

J. Masior – For Easter – a poem	1
J. Lechoń – Easter – a poem	1
Card. Henryk Gulbinowicz	1
What do we enter with into the XXIst century? A talk with Mr A. Kaminski, President of the Lwów and South-East Borderland Lovers Society	2
J. Masior – My Lwów colleagues (2)	5
D. Nespiak – Rev. Mitred Dr Stanisław Turkowski	9
T. Tomkiewicz – Borderland priests – rev. Anatol Zajaczkowski	11
J. T. Leszczyński – At the spring of Bystrzyca Nadwórniańska river	11
A. Fedorowicz – Native landscape – Brzuchowice, the lungs of Lwów	14
M. Molicka – Śniatyn – the town of my parents	15
K. Zielińska – Kopyczyńce, a small town in the Tarnopol District	17
K. Wojciechowska – Antoni Hermaszewski, an eminent citizen of Volhynia	20
H. Wiewiórska – Borderlanders abroad	22
B. Orzechowski – Cpt Bolesław Nieczuja-Ostrowski, organizer of Polish Military Organization in Lwów under occupation	23
T. Walkowiak – Following General Haller's route	25
T. Kukiz – A chapel at Siemków which escaped a complete destruction	26
B. Bednarski – Scraps of the history of parish, church and cemetery at Siemianówka near Lwów	28
Father P. Wiśniewski – Xth anniversary of regaining the St. Bartholomew church at Drohobycz	29
S. Scheller – Laughter of Lwów in the time of Apocalypse (2)	30
T. Błażyński, J. Stoszek – The IIInd Republic District Tribunal at Czortków (continued)	33
H. Horoszczak – Recollections of our exile from Lwów	35
F. Grodecka – Recollections of our exile in Kazakhstan (cont.)	37
R. Szablowska-Lutynska – A flight from the Lwów airfield at Skniłów to unknown (cont.)	39
W. Gurecki – Scraps of Jurek Miętus' recollections	42
K. Sura – My Lwów year of 1939	44
W. Kopacz – Recollections of the Defence of Lwów	46
D. Szwarz, H. Dobias-Telesińska – Xth anniversary of the Poznań Division of Lwów and South-East Borderland Lovers Society	49
J. Leszczyński – Is Sienkiewicz's "With Fire and Sword" an anti-Ukrainian novel?	50
Z. Umański – Borderland diary	51
OBITUARY COLUMN	55
J. Ragankiewicz – My request – a poetical prayer	55
AN APPEAL	56
ERRATA	57

Lista ofiarodawców w m-cu II-III 20000 r. (w zł)

- | | |
|--|---|
| 1. Stanisław Mossoczy, Bielsko Biała, Cm. Orl. Lw. .. 60.- | 8. Kominiarska Sp-nia Pracy „Św. Florian” Wrocław,
pomoc dla kresowian na Święta Wielkanocne 200.- |
| 2. Stanisław Ferenc, Kamienna Góra, Cm. Orl. Lw. 50.- | 9. Anna Masełko, Ząbkowice Śl.,
pomoc dla kresowian na Święta Wielkanocne 200.- |
| 3. Józefa Nowicka, Koźuchów 10.- | 10. Maria Żurowska-Gangi, Toruń 5.- |
| 4. Helena Padwińska, Lubsko 20.- | 11. Wanda i Adam Podoleccy, Kielce, Cm. Orl. Lw. .. 30.- |
| 5. Helena Skrzypiec, Polanica Zdrój 26.- | 12. Wojciech Gilewicz, Kluczbork 50.- |
| 6. Janina Blum, Wrocław 40.- | |
| 7. Andrzej Hanuszewski, Pyskowice, Cm. Orl. Lw. 30.- | |

**Wszystkim Szanownym Ofiarodawcom
składamy najserdeczniejsze podziękowania.**

Od Wydawcy

Z okazji zbliżających się Świąt Wielkanocnych wszystkim naszym Czytelnikom, Kresowianom w kraju i na świecie, a przede wszystkim Rodakom za wschodnią granicą, składamy Najserdeczniejsze Życzenia Wesołego Alleluja i Obfitości Łask Zmartwychwstałego.

Rada Fundatorów
i Zarząd Fundacji Kresowej „Semper Fidelis”.

Trwa nieprzerwanie zbiórka pieniężna pod hasłem „ŚWIĘCONE” na pomoc wielkanocną najbardziej potrzebującym Polakom we Lwowie i Stanisławowie. Datki są przyjmowane na nasze konto bankowe: PKO-BP O/Wrocław nr 10205255-10012-270-1-111, oraz w kasie siedziby Fundacji: 50-079 Wrocław, ul. Rуска 32/33 I p. od poniedziałku do piątku w godzinach od 10⁰⁰ do 16⁰⁰.

Apelujemy do Oddziałów i Klubów TMLiKPW, a szczególnie do tych, które nie organizują pomocy Rodakom na Wschodzie, żeby włączyli się do ogólnej akcji pomocy i uczynili to za naszym pośrednictwem. Listę ofiarodawców opublikujemy w kolejnym numerze „SF. Rodacy na Kresach oczekują pomocy świątecznej, liczą na naszą pamięć o Nich i cieszą się każdą przekazaną Im złotówką. Pamiętajmy o tym!

– Polecamy pozycje książkowe anonsovane w ostatnim numerze „SF” z serii „Biblioteka Zesłańców” oraz pozycje przedstawione w „SF” 4/51/99 i kolejnych numerach naszego czasopisma.

– Szczególnie polecamy nasze wydawnictwo: „Pomniki Lwowskie – cz. I”, jako wkładka do kalendarza na 2000 rok – cz. II „Lwowskie Pomniki, których już nie ma”. Obie części są ilustrowane archiwalnymi zdjęciami dawnego Lwowa. Warto mieć to unikalne wydanie w swojej biblioteczce.

– Ukazała się również „Księga Humoru Lwowskiego” T. Krzyżewskiego, którą nie trzeba zachwalać Czytelnikom.

– Nowością wydawniczą, z Chicago, jest tomik pt. „Wiersze” Adama Kurtza, emigracyjnego poety polskiego – lwowianina.

– Aktualne są nadal prenumeraty naszych czasopism:

Dwumiesięcznik „Semper Fidelis” 24 zł

Dwutygodnik „Gazeta Lwowska” 24 zł

Dwutygodnik „Dziennik Kijowski” 12 zł

Kwartalnik „Zeszyty Tłumackie” 16 zł

Święta spędzaj z naszą lekturą!

Dyrektor
Fundacji Kresowej „SF”
Danuta Tabińska-Juhasz